

„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

February 1967

Price 3/6

Cena 3/6  
\$ 0.50; 2.50 F.



# ORZEŁ BIAŁY

B.D.I.C

SYRENA

LUTY

1967

Nr 31/1178

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



WARSZAWA — STARE MIASTO

Rys. Dalatowski 52

Domy w Rynku od ulicy Bugaj

FP 2156

Z. S.: Walka między komunistami chińskimi i osłabienie ChRL	str. 1
J. H. P.: Między plotką a anegdotą	4
Z. Grabowski: 1967 — Nowa Data, Stare Problemy	5
M. Paszkiewicz: Anioł i Pielgrzym	8
J. Adamski: Na jakich fundamentach stoi PZPR?	9
K. Glabisz: Saldo dwudziestu lat zimnej wojny	10
Tezy polityczne Ligi Niepodległości	12
Wiślan: Kraj Kontrastów	14
S. Błaszczak: Tragedia przybranej matki	15
Z. Stahl: Wyproszona Wizyta	16
Śp. pplk dypl. Feliks Bolechowski	17
A. Kozieł-Poklewska: Koncert Niedzielskiego na Czarnym Łądzie	18
A. Czulowski: Za wolno, czy za szybko?	20
W. Z. Bienkowski: Kampania o Bibliotekę Polską w Londynie	21
Dwadzieścia lat Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii	22
Dr Michał: Epilepsja	22
W. Lewandowski: Ciekawostki z nauki i techniki	23
R. A. Lubiński-Wentworth: „Nowa“ matematyka w szkole powszechnej	25
L. Koczy: Ułani Karpaccy	27
Książki i wydawnictwa nadesłane	28
C. Jeśman: Glossa do Pawlikowskiego	29
J.O.N.: Życie kulturalne polskiego Londynu	34
Z prasy polskiej poza Krajem	35
S. Wóycicki: O dziwnym obyczaju i o jego rodzinnych skutkach	36
H u m o r	37
Rawicz: Historyjka ciągle aktualna	38
Fraszki, Listy do redakcji, Krzyżówka.	

**WIWAT KRYTYKA!**

Redaktor naczelny już kilkakrotnie zwracał się do czytelników o nadsyłanie krytycznych uwag do artykułów, publikowanych w jego piśmie. Jestem przeto bardzo zadowolony, że mój artykuł „O zobowiązaniach produkcyjnych, czynach społecznych i innych sposobach wyzysku mas pracujących“ („O.B.“, październik 1966), został w ten sposób wyróżniony. A zadowolony jestem przede wszystkim dlatego, że krytyka pochodzi od dobrego znawcy polskich zagadnień socjalnych, Tadeusza Podgórskiego.

Ale poza ostrym nagłówkiem, krytyka wypadła dosyć łagodnie, bo krytyk nie tylko zajął się pewnymi moimi niedociągnięciami ale, w obszernym artykule rozszerzył czytelnikom pisma, pojęcie o krajowych związkach zawodowych. Z przyjemnością przeczytałem raz jeszcze jego artykuł z maja ub. roku. Oczywiście, że od 1956 minęło 10 a nie 12 lat. Błąd może powstał dlatego, że właśnie wtedy ktoś mnie zainteresował, ile to już lat minęło, od odzyskania przez tow. Wiesława wolności.

Jednak w jednym punkcie z p. Podgórskim się różnimy. Chodzi o zarzuty, podniesione przez Irenę Sroczyńską (a także przez innych), przeciw zarządom niektórych przedsiębiorstw, że „ukrywają pracę w godzinach nadliczbowych... nie placą zarobków za godziny nadliczbowe... nie rejestrują godzin nadliczbowych“. Tu p. Sroczyńska, tak przypuszczam, nie miała na myśli ułatwienia dyrekcjom robienia oszczędności na fundusz płac, ale przeciwnie, wystąpiła wcale energicznie w obronie należącego się słusznie wynagrodzenia za godziny nadliczbowe. Ale tu jesteśmy zgodni z p. Podgórskim, że w okresie ostatnich 10 lat, w niektórych branżowych związkach zawodowych, przewodniczący wcale odważnie wystąpili w obronie robotników. Są to oczywiście wyjątki bo w zasadzie związki zawodowe w Polsce ludowej

są agencją partii, a uchwały o zbiorcach, nie są podejmowane przez załogi lecz przez przewodniczącego i sekretarza rady zakładowej i podstawowej organizacji partyjnej.

P. Podgórskiemu dziękuję zarówno za krytyczne uwagi jak i za dalsze, cenne naświetlenie roli tzw. związków zawodowych. Przy sposobności napiszę znowu i wdzięczny będę za krytykę.

Jan, Adamski, Londyn

**ANALIZA I WĄTPLIWOŚCI**

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę przyjąć gratulacje z okazji 25-jej rocznicy „Orla Białego“ i życzenia dalszej owocnej działalności tego zasłużonego pisma.

Gratuluję również numeru 29/1176 (ta druga cyfra mówi sama za siebie), wydanego z tej okazji. Ze specjalnym zainteresowaniem przeczytałem artykuły odnoszące się do bogatej historii „Orla Białego“, jego genezy i długiej wędrówki szlakiem żołnierskim i emigracyjnym. Pozwalam sobie zrobić dwie uwagi, do dwóch artykułów, w tym numerze.

W artykule redaktora Zbigniewa Racięskiego: „Pisklece lata Orla Białego“, przeczytałem z zaciekawieniem o pierwszym numerze tego pisma, wydanym w Rosji w dniu 7 grudnia 1941 r. Wydanie tego numeru zbiegło się z przybyciem tamże gen. Sikorskiego, na inspekcję formującej się Armii Polskiej. Wymieniając artykuły, jakie w tym numerze były zamieszczone, Racięski cytuje:

„Powołany na Dowódcę 5-tej Armii, gen. Sikorski, bijąc trzy armie bolszewickie i jeden korpus kawalerii, powoduje przełom w wojnie z Rosją Sowiecką“.

Jestem jak najdalej od pomniejszania zasług gen. Sikorskiego i jego 5-ej armii w bitwie nad Wisłą i Wkrą, będącej odcięciem wielkiej Bitwy Warszawskiej, toczącej się na ogromnej przestrzeni od Płocka po Hrubieszów, w sierpniu 1920 roku. Zasluga ta polegała na przeciwstawieniu się uśiłowaniom wojsk bolszewickich opanowania rejonu Modlina i zaatakowania Warszawy, zagrożonej już od wschodu i północy, również od zachodu. 5-ta armia wykonała to zadanie, a nawet przeszła później do przeciwnatarcia z powodzeniem. Zaslugi te zostały ocenione również w historii, jak i faktem dekorowania dowódcy 5-ej armii bardzo wysoką klasą orderu Virtuti Militari, bo II-gą, a więc nadawaną generalom-dowódcom za wygraną bitwę. Niewątpliwie bowiem gen. Sikorski wygrał bitwę nad Wkrą, a czele swojej 5-ej armii. Ale od tego faktu historycznego do pobicia trzech armii bolszewickich i korpusu kawalerii jest jeszcze daleko i w tym aspekcie twierdzenie to jest fałszywe, jak również i drugie o „spowodowaniu przełomu w wojnie z Rosją Sowiecką“. W warunkach, w jakich walczył wówczas gen. Sikorski i jego 5-ta

(Dalszy ciąg listów na przedostatniej stronie okładki)

# Fraszki

## Wyniki deprecjacji pieniądza

*Najwięcej traci*

*Ten, kto teraz z góry płaci.*

## Zrealizowana ambicja

*Jan brzydził się przeciętnością i zabiegał o to, By się wyróżnić; jest dzisiaj wybitnym idiotą.*

## Rzadki wypadek

*Jan rzekł: „Ośle!“; Piotr: „Durniu!“ odpart obrażony; To rzadkość, żeby rację miały obie strony.*

RAWICZ



## Walka między komunistami chińskimi i osłabienie CHRL

**N**A CZOIÓ zainteresowań prasy światowej wysunęła się ostatnio, zataczająca coraz szersze kręgi i podkopująca międzynarodowe znaczenie Chińskiej Republiki Ludowej, walka wewnętrzna między tamtejszymi komunistami. Szczegóły jej, przenikające do wiadomości Zachodu głównie z Dalekiego Wschodu, ze źródeł japońskich albo przez Hong-Kong, czy też ze stolic komunistycznych, zwłaszcza Moskwy lub Belgradu, nie są kompletne ani pewne i bywają często odwoływane czy prostowane. Wypada więc przyjmować je ostrożnie i z zastrzeżeniami, a rysować ogólny obraz sytuacji tylko na podstawie faktów możliwie potwierdzonych.

Zamieszki chińskie na większą skalę zaczęły się, odkąd w sierpniu 1966 usłyszeliśmy o powstaniu w Chinach ruchu „kulturalnej rewolucji” realizowanej przez Czerwoną Gwardię, która w imię czystej doktryny Mao Tse-tunga rozwinęła walkę ze zmaterializowanym jakoby „rewizjonistycznym” i „prochruszczowskim” kierunkiem w chińskiej partii komunistycznej. Oddziały tej Czerwonej Gwardii, złożone przeważnie z młodzieży, chłopców i dziewcząt, korzystających z wolnego czasu na skutek zamknięcia szkół, podniecane i prowadzone przez najbliższych Mao Tse-tungowi — łącznie z jego obecną żoną, kiedyś aktorką Cziang-Czyng — defilują od miesięcy ulicami Pekinu i innych miast, wymachując broszurami zawierającymi „złote myśli” Mao. Demonstracje te kierowane są przeciw rozmaitym osobistościom partyjnym, jako rzekomym odstępcom od doktryny Mao, w rezultacie czego niektóre spośród nich ustępują, inne jakoby kają się, wreszcie w kilku wypadkach nawet popełniają samobójstwa.

W pierwszych miesiącach zdawało się, że „rewolucja kulturalna” — chociaż piętnuje licznych przeciwników — nie natrafia na opór i



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*  
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓŁCZESNYM

Nr 31/1178

LUTY 1967

Rok XXVI



## ECHA UROCZYSTOŚCI MILLENIJNYCH W MANCHESTER

W grudniowym numerze „Orla Białego” pisaliśmy obszernie o wspaniałych uroczystościach milenijnych, jakie w dniu 11 grudnia odbyły się w Manchester. Opis ten uzupełniamy zdjęciem z „Widowiska milenijnego”. Przedstawia ono fragment z obrazu scenicznego, pt.: „W niebie”, w wykonaniu młodzieży Polskiej Szkoły Przedmiotów Ojczyźnianych im. św. Stanisława Kostki przy SPK w Manchester.

O uroczystościach milenijnych pamiętał także gen. Anders, który — mimo iż nie mógł osobiście przybyć — przesłał na ręce organizatorów list, który odczytał wiceprzewodniczący Komitetu Millennium Polski Chrześcijańskiej w Manchester, inż. J. Żaba. Poniżej podajemy pełny tekst listu:

Drodzy Rodacy,

Bardzo żałuję, że okoliczności nie pozwoliły mi przyjechać do Manchesteru na obecny obchód Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej; jako jeden z ostatnich w tym roku będzie on na pewno żywym podkreśleniem naszej łączności z narodem, który cały gorąco brał udział w obchodach Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej.

Wiem, że wśród wszystkich zebranych na obchodzie będzie dużo naszych dawnych żołnierzy, tak blisko ze mną związanych i do nich kieruję moje serdeczne powitanie.

Zarazem obchód manchesterski uświetniony jest specjalnie obecnością tak wielkiej ilości naszej młodzieży, że do niej zwracam przede wszystkim moje myśli i życzenia. Młode Polki i młodzi Polacy, znajdujący się w szeregach harcerskich, w innych organizacjach młodzieży i ze Szkół Przedmiotów Ojczyźnianych — bardzo ważne obowiązki staną przed Wami. Musicie zdać sobie sprawę i przygotować się

do tego, że stopniowo będziecie musieli przejąć od nas, starszych, kierownictwo działań i walki o wolną Polskę. Jesteście wszyscy następcami swych ojców i matek, którzy własną krwią przypięczętowali służbę Polsce, wraz z całym narodem, który nigdy nie pogodził się i nie pogodzi się z niewolą.

Pamiętajcie zawsze o tym, że gdziekolwiek przyjdzie Wam żyć i pracować — pozostajecie prawowitymi obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej. Harcerze i Harcerki — dochowajcie spuściznę przekazanej Wam przez poprzednie pokolenia harcerskie tak chlubnie zapisane w historii walki o niepodległość naszej ojczyzny.

Organizatorom i wszystkim uczestnikom obchodu milenijnego w Manchesterze przesyłam życzenia, aby uroczystość ta pozostawiła niezatarte przekonanie i wiarę, że nam, Polakom na oczywiście, dane będzie przyczynić się do przywrócenia Polsce życia wolnego i niepodległego.

Władysław Anders

zwycięstwo jej pod przewodem samego Mao nie może ulegać wątpliwości. Ostatnio jednak zaczęły dochodzić wiadomości o oporze i walkach w rozmaitych większych miastach i na dalszej prowincji; przeciwnikami Czerwonej Gwardii okazywali się jakoby głównie robotnicy i to partyjni oraz czasem chłopci, a wreszcie zaczęto donosić o oporze całych prowincji olbrzymiego obszaru Chin, w szczególności, prowincji Kiangsi ze stolicą Nanczang, na południe od największego miasta Chin, Szanghaju, gdzie poprzednio doszło również do rozruchów. Ponieważ równocześnie, gwałtownie atakowani niektórzy przywódcy partyjni trwają wciąż na swoich stanowiskach, nasuwa się przypuszczenie, że opór jest kierowany właśnie przez nich, czyli przez poszczególne organy aparatu partyjnego.

Nie jest jasne, jak krwawa była dotychczas chińska „rewolucja kulturalna“. Pojawiały się informacje o obcinaniu nosów i uszu branim jeńcom lub — jak wspomniano wyżej — o samobójstwach, ale fakty te następnie często prostowano. Nie słychać też było długo o jakiegokolwiek interwencji policji albo wojska i dopiero w połowie stycznia zaczęto donosić, jakoby oddziały wojskowe przywracały w kilku wypadkach porządek i funkcjonowanie zakładów użyteczności publicznej. Walka więc, jak dotąd, toczyła się głównie za pośrednictwem pochodów, przemówień i wreszcie... afiszów, co stanowi specjalność chińskiej „rewolucji kulturalnej“. Afisze te są właściwie, jak można rozumieć z ich treści, czymś co można by określić jako gazetki ściennie, bo zawierają nie tylko hasła, ale jakby artykuły, skąd przede wszystkim zagraniczni korespondenci czerpią, zdaje się, ostatnio swoje informacje.

### PRÓBUJĄCY ODZYSKAĆ PRYMAT, MAO

Do faktów, które można uznać dziś za prawdę, należy rozwiązana zagadka wielomiesięcznej absencji na przełomie 1965/6 Mao Tse-tunga i zasadniczy związek między tym powrotem a rozwinięciem „rewolucji kulturalnej“. Jak zanotowano w tej rubryce „Orzeł Biały“ z maja 1966 na str. 8, Mao Tse-tung do tego czasu nie był oficjalnie widziany od

26 listopada 1965, kiedy przyjął delegację Kambodży.

Z górą półroczna ta nieobecność wywołała wtedy zrozumiałe zainteresowanie i rozmaite komentarze. Przeważała opinia, że Mao jest chory, ale zarazem — jak pisałem we wspomnianym przeglądzie polityki międzynarodowej — „choroba Mao może też być natury politycznej, na co wskazuje szereg okoliczności“. Polityczny charakter tej półrocznej absencji został ostatnio wyraźnie i autorytatywnie potwierdzony. Z kół bliskich Mao wiarygodnie oświadczono, że główny przywódca komunizmu chińskiego wpiery ustąpił przed kilku laty ze stanowiska prezydenta Chińskiej Republiki Ludowej a następnie w jesieni 1965 usunął się ze sceny politycznej Pekinu, ponieważ nie zgadzał się z linią kierownictwa partii, której niemniej pozostał przewodniczącym komitetu centralnego i dalej ogólnie uznanym „numerem pierwszym“ chińskiego komunizmu.

Fakt, że ten „numer pierwszy“ wśród chińskich komunistów mógł długo tolerować kierownictwo partii, z którym się nie zgadzał i następnie, że w połowie 1966 r. nakreślona droga opanowania sytuacji musiała być od dołu idąca i rewolucyjna, są wymownym dowodem jak odmienna, mniej centralistyczna i totalna jest maszyna Chińskiej Republiki Ludowej w porównaniu do maszyny sowieckiej, utworzonej w Moskwie. Sowiecki „numer pierwszy“, jeśli natrafiał na opozycję w partii, urządzał policyjną czystkę albo, tak czy inaczej, musiał odejść. Nie jest natomiast do pomyślenia, aby wpiery zostawiał na stanowiskach swoich oponentów, a potem dopiero urządzał uliczne manifestacje, celem odzyskania rozstrzygającej władzy.

Tradycyjnej, chińskiej niechęci do centralizmu państwowego nie mogli, widać, jak dotąd, przemóc nawet komuniści i Mao musiał próbować powrotu do steru drogami okrężnymi. Musiał przede wszystkim udowodnić wątpliwym masom, że żyje i ma siły, o czym miała świadczyć sfilmowana kąpiel w Jang-tse, z której prądem płynął. Następnie pokazywał się kilkakrotnie na zebraniach Czerwonej Gwardii, niezbyt dziarsko zresztą wy-

glądając i nigdy nie zabrawszy głosu. O ile potwierdził, że żyje (niektórzy mówią o sobotwórce), to zły stan jego zdrowia został przez wygląd na filmach i wstrzymywanie się od przemawiania raczej potwierdzony, a cała impreza „rewolucji kulturalnej“, tym bardziej nabiera charakteru walki o sukcesję po Mao, prowadzonej jeszcze za jego życia.

### ZWOLENNICY, LIN PIAO I ARMIA

Między kim ta „wojna sukcesyjna“ jest prowadzona, jacy są jej główni protagoniści oraz w imię jakiego przyszłego programu ją oni toczą? Wydaje mi się zbyteczne wyliczanie wszystkich tych chińskich nazwisk, jakie się obecnie w prasie na rachunek dodatni i ujemny Mao Tse-tunga w prasie wpisuje. Rejestr ten jest poza tym, w odniesieniu do drugorzędnych osobistości zmienny, czyli niepewny. Wystarczy ograniczyć się do osobistości najważniejszych po obu stronach barykady, których kilka nazwisk możemy bez trudu zapamiętać.

Po stronie Mao opowiedział się i jest wskazywany jako jego następcą marszałek Lin Piao, jedyny w gruncie wybitny przywódca, wymieniany jako jego zwolennik. Wysunięcie się żony Mao, wspomnianej wyżej dawnej aktorki Cziang Czyng, podkreśla tylko słabość personalną zaufanych „numeru pierwszego“, tym bardziej że w chińskiej tradycji żyje pamięć interwencji kobiet, jako znamienia dekadencji politycznej. Lin Piao objął najdelikatniejszy odcinek wewnętrznego frontu walki, mianowicie — wojskowy. W armii były od dawna fermenty przeciwko zadrażnianiu stosunków z Sowietaми, lekceważeniu przez ideologię Mao techniki i zawodowych wartości sił zbrojnych. Notowane w tej rubryce dymisje, jeszcze w 1959 r. marszałka Peng Teh-huai'a, następnie politruków i wreszcie w ub. roku szefa sztabu gen. Lo Dziu-czynga, to były personalne fakty, świadczące o istniejącej tam opozycji.

Objęcie w lecie 1966 kierownictwa wojska przez Lin Piao, m'mo całego poparcia Mao i własnego wielkiego autorytetu w czerwonej armii chińskiej tego generała, nie musiało wystarczyć do opanowania sytuacji. W



ostatnich tygodniach bowiem powołana została komisja do oczyszczenia wojska z żywiołów opozycyjnych, do której weszła też Cziang Czyng, żona Mao, co chyba nie podniosło powagi tego ciała. Równocześnie Lin Piao zachowuje się dziwnie cicho, trudno ustalić czy z powodu choroby (zły stan jego zdrowia jest od dawna znany) czy też ze względów politycznych, ale jest faktem, że ujawnia mało aktywności. Niejasny jest też współdziałanie oddziałów wojskowych w „rewolucji kulturalnej”. Konieczność strzeżenia granic, czy niepewność ideologiczna wstrzemięźliwość tę powoduje, trudno ocenić. W ostatnich dniach nadchodzą informacje, jakoby w liczniejszych wypadkach armia interweniowała na rzecz zwolenników Mao, na największą skalę w mandżurskim Charbinie.

#### PRZECIWNICY I CZU EN-LAI

Podczas gdy personalia otoczenia Mao Tse-tunga nie przedstawiają się imponująco, wybitnych osobistości zaliczanych do jego przeciwników jest znaczny zastęp, przy czym niektórzy spośród nich padli ofiarą ataków Czerwonej Gwardii, lecz inni — jak dotąd — pozostają na swoich stanowiskach. Spośród usuniętych wymienić trzeba przede wszystkim burmistrza Pekinu i członka Politbiura, Peng Czena, który też pierwszy padł ofiarą „kulturalnej” czystki i nie wiadomo, co się z nim stało. Dotychczas natomiast trwają na swoich stanowiskach, chociaż gwałtownie atakowani przez Czerwoną Gwardię, prezydent Chińskiej Republiki Ludowej Lin Szao-czy oraz sekretarz generalny centralnego komitetu partii Teng Hsiao-ping. Co więcej, według komentarzy niektórych korespondentów czołowe te osobistości komunistycznej hierarchii chińskiej kierują podobno oporem przeciwko ekscesom Czerwonej Gwardii i nie zamierzają kapitulować przed ich presją.

W sposób szczególnie trudny do zrozumienia i dziwny rysuje się na tym całym tle rola premiera ChRL i jednego z czołowych przedstawicieli partii chińskiej, Czu En-lai'a. Wypowiada się on w zasadzie za Mao Tse-tungiem, którego popular-

ność w szerokich masach komunistycznych zdaje się nie ulegać dalej wątpliwości, ale z drugiej strony — odgrywa jakby rolę ogniwa pojednawczego i próbującego osiągnąć jakiś kompromis między walczącymi stronami. Według niektórych opinii, stanowisko Czu En-lai'a świadczy o tym, że Mao Tse-tunga w istocie nie dzieli od jego obecnych przeciwników taka przepaść, jakby to z wystąpienia Czerwonej Gwardii wyglądało i załagodzenia sytuacji nie można wykluczać. Wypowiadane są też inne poglądy, mianowicie jakoby stan zdrowia Mao był już tak zły, że odwołanie rozstrzygnięć i nieutralizacja przeciwników wydaje się najlepszą taktyką. „Rewolucja kulturalna” opiera się bowiem głównie o osobę Mao i w razie gdyby go zabrakło sytuacja wewnętrzna chińskiego komunizmu uległaby zasadniczej zmianie.

#### POSTAWA ZSSR STANÓW ZJEDNOCZONYCH I CZANG KAI-SZEK

Najbardziej zainteresowane konfliktem wewnątrz ChRL, śledzące jego rozwój z bacznością i prawdopodobnie pociągające z ukrycia za jego jakieś tajne sznurki, to przede wszystkim Rosja Sowiecka, Stany Zjednoczone i narodowe Chiny Czang Kai-szeka z Formozy.

Taktykę Moskwy będzie chyba najłatwiej zrozumieć, kiedy uzna się za właściwy klucz do niej chęć przywrócenia dobrych stosunków z komunistami chińskimi i możliwego uniknięcia otwartej z nimi, zwłaszcza na płaszczyźnie państwowej, rozprawy. Głównym przeciwnikiem komunizmu sowieckiego i filarem niezależności Pekinu od Moskwy był od początku Mao Tse-tung i osłabienie jego pozycji, konflikt wewnętrzny, jaki na tle pozycji tego „numeru pierwszego” w komunizmie chińskim się rozpełtał, to bez wątpienia sukcesy Moskwy. Obecna jej taktyka jest dalej wyczekująca, zapewne na zwycięstwo linii prosowieckiej w Pekinie, albo na moment takiej interwencji, która by nie pozwoliła Mao Tse-tungowi, czy innym przeciwnikom wpływów sowieckich, skupić dokoła siebie większość mas chińskich w

imię obrony przed zewnętrznym napastnikiem.

Oficjalna postawa Waszyngtonu wygląda obecnie w stosunku do zamieszek w ChRL raczej biernie. Może to być następstwem ogólnego usłabienia międzynarodowej inicjatywy pod rządami LBJ, albo wynika ze zbyt zakorzenionego w Białym Domu poglądu, że rozwój sytuacji będzie pchał „nieuchronnie” do upragnionego konfliktu zbrojnego między Moskwą a Pekinem, mającego torować drogę do rozumienia z Sowietami.

Brak inicjatywy Waszyngtonu zdaje się odbijać pośrednio na malej aktywności w stosunku do upragnionego chyba dla Chin Narodowych momentu osłabienia reżymu komunistycznego, ze strony Czang Kai-szeka. Walka między frakcjami komunizmu chińskiego, osłabienie reżymu centralnego, wewnętrzny rozkład armii, rozruchy chłopskie i robotnicze, to wszystko atmosfera idealna do ingerencji zbrojnej lub przynajmniej politycznej ze strony pobliskiej kontynentowi wyspy. Bierność jej będzie dowodziła, jak zawodne w istocie były rachuby narodowych Chin na realną pomoc Ameryki. Z. S.

### N O W O Ś Ć !

#### Kazimierz Sosnkowski HISTORYCZNE MATERIAŁY

Autor, jedna z czołowych postaci naszego życia wojskowego i politycznego przed r. 1939 i w czasie ostatniej wojny, znany najszerszemu ogółowi polskiemu w Kraju i na emigracji.

Tom „Materiały” jest zbiorem rozkazów, wypowiedzi politycznych i wojskowych, artykułów i wywiadów z okresu wojennego i powojennego, poprzedzonym zarysem biograficznym ujętym w formie artykułu encyklopedycznego.

Stron 720. Oprawa płócienna

Cena: 63/-; \$ 9.00; F. 45.00

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.  
20, Queen's Gate Terrace,  
London, S.W. 7

i we wszystkich księgarniach polskich

# MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Zarzuca się „Orłowi“, że więcej pisze o „polskim Londynie“ niż, na przykład, o „polskim Buenos Aires“ czy „polskim Sztokholmie“. Mógłby („Orzeł“ — nie ja) odpowiedzieć na zarzut z tak zwaną wydetą piersią, że „polski Londyn“ to centrum polskiego życia w wolnym świecie, że niby tu Polaków najwięcej, że najwięcej się tu polskiego poza krajem dzieje.

Mógłby, ale tego pewno nie zrobi. A ja nie zrobię również. Tętno życia nie zawsze zależy od ilości bijących serc, a największe getto nie zawsze jest gettem najważniejszym.

Oczywiście, nie jest nim, względnie być nie musi, w skali czasu i w ocenie historii. Na tę musimy jeszcze trochę poczekać, i co gorzej, albo raczej co przykrzejsze, oceny tej nigdy nie będziemy znali.

Rozmawialiśmy sobie na ten temat w koleżeńkiej pogwarce redakcyjnej. Nie tak dawno bo właściwie przed kwadranssem. Lecz rozmów tego rodzaju było więcej. Za mojej pamięci redakcyjnej było ich tyle, że można zgola powiedzieć, iż temat „jak się odlondynić“ jest tematem stałym i naczelnym wszelkich narad redakcyjnych.

Postanowień było wiele. Wysiłek tyleż co postanowień, rezultatów natomiast mniej. Będę sprawiedliwy, czego nie można wymagać od czytelników pozalondyńskich. Nie było tych rezultatów tak bardzo mało, by warto było szaty rozdierać. „Orzeł“ był i pozostał do dziś w większym niż którekolwiek chyba pismo polskie poza Polską pismem „międzynarodowym“ w pojęciu naszej emigracyjnej diaspory. Przyzwoitość wymaga by wyłączyć z tego stwierdzenia „paryską“ Kulturę, bo jest „paryską“ dlatego chyba tylko, by jej nie mylić z „Kulturą“ wydawaną w Warszawie. „Paryska“ Kultura Paryżem się nie zajmuje albo wcale albo się nim zajmuje bardzo niewiele. „Londyński“ Orzeł Londynem się zajmuje, lecz nie tylko.

„Niewiele“, „wcale“ itp. przysłówki nie wystarczą jednak by się z czegokolwiek rozgrzeszyć.

„Orzeł“ się nie rozgrzesza. To jego tradycja, o której z dumą wspominam. Ani też sam się nie chwali.

Pozostaje jednak faktem, że nie zadawała redakcji „Orla“, ani dzisiejszej ani przyszłej jakakolwiek by nie była, tak skromny dopływ wiadomości z polskiego życia kulturalnego i w ogóle wszelkiego poza Anglią. Korespondencja z nami ogranicza się do żalów, „że za mało piszecie o Francji, o Szwecji, o Włoszech“. Itp., itd.

Jest na to sposób, o który „Orzeł“ od lat zabiega. Piszcie o życiu swoich środowisk zamiast pisać żale, że my o nim nie piszemy. Nie ulega wątpliwości, że każdy z nas w londyńskiej redakcji chętnie by się przejechał raz na tydzień do Paryża a raz na miesiąc do Sztokholmu, by napisać, co się tam wśród Polaków dzieje. Tego się zrobić nie da.

Natomiast jeśli się coś dzieje, ktoś mieszkający w tymże Paryżu bez trudu może napisać. Na pewno, jeśli tylko będzie się trzymać kupy i będzie interesować kogośkolwiek poza autorem, wydrukujemy.

To co napisałem dotychczas to nie „plotki“ lecz nieomal odezwa, pouczenie, skarga i apel.

Wypadłem widocznie ze stylu.

Dodam tylko małą złośliwość, bo mi chyba wolno. Otóż, tak się zdarzało, że „plotkowy“ J.P.H. odbywał podróże i to wcale często do pokrzywdzonych „zdaniem krytyków „Orla“, środowisk pozalondyńskich.

I tak się dziwnie zdarzało, że ilekroć podróż odbył nie ciekawego od nikogo dowiedzieć się nie mógł. Albo mu nie chcieli powiedzieć, co się ciekawego stało, albo możliwość druga — nic ciekawego się nie było stało.

\* \* \*

Wymaganie by się pióropusz „wuiwał ale nie rozwijał“ jest wymaganiami starym i niewykonalnym. Gdy o anegdotyczną genezę spolszczonego rusycyzmu chodzi tłumaczę, że rzekomo takie wymagania postawił książę Konstanty warszawskim kapelusznikom gdy opracował nowy typ kapelusza generalskiego. Taki co by pogodził tradycje mundurowe napoleońskie z wymogami wojskowej mody rosyjskiej. Podobno jeden tylko generał Kuruta zadowolili cesarzewicza, skleiwszy obojętnie kocie pióra.

Wszystkich, którzy anegdotę tę, raz lub więcej razy, czytali w ciągu 15-lecia istnienia mojej rubryki — najmocniej przepraszam za powtórkę. Skleroza ma swoje prawa a im dalej się posuwa tym chętniej powta-

rza się anegdoty, które się jeszcze pamięta.

Tym razem przypominam sprawę pióropusza w związku z opiniami o zmieniającej się „proporcji tematycznej“ (to wyrażenie fachowe). To znaczy, w związku z utrzymaniem równowagi między tematyką informacyjno-społeczną a wszelką inną, z dodatkową klauzulą „spopularyzowania formy bez szkody dla treści“.

(Klauzula jak najbardziej wzniosła).

Otóż, jak wiemy z lamów „Orla“, a więcej jeszcze wiemy „inną drogą“, połowa czytelników zażądała „spopularyzowania“ i „uspołecznienia“, połowa zaś takich żądań nie stawiwała.

Obecnie sytuacja się odwraca. Połowa, która poprzednio żądań nie stawiwała, zaczyna je stawiać. Brzmiało bardzo po prostu: „Nie popularyzować, mniej miejsca na informacje społeczne“. Nie zmieniły się tylko dane arytmetyczne; połowa na połowę.

Może zapowiedziana ankieta wśród czytelników, którą ogłosimy za miesiąc da nam wiadomości nieco konkretniejsze o tym co się w „Orle“ komu podoba a co nie i co należy zrobić by się nareszcie „wuiwał a nie rozwijał“.

J. P. H.

**SOS** recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski  
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego: A. Pomorski

Rp.

- Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
- Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
- Persantin 75 dragées (NIEMCY)
- Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
- Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
- Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data: Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski  
Podpis i stempel lekarza

*P.S. Doradzam załatwić przez TAZAB w Londynie, bo wykona natychmiast!*

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.  
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45



# 1967 — NOWA DATA, STARE PROBLEMY

**O**D NIEPAMIĘTNYCH czasów człowiek usiłuje opanować — czas. Chociaż wie dobrze, że czasu nie potrafi ujarzmić, chociaż wie, że czas wymyka mu się z rąk jako rzecz płynna, to jednak próbuje stawiać zapory czasowi czy też dzielić go składnie i po gospodarsku na cząstki: miesiące i lata. Wiemy, że czas płynie, że rok przelewa się w rok i że wszelkie zapory jakie stawiamy w postaci Nowego Roku i liczb, to zabawa umowna. A jednak nie zaprzestajemy tej zabawy: i pod koniec każdego roku staramy się dokonywać jakiegoś rachunku sumienia ludzkości i wierzymy, że Nowy Rok będzie lepszy i szczęśliwszy — że coś się zmieni. Zmieni się, oczywiście, na lepsze.

Ten uparty optymizm ludzki jest godny zastanowienia, a także i szacunku. Dowodzi bowiem, że człowiek podświadomie i świadomie wierzy w lepszy układ rzeczy, wierzy w poprawę.

Tak i teraz na wstępie roku 1967-ego patrzemy w przyszłość i staramy się dokonać obrachunku szans naszego globu, chociaż wiemy, że ten Nowy Rok 1967 jest tylko spadkobiercą i przedłużeniem roku 1966 i że nie należy oczekiwać jakichś przełomowych zmian na froncie wypadków. Pomimo tego głosu rozsądku, pomimo ostrzeżenia doświadczenia żywimy nadzieję — i nikt nam tego daru ludzenia się odebrać nie potrafi.

Rok 1967 stanowi przedłużenie roku 1966. — jest to truizm i banał, ale może warto ten banał powtórzyć. W roku 1966 nie rozwiązano żadnego z wielkich zagadnień naszej doby, a zatem ani problemu nierozpowszechniania broni nuklearnych, ani zagadnienia rozbrojenia atomowego. Nie załatwiono także problemu zjednoczenia Europy zachodniej, nie załatwiono stosunku Wschodu do Zachodu, nie załatwiono problemu zjednoczenia Niemiec. Czyż był to zatem rok całkowicie negatywny?

Nie, nie można tego roku nazwać rokiem negatywnym, albowiem umocnił on na pewno szanse pokoju światowego. Alarmy wojenne odstępują coraz dalej: i przypuszczalnie odstępować będą w ciągu roku 1967-ego. Autor tych słów zaryzykował jeszcze w roku 1946 tezę, że „wojny nie będzie“. Opierałem się w tej rachubie na prostym fakcie grozy wojny atomowej. Uważałem, że wojny takiej Rosja nie rozpęta, a że Ameryka nie pójdzie na akcję typu

tw. przewencyjnego. W miarę upływu lat umacniało się we mnie przekonanie, że mamy przed sobą długie lata pokoju — aż może do chwili, kiedy Chiny wyłonią się jako mocarstwo atomowe.

## TRZY MOMENTY ZAGROŻENIA WOJNĄ ŚWIATOWĄ

Oczywiście, były momenty, w których świat ocierał się o wojnę. Były na pewno trzy takie momenty: blokada Berlina, drugi to wojna koreańska, a trzeci to kryzys kubański. Może należałoby dodać jeszcze czwarty moment, a zatem stworzenia czy zbudowania muru berlińskiego. Ale za każdym razem ludzkość cofała się z nad samego skraju przepaści, a najbardziej klasycznym przykładem tego była tzw. konfrontacja kubańska, kiedy to Rosja cofnęła się przed determinacją Kennedy'ego i Chruszczow odwołał swoją awanturę. Była to lekkomyślna i arogancka awantura, zmontowana tuż pod boki USA, awantura, która udać się nie mogła. Rosja dostała po palcach i od tego czasu stała się jeszcze mniej groźna. Okazało się, że w konfrontacji z potęgą amerykańską Rosja nie wytrzymuje próby i że przewaga broni jest po stronie Ameryki. Rosja wie dobrze, że wojnę nuklearną z Ameryką musi przegrać.

Konfrontacja kubańska stanowiła cezurę naszych czasów, wyraźny zwrot w stosunkach światowych. Owocem tego zwrotu był traktat w sprawie częściowego zakazu prób nuklearnych — kwestia dalsze kontynuowanie takich prób doprowadziłoby do zakażenia atmosfery w świecie. Ludzkość zdołała uniknąć tej katastrofy. Chociaż traktat jest niepełny, albowiem nie zawiera postanowień odnoszących się do wybuchów pod ziemią, to jednak jest on możliwie „dobry“, a zatem oddala od nas grozę zakażenia czyli pollution czy contamination atmosfery ziemskiej.

Pokój umacnia się i przekonanie mas, że wojny nie będzie ugruntowuje się również. Niepokoje wojenne oddalają się, chociaż nie ma absolutnego pokoju na świecie. Trwa bowiem wojenna pożoga w Wietnamie — ale jakoś ludzkość nie wierzy, żeby z tego lokalnego pożaru wybuchła wojna na skalę ogólną. Dopóki Chiny otwarcie nie wkraczają do akcji, czujemy, że wojna w Wietnamie, chociaż godna pożałowania, nie przybierze jednak groźnych form.

Rosja i Chiny, każde na swój sposób, prowadzi akcję pomocy dla Płn. Wietnamu w przekonaniu, że to osłabia Amerykę i że wobec tego wojnę należy dalej i możliwie najdłużej prowadzić. To wydaje się być jedynym celem akcji obu mocarstw komunistycznych. Gdyby bowiem założył, że Północ Wietnamu posunie się zwycięsko na południe i zagarnie tę połac kraju, to nie wiemy, jakby Rosja patrzyła na tego rodzaju zagarnięcie nowych włości przez Północ wspieraną przez Chiny. Czy Rosja cieszyłaby się, gdyby Chiny zawładnęły per procura Południem? Chyba nie. Rosja popiera Północ, tylko dlatego, że wojna Płn. Wietnamu z USA ma swoją nuisance value dla Kremla i że osłabia Amerykę oraz odrywa jej zaciekawienie od innego pola — np. europejskiego.

## PERSPEKTYWY WOJNY W WIETNAMIE

Wojna Wietnamska będzie się wlokła na pewno przez rok 1967 jeżeli nie stanie się coś, co graniczy wręcz z cudem, a zatem jeżeli Hanoi nie uzna, że nie warto dalej walczyć, albowiem nie przeforsuje się sukcesu ani teraz, ani za 10 lat. Ale na to na razie się nie zanosi.

Ameryka na pewno chciałaby skończyć wojnę w Wietnamie, ale nie wie jak to zrobić. Historycznie sprawa jest jasna i trzeba raz to jeszcze powtórzyć: to Północ zaatakowała Południe, a nie odwrotnie: Amerykanie przyszli z pomocą Południowi i od tego czasu zaczął się konflikt między obu połaciami kraju. Ameryka znalazła się dokładnie w tej samej sytuacji, co na Korei.

Korea dała wzór dla tego rodzaju akcji — Ameryka nie uzyskała niczego poza cofnięciem linii na dawne miejsce. Korea Płn. przekonała się, że agresja się nie opłacała. Ameryka uważała, że podobną lekcję da Hanoi. Tym bardziej, że interwencja chińska nie przybrała w drugim wypadku form jakie przyjęła w pierwszej — a zatem nie pojawiły się formacje chińskie jak na Korei, które sprawiły, że konflikt koreański tak się przeciągnął.

Obliczenia te okazały się fałszywe. Oto starcie w Wietnamie rozrosło się: charakter terenu był inny aniżeli na Korei, nie można było stworzyć stałej linii frontu. Była to walka w dżungli, walka podobna do bojów w Birmie w czasie drugiej wojny światowej. Teren walk był już podminowany przez akcje

komunistyczną, terror Wietkongu już się rozpanoszył, kraj był jednym trzęsawiskiem. Pomimo tego Ameryka zdołała utrzymać taki znośny system, który nie jest na pewno tyranią w stylu Północy, potrafiła odbudować życie gospodarcze i socjalne w niektórych częściach kraju, potrafiła odbić spore połaci tego kraju. Ale całkowite oczyszczenie jego jest zadaniem jakby ponad siły — tym bardziej, że ustawicznie z Północy płynie pomoc w żołnierzach i sprzęcie.

I tu znowu przychodzi paralela koreańska: generał MacArthur uważał, że należy jednak ścigać Chińczyków poza rzekę Jalu, trzeba uderzyć w Chiny jako poplecznika i sprawcę wojny i że nie wolno wojny ograniczać. Ameryka przypomniała sobie tę prawdę w r. 1965 i zaczęła wzmacniać efektywne zbrojne w Wietnamie. Dzisiaj są one większe niż na Korei. Poza tym Ameryka uderzyła w r. 1966 bombami w Płn. Wietnam, aby nareszcie przeciąć szlaki zaopatrzenia idące na Południe. Te bombardowania dały na pewno wyniki — i dają je dalej. Jest rzeczą jasną, że ucierpiały mosty, drogi, szlaki kolejowe, stacje przetokowe, porty, żegluga. Ale aby te bombardowania dały istotne wyniki trzeba dwóch, a może i trzech lat — a opinia świata jest wroga bombardowaniom, które uderzają i w ludność cywilną. Zapomina się jednak o tym, że podobny problem istniał w czasie drugiej wojny w Europie, że protestowano przeciwko bombardowaniom miast otwartych — bezskutecznie.

Opinia publiczna na Zachodzie, i to nawet opinia oświecona, nie zdaje sobie sprawy z tego, że Ameryka znajduje się w stanie wojny z Chinami, a raczej prowadzi wojnę z krajem, za którego pośrednictwem Chiny są w stanie wojny z Ameryką. Ameryka położyła kres próbom wojny per procura na Korei, a teraz chce położyć kres podobnej próbie w Wietnamie. Dlaczego Ameryce zależy na utrzymaniu Południowego Wietnamu jako państwa nie poddanego dyktatowi chińskiemu? Po prostu uważa — i słusznie — że jeżeli puści się Południowy Wietnam, to wtedy i Siam i Laos wpadną w ręce chińskie albo staną się lennikami Chin. Byłaby to strata nie do powetowania, która zachwiałaby całą pozycję Ameryki na Dalekim Wschodzie. Wojna zatem w Wietnamie jest pewnego rodzaju wojną prewencyjną w stosunku do Chin. Jeżeli Ameryka dzisiaj nie okiełzna Chin i nie osadzi ich w miejscu, to za lat 10 czy 20 — będzie za późno. Jest to doświadczenie i nauka, które Ameryka wyciąga z wypadków przeszłości, a przede wszystkim z kariery Hitlera.

Dla Europejczyków polityka amerykańska nie zawsze jest zrozumiała, ponieważ Europa zapatrzona jest w siebie i uważa swoje sprawy za klucz do polityki światowej. Ameryka jest krajem otwartym na dwa oceany i problemy Atlantyku interesują ten kraj równie silnie, jak problemy Oceanu Spokojnego. Dla Ameryki Japonia i Chiny to żywotne zagadnienia, o których ani na chwilę zapomnieć nie można. Dlatego wojna, naprzód na Korei, a obecnie w Wietnamie jest żywotną sprawą narodu amerykańskiego i dlatego budziły one i budzą żywe odruchy i reakcje, protesty i pochwały.

### AMERYKA W INNEJ SYTUACJI NIŻ BYŁA FRANCJA

Na pewno ta wojna nie jest wygodna dla Ameryki i osłabia jej potencjał wojenny, a także pociąga coraz to większe straty w ludziach i sprzęcie. Ameryka nie może jednak opuścić pola bitwy i wyjść z Wietnamu, nie może wycofać swoich wojsk jak to doradzał jej parokrotnie de Gaulle, ostatnio w przemówieniu noworocznym do narodu francuskiego. Francja mogła opuścić Indochiny — nie tylko mogła, ale i musiała, albowiem przegrała kampanię i nie miała już własnych sił, aby dalej tę kampanię prowadzić. Dla Francji ubytek Indochin nie stanowił klęski. Była to operacja oszczędnościowa, po której Francja poczuła się zdrowsza. Inaczej ma się rzecz z Ameryką. Nie tylko Ameryka nie musi opuścić Wietnamu, albowiem nie poniosła tam klęski, ale nie może, z uwagi na swoje przyszłe bezpieczeństwo i na to, że jeżeli nie osadzi teraz Chin w miejscu i nie nauczy ich moresu, to wzmożni tylko legendę o amerykańskim „papierowym tygrysie“ i za lat dwadzieścia będzie miała groźbę rakiet nuklearnych w rozmaitych punktach południowo-wschodniej Azji. Nie chodzi tutaj o utratę tzw. twarzy przez USA, ale o całą spokojną przyszłość tego zasadniczo bardzo pokojowego narodu.

Ameryka traktuje poważnie słowa Mao-Tse-Tunga, który w swoich pismach wyłożył swój plan zagarnięcia Azji i pamięta, że swojego czasu nie traktowano poważnie tego, co Hitler pisał w „Mein Kampf“. Nie można się zatem Ameryce dziwić, że mając ostrzeżenie w pismach Mao-Tse-Tunga powiada, iż lepiej opanować jest apetyty chińskie teraz, aniżeli czekać lat dwadzieścia, aż Chiny uzbroją się po zęby i staną się mocarstwem istotnie groźnym.

Wojna w Wietnamie zanosi się bodaj na długie miesiące, a może i lata i nie widać na razie wyjścia na szlak rokowań, a cóż dopiero pokoju. Północny Wietnam na pewno odczuł już bomby

amerykańskie, ale mieszkańcy jego, to twardy naród, przepojony fatalizmem, a poza tym pomoc z Chin i z Rosji napływa szeroką strugą i jak donoszą dziennikarze, którzy ostatnio bawili na terenie Północnego Wietnamu, port w Haiphongu zatarasowany jest wprost statkami z pomocą materiałową dla Północnego Wietnamu.

O ile Ameryce nie powiedło się spacyfikowanie Wietnamu, to można powiedzieć, że udała się próba odizolowania Fidela Castro. Kuba, która stanowiła zagrożenie dla pokoju tak jeszcze niedawno, jest dzisiaj w stanie inercji i rozkładu. Wielki dyktator Castro okazał się człowiekiem pozbawionym wszelkich możliwości zrewoltowania Ameryki Południowej. Kuba nie stała się odskocznią dla rewolucji. Jest to kraj biedny, zadłużony, uzależniony od Chin i od Rosji i Ameryka może się już nie obawiać zagrożenia z tej strony. Kuba okazała się niewypałem w stosunku do Ameryki Środkowej i Południowej, która nie chciała brać nauki od Fidela Castro.

### SANKCJE WOBEC RODEZJI

Jeżeli chodzi o ład afrykański, to problem rodezyjski zapowiada się na długi czas — kto wie czy również nie na lata. Doświadczenie przeszłości uczy, że sankcje to broń i powolna i nieskuteczna. Próba złamania Włoch faszystowskich przy pomocy sankcji ongiś organizowanych przez Ligę Narodów nie powiodła się zupełnie. Nie tylko państwa należące do Ligi Narodów nie okazały solidarności i wymigiwały się jak mogły z postanowień sankcji, ale sam napór sankcji wywołał we Włoszech odruchy patriotyzmu i umocnił pozycję Mussoliniego. Sankcje wobec Rodezji odbiją się przede wszystkim na firmach tych państw, które prowadziły z nią handel — między innymi — na firmach zachodnio-niemieckich. Rodezja zastąpi te braki i luki Południową Afryką i Portugalią. Granica z Afryką Południową daje Rodezji wielkie możliwości, a Afryka nie zamierza przecinać powiązań z Rodezją.

Dramatyczne posunięcia i spotkania na krążowniku „Tygrys“ nie na wiele się przydały i wzmocniły raczej wrażenie, że premier brytyjski Wilson lubi teatralne gesty i naśladuje świadomie czy nieświadomie Churchilla. Najwyraźniej nie dorasta on jednak do tej roli, a poza tym przeciwnik — Rodezja — jest trochę małego formatu. Anglia nie może pójść na drastyczne rozwiązanie z Rodezją, a zatem rozwiązanie drogą użycia siły. Żołnierze angielscy nie strzelaliby do żołnierzy rodezyjskich i trudno im się dziwić. Anglia jest doskonale, że w razie przyjęcia zasady rządu większości, losy 200 tysięcy Rodezyjczyków rasy białej będą nie pe-



wne i kto wie, czy rząd czarnej większości nie wypędziłby wszystkich białych i nie skonfiskował ich majątków. Te majątki są bardzo poważne, a przykład Algierii nie jest zachęcający. (Ostatnio rząd algierski nie pozwala na wyjazd z Algierii Francuzom, którzy mają tam przedsiębiorstwa i interesy, jeżeli nie przedstawią dowodów zapłacenia podatków). Francja przyjęła olbrzymią większość osadników z Algierii do siebie i dała im możliwość pracy — ale jak mogłaby postąpić Anglia z rzeszą 200 tysięcy Rodezyjczyków? Gdzie mieliby się oni podziąć, gdyby wyrzucono ich z Afryki?

Dla Anglii zatem problem Rodezji jest niebywale kłopotliwy i nie można Anglii oskarżać o obłudę, jeżeli postępuje ostrożnie z całą kwestią Rodezji. Chciałaby ona ukuć jakiś kompromis, aby uratować posiadłości białych. Państwa afrykańskie nie rozumieją tej tragedii wewnętrznej i uważają, że należy przeforsować użycie siły. Anglia na to użycie siły pójść nie może.

Pomimo tego, trudno przypuścić, aby Rodezja stała się ogniskiem nowego konfliktu czy awantury w wielkim stylu. Jej znaczenie jest przesadzone przez prasę angielską, która żeruje za sensacją i dramatyzuje wydarzenia lokalnego raczej charakteru, starając się przedstawić je jako ewenementy na skalę światową. Wielka szkoda, że tyle energii angielskiej marnuje się na zagadnienie drugorzędne i że odciąga się uwagę publiczności od ważniejszych problemów niż Rodezja — a zatem od Europy.

### EGOIZM NARODOWY DE GAULLA

Na odcinku europejskim sytuacja nie jest na pewno dobra. Przyczyną tego faktu jest nie tylko skłócenie w szeregach EWG, wywołane dwuznacznym stanowiskiem Francji, ale i niepewne losy kandydatury W. Brytanii do Wspólnego Rynku. Jeżeli chodzi o to pierwsze, to pomimo pewnego złagodzenia stanowiska Francji wobec organizacji brukselskiej i pomimo drobnych sukcesów tej organizacji, która przeforsowała swoją wolę wbrew Francji, przyszłość EWG jest dalej niejasna, Francja rekomą de Gaulle'a zahamowała logiczny rozwój EWG, a zatem nie pozwoliła by integracja gospodarcza zaczęła powoli przechodzić w integrację polityczną. Mamy zatem do czynienia na terenie EWG z rodzajem impasu, który odbija się bardzo niekorzystnie na sile i zdrowiu tego organizmu.

De Gaulle nie zamierza w niczym ułatwiać zadania EWG, ani w dziedzinie integracji gospodarczej, ani planów na przyszłość, albowiem najwidoczniej przejęty jest swoją grą z Europą Wschodnią, głównie z Rosją. W

tych warunkach byłoby — według tego — rzeczą niewskazaną umacniać zręby Europy Zachodniej. Polityka de Gaulle'a jest dalej, niestety, polityką egoizmu narodowego, mającą na celu wywindowanie pozycji Francji ponad jej faktyczne możliwości i wpływy. Nie rozumie on, że Francja ma dla Rosji przede wszystkim wartość tego co język angielski nazywa mianem „nuisance value“, a zatem może wprowadzić nielada zamęt w szeregi Zachodu i paraliżować akcję zmierzającą do integracji Europy Zachodniej. Dla Rosji jest to na pewno bardzo cenny atut, ale nie zastąpi on, oczywiście, głównego celu polityki sowieckiej, a zatem dogadania się z Ameryką. De Gaulle nie ma wiele do zaoferowania Rosji, a jeszcze mniej Europie Wschodniej, której potrzebny jest przede wszystkim olbrzymi zastrzyk kapitału i kredytów. Takim zastrzykiem de Gaulle nie dysponuje.

### JAK POTOCZY SIĘ POLITYKA NIEMIEC?

Plan de Gaulle'a wobec Europy pozostaje tajemnicą, spowitą w ogólniki pięknej retoryki o „Europie od Atlantyku po Ural“, co jest samo w sobie logicznym nonsensem, gdyż Rosja nie kończy się na Uralu i nigdy nie pogodziłaby się z tego rodzaju granicami. Wszelkie awanse de Gaulle'a wobec Europy Wschodniej wydają się natury powierzchownej i poza zaszczytem jaki przynosi Francji wizyta tego czy innego dostojnika z Europy Wschodniej — o ile to można nazwać zaszczytem — niewiele na razie widać wyników tej nowej swobody dyplomatycznej Francji. Na wiosnę roku bieżącego Francja przeżyje wybory do parlamentu i zobaczymy, jaki układ powstanie w nowym Zgromadzeniu Narodowym w Paryżu. Czy siły anty-gaulistowskie wzmocnią się? Czy lewica istotnie się skonsoliduje? Sam de Gaulle nie jest zagrożony wynikami wyborów, albowiem przypuszczając wolno, że gdyby wybory wypadły dla niego zdecydowanie niepomyślnie, to i tak Prezydent miałby głos w ich interpretowaniu. Chodzi więc zatem o to, czy po wyborach na prezydenta, w których Mitterrand i Lecanuet przedstawiali elementy opozycji wobec de Gaulle'a, czy po tych wyborach odpyw popularności generała trwa, czy też został zahamowany.

Tak czy owak, de Gaulle nie jest już mężem przyszłości Francji i Europy patrzy z coraz to większym zniecierpliwieniem na polityka, który miał i ma dalej sporo cech wielkości. Podobne zniecierpliwienie wyrażano kiedyś pod adresem Adenauera i pytano się po cichu: „kiedy ten stary sobie nareszcie pójdzie?“ Jest rzeczą jasną, że dopóki de Gaulle pozostaje u władzy, EWG

nie może się odpowiednio rozwinąć i że myśl europejska jest zdławiona przez idee de Gaulle'a, które są zmienne i wahają się ustawicznie.

Nowy gabinet zachodnio-niemiecki w Bonn wykiada dopiero powoli karty, ale możemy się mniej więcej zorientować w jego zamiarach. Na pewno chce on utrzymanią najbardziej ścisłego porozumienia z Ameryką i chciałby naprawić szczyby, które zostały uczynione w latach ostatnich, w okresie Erharda i Schroedera. Wiadomo jest dobrze, że de Gaulle nie znosił i jednego i drugiego, a istnieją nadzieje, że może stosunki z nowym kanclerzem Kiesingerem i nowym ministrem spraw zagranicznych Brandtem ułożą się bardziej gładko w Pałacu Elizejskim. Niemcy Zachodnie chciałyby rozładować problem Europy Wschodniej. Mają po temu duże szanse, jeżeli chodzi o kraje takie jak Rumunia, Węgry Czechosłowacja, którym mogą zaoferować liczne korzyści kapitału i handlu. Co do Polski, to zagadnienie to komplikuje się z racji warunku uznania granicy na Odrze i Nysie. NRD jest także twardej orzechem do zgryzienia: chciałaby ona bowiem, aby NRF nareszcie uznała istnienie NRD i pogodziła się z istnieniem dwóch państw niemieckich. NRD nie potrzebuje dzisiaj pomocy finansowej tak jak jeszcze 10 czy 5 lat temu. NRD wysforowała się wysoko jeżeli chodzi o listę państw uprzemysłowionych świata i nie jest dzisiaj już Kopciuszkiem. Własnym wysiłkiem i niewątpliwym zrywem pracy, dyscypliną pracy iście niemiecką, Kraj ten przeszedł z toru застоju i kryzysu na tory jakiejś takiej pomyślności.

### RYWALIZACJA FRANKO-NIEMIECKA

Zabiegi NRF wobec Europy wschodniej trwać będą w ciągu roku i można się liczyć z pewnymi wynikami. Ale droga jest długa i nadmiernie efektywnych wyników trudno oczekiwać. Jak Francja zestroi te swoje własne wysiłki z wysiłkami NRF, nie wiemy. Czy będzie zadrosna o to, że Niemcy podejmują „jej“ robotę i że mają tutaj większe szanse, albowiem są bogatszym narodem i mogą sobie pozwolić na większe dotacje i pomoc gospodarczą dla Europy wschodniej, aniżeli Francja? Zobaczmy!

Rok 1967 nie zapowiada się jako rok nadmiernie dla tej Europy pomyślny. Nie widać bowiem, jak EWG ma być wzmocniona — chociażby jeden i drugi zjazd, czy rzymski, czy brukselski te idee forsowały? Plan Brzezińskiego, jak się mówi dzisiaj o nowej polityce USA wobec Europy wschodniej, zawiśł w powietrzu, albowiem zależny on jest od siły EWG i od stanowiska Niemiec za-

chodnich, jak i Francji wobec tych tez. Polityka USA w Europie na pewno osłabła, a zajęcie się problemami Azji odciągnęło, niewątpliwie, uwagę USA od Europy.

### SCHYLEK PROSPERITY

Tempo gospodarczej ekspansji które było tak silnie zaznaczone w NRF wyraźnie osłabło; jest to zjawisko ogólne w Europie zachodniej, gdzie gospodarcza ekspansja zmalała. NRF trzymała się najdłużej, jeżeli chodzi o tempo, ale i ona uległa ogólnieuropejskiej „modzie“. Bezrobocie w NRF lekko zwiększa a tendencja do sprowadzania obcych robotników, których było ponad milion, słabnie. Bezrobocie w Niemczech jest zawsze zjawiskiem, które niepokoić musi obserwatorów tego terenu. Wiemy jak bezrobocie działało w Niemczech weimarskich, a jaką rolę odegrało w formowaniu się hitlerowskiego fermentu. Wiemy, że w Ameryce bezrobocie w krytycznym okresie przed przyjściem Roosevelta osiągało cyfry 12 milionów, a zatem było akurat takie samo, wynosząc 10 procent ludności, jak w Rzeszy weimarskiej, gdzie osiągało 6 milionów przy 60 milionach ludności, USA miała wtedy 120 milionów mieszkańców. Jednak w USA nie doszło do dyktatury, w Niemczech do niej doszło.

Jeżeli bezrobocie wzrośnie w NRF i jeżeli nowy rząd koalicyjny nie potrafi zyskać sobie autorytetu, to wtedy prądy skrajne, wtedy NPD będzie rosła na siłach. Pamiętamy, że tendencje takie nie istniały wyraźniej w dobie Adenauera. Wynikało to z dwóch faktów: Adenauer był dużym autorytetem, a ponadto idea europejska była w NRF silna. Po Adenaurze autorytet władzy wyraźnie zmniejszono: idea europejska spadła na siłę. Jeżeli nowe Bonn nie odbuduje szacunku dla władzy, wszelkie elementy skrajne, głoszące, że trzeba zorganizować „wolę narodu“ poza Bundestagiem, będą coraz to bardziej używane. I wtedy NPD albo inna partia o tym zakroju może stać się polityczną groźbą.

### WOBEC NOWEGO NAZIZMU

Koalicja Kiesingera musi urwać łeb hydrze, a zatem pohamować NPD i nie dopuścić do rozszerzenia się wpływów tego rodzaju partii. Niemcy zachodnie nie są bowiem państwem normalnym — a zatem nie jest to kraj, któremu możemy całkowicie zaufać. Jeżeli w Anglii pojawiłaby się dzisiaj jakaś nowa partia Mosley'a, to kwitowalibyśmy ją uśmiechem. Podobnie, w Szwajcarii czy Danii czy Holandii. Ale inaczej ta historia wygląda, kiedy mamy do czynienia z Niemcami. Tam każdy skrajny

objaw niepokoi nas. Tam każde nasilenie ferworu nacjonalistycznego wywołuje widmo Hitlera. Przeklęta „uczuciowość“ niemiecka, łatwość wpadania w przesadę, zdolność do uwielbiania „wodzów“, nieraz lichego kalibru, wszystko to każe nam mieć się na baczności. Niemcy są dalej „na cenzurowanym“ świecie i nic tego faktu nie zmieni. Wiedzą o tym na pewno politycy w Bonn i powinni rozumną, a silną polityką dać światu dowód, że hydra NPD nie zostanie wzmocniona.

NRF pozostaje, obok Francji kluczowym krajem Europy na rok 1967.

Zbigniew Grabowski

## BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane  
ze sprowadzaniem rodzin  
z Kraju  
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

## TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,  
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16

47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2

39, Corporation Street

Tel. MID 1526

## Czy jesteś członkiem SPK ?

**P**PRASA partyjna podała w ostatnim kwartale ub.r., że liczba członków i kandydatów wzrosła do przeszło 1,8 miliona. Jest to, jak podkreślono, pocieszająca wiadomość, chociaż nawet ta cyfra stanowi tylko około 6 procent ogółu ludności polskiej. Na niej kierownictwo partii opiera swoją władzę nad pozostałymi 94 procentami, a taki stan określa się dyktaturą proletariatu.

Wyłania się przeto pytanie, jak wygląda wewnętrzny skład tych 6 procent, bowiem wiadomości, pochodzące również z prasy partyjnej, są raczej mniej pocieszające. Stąd, opierając się na sprawozdaniach z posiedzeń komitetu centralnego i centralnej komisji kontroli partyjnej, dochodzi się do wniosku, że w skład partii wchodzi kilka grup, przy czym, z góry należy podkreślić, że typ komunisty-idealisty należy do przeszłości, bowiem prawie wszyscy, zajmują dziś najwyższe stanowiska w partii i rządzie, albo kumulatywnie w obu, a w odróżnieniu od praktyki zachodniej, gdzie dochody ludzi na wysokich stanowiskach publicznych znane są każdemu obywatelowi, dochody dygnitarzy w państwach demokracji ludowej stanowią tajemnicę.

Drugą, najliczniejszą grupę stanowią ludzie, którzy dzięki przynależności do partii otrzymali już albo też spodziewają się uzyskać lepsze stanowiska, zastrzeżone dla członków partii oraz tacy, którzy nie opuszczają partii w obawie, by nie utracić zajmowanego stanowiska.

Dalsza grupa, to funkcjonariusze olbrzymiego aparatu partyjnego, od centralnego komitetu w dół, do egzekutywy na niższych szczeblach, opłacanych z budżetu partii. A wreszcie, ostatnia grupa, o której tak wiele dyskutuje się na posiedzeniach komisji kontrolnych, to „cwaniacy“, którzy przystępują do partii dla robienia własnych interesów. Ich aktywność wychodzi na jaw, często po długim czasie np. w czasie wielkich afer gospodarczych, albo na skutek nie dających się dłużej ukryć skandalów. Wtedy spotyka ich najwyższa kara — wydalenie z partii, jednak zgodnie z przyjętą w partii procedurą, wydalenie nie jest karą dożywotnią; po upływie pewnego czasu wydalony ma prawo ubiegać się o ponowne przyjęcie do partii. Ten proces, nawet w partii nazwano niedawno „Karuzelą.“

Ostatnio sytuacja w partii musiała widocznie ulec znacznemu pogorszeniu, bo w dniu 21 września ub.r. Trybuna Ludu opublikowała artykuł nie podpisany, a zatem napisany w centralnym Komitecie, zatytułowany: „W walce ze złem społecznym“, w którym podkreślono, że o postępie społeczeństwa decyduje nie tylko rozwój ekonomiczny, ale zdrowie moralne ludności, a przede



# Na jakich fundamentach stoi PZPR?

wszystkim walka ze złem społecznym i zrozumienie szeroko pojętej pracy ideowo-wychowawczej.

A o jakie zło społeczne chodzi, wyjaśnia partia, gdy mówi, że coraz to więcej organizacji partyjnych podejmuje konsekwentną walkę z dygnitarstwem i bezdusnością klik, protekcjonizmem, przestępczością gospodarczą i korupcją; z niezdolnością w zarządzaniu i marnotrawstwem mienia społecznego i wypaczeniami w polityce kadrowej.

Autor (tj. partia) zwraca następnie uwagę, że tym sprawom poświęcono wiele uwagi na posiedzeniach plenarnych w miastach wojewódzkich, gdzie stwierdzono penetrację obcej ideologii do życia partyjnego.

Trudno sobie wyobrazić, jaka to obca ideologia i na jakich wzorach oparta, pomaga w tworzeniu się klik i dygnitarstwa, od kogo biorą przykład elementy skorumpowane? Stwierdzono ponadto wiele zjawisk kacykostwa i nepotyzmu, pogoni za „łatwym życiem“, niedostateczną dyscyplinę społeczną, biurokratyzm, tłumienie krytyki i szyskanowanie krytykujących.

Dlatego, jak nakazuje partia, należy zdecydowanie oczyszczać szeregi partyjne z elementów karierowiczowskich, dwulicowych i nieuczciwych, należy stosować kary za wykroczenia niezgodne z etyką i polityką partii, a gdy zajdzie potrzeba, należy rozwiązać całe organizacje partyjne.

Ale w toku wyliczania zjawisk zła społecznego, partia przyznała się, że jej organy zajmują się na wszystkich szczeblach bezpośrednio sprawami administracji państwowej. Przypomina, że do władz partyjnych należą tylko sprawy najważniejsze i że należy unikać „wyręczania“ władz administracyjnych w szczegółowych kwestiach. Przytoczono wypowiedź tow. Strzeleckiego, że instancje partyjne winny pomagać pracownikom gospodarczym, a nie pozwalać, „by źle pracującą administracja lub nieodpowiedni ludzie ukrywali za partią swoje niedomagania, nierówność i błędy.“

## SYTUACJA w WOJEWÓDZTWIE KRAKOWSKIM NAJGORSZA

W dniu 1 października Trybuna Ludu powróciła do tego samego tema-

tu, ogłaszając artykuł Czesława Domagały, pierwszego sekretarza krakowskiej egzekutywy partii. Domagała objął to stanowisko po obecnym ministrze kultury i sztuki Motyce, a od czasu objęcia nazwany jest popularnie „Niedomagała.“ Najwidoczniej musiał on otrzymać od centralnego komitetu reprimandę, bo już po 10 dniach, jeszcze głośniejszy nawoływał do walki ze złem społecznym, bo jak twierdzi, „na zdrowej fali pojawiają się męty“. Przytacza przykłady działalności tych mętów m.in. wprowadzanie w błąd władz zwierzchnich, demoralizowanie środowiska, pochlebstwa i łapówki, wzajemnie świadczone usługi i umiętny szantaż, wiązanie ze sobą ludzi małych i słabych, w tym poszczególnych członków partii, kumoterstwo i protekcjonalizm. Przypomina fakty, kiedy ludziom na wcale odpowiedzialnych stanowiskach wyremontowano mieszkania, a dygnitarzom tym niższymi niewspółmiernie kosztami remontów.

W życiu poszczególnych organizacji partyjnych, mówi dalej Domagała, zakorzeniła się apatia i bierność, a niedopuszczalny liberalizm wobec zła i kumoterstwa zatacza coraz szersze kręgi. Kontrola przeprowadzona w 1965 roku wykryła w niektórych przedsiębiorstwach krakowskich straty na kwotę 217 milionów złotych. W tym samym okresie oddano do milicji lub prokuratury 847 spraw, a 679 spraw skierowano do komisji orzekających. Do komisji dyscyplinarnych skierowano 5150 spraw, a ogółem ukarano 219 dyrektorów, prezesów i ich zastępców, 179 głównych księgowych i 1,150 innych osób, zajmujących kierownicze stanowiska. A wśród nich, jak przynajmniej Domagała, „pewien“ odsetek stanowili członkowie partii.

Ponadto w spółdzielniach pracy, a także w gminnych i powiatowych spółdzielniach „Samopomocy chłopskiej“, (nomen omen) wykryto poważne nadużycia, a z Dąbrowy tarnowskiej i Limanowej napływają alarmujące fakty. Stwierdzono, że w całym wojewódzkim pionie gminnych spółdzielni pracuje około 1.950 osób ze sobą spokrewnionych, w tym zajmujących odpowiedzialne stanowiska i współzależnych między sobą. Wykryto, że 130 osób spośród zatrudnionych, było już wcześniej karanych za przestępstwa gospodarcze.

O sytuacji w stolicy pisało „Życie Warszawy“ z dnia 28 września ub.r., gdy podało do wiadomości wyniki z narady specjalnej komisji związków zawodowych, reprezentujących wszystkie związki zawodowe w stolicy i województwie warszawskim. W toku obrad stwierdzono, że w okresie ostatnich 2 1/2 lat, związki zawodowe otrzymały 30 tysięcy zażaleń, a w większości wypadków, żalący mieli rację. Zażalenia dotyczyły głównie: nienależytego obliczenia godzin nadliczbowych, odmowy przedsiębiorstwa wypłacenia robotnikowi, który zmienił miejsce pracy, pozostałych należności pod pretekstem, że nie uczynił zadość formalnościom oraz odmowy wypłacenia premii. Inne zażalenia dotyczyły zaległych urlopów. A już najwyraźniejszym dowodem łamania „socjalistycznej“ praworządności było zaprzeczenie robotnikowi, który uległ wypadkowi przy pracy, lub jego rodzinie, jeśli postradał życie, renty inwalidzkiej lub wdowiej i sieroczej. Wszystkie te sprawy kierują przedsiębiorstwa umyślnie do sądu, gdzie starają się prowadzić dowód, że wypadek miał miejsce z winy robotnika. W sądzie zaś, tak długo starają się sprawę odwlekać, aż strona skarżąca się zmęczy.

Zebrani uchwalili, że w przyszłości każdy poważniejszy wypadek przy pracy, winien być podany do wiadomości prokuratora, a ponadto, aby koszty przewlekłych procesów ponosili dyrektorowie zakładów z własnej kieszeni, a nie z funduszy fabryki.

## W ADMINISTRACJI TEŻ NIE LEPIEJ

A jeśli chodzi o zażalenia obywateli na traktowanie ich spraw przez władze administracyjne, to i tu sprawa ma się podobnie, bo jak podał katowicki Dziennik Zachodni, w dniu 10 października ub.r., w ciągu tylko pierwszego kwartału 1966 r., do wojewódzkiej rady narodowej wpłynęło sto jedenaście tysięcy zażaleń przeciw urzędnikom wojewódzkim i władzom niższych szczebli. A jak podało pismo, w 80 procentach zażalenia były uzasadnione.

## A CO MÓWI CENTRALNA KOMISJA KONTROLI PARTYJNEJ?

Do sytuacji w partii powróciło również plenum CKKP w dniu 3 listopada ub.r., na którym stwierdzono, iż mimo całej armii kontrolerów, zasilonych przez aktywny społeczny, skutki kontroli pozostawiają dużo do życzenia. W dalszym ciągu świadczą o tym fakty marnotrawstwa środków materialnych, oraz wręcz złodziejstwa, nadużyć i korupcji, a organizacje partyjne za

**W** 1947 roku, czyli dwadzieścia lat temu, zaczęła się psuć pozorna sielanka między Sowietami a mocarstwami zachodnimi, które i tak zbyt długo ulegały niebezpiecznym złudzeniom w ocenie istotnych intencji Kremla. Brutalna blokada Berlina, przełamana gigantycznym mostem powietrznym, złudzenia te rozwiła i stała się początkiem zimnej wojny i zabiegów o uniknięcie wojny gorącej. Mimo pokojowych zapewnień obu stron i coraz liczniejszych prób zbudowania koegzystencyjnych mostów, ta zimna wojna, a wraz z nią wyścig zbrojeń, toczy się nadal i toczyć musi tak długo, jak długo świat komunistyczny nie zrezygnuje ze swoich światoburczych planów.

Choć obecnie przeważa pogląd, że — wobec rzekomej równowagi atomowych odstraszaków Ameryki i Sowietów — nowa wojna totalna nie grozi i choć nie wszystkie zmiany dokonane w ciągu ostatniego dwudziestolecia zostały spowodowane ową zimną wojną, warto badać je zbilansować, tzn. naświetlić choćby z grubsza stosunek sił obu rywalizujących ze sobą światów w chwili rozpoczęcia owej zimnej wojny i w chwili obecnej. Choćby tylko dlatego, że zachwiania tak zwanej „równowagi strachu“ mogło i może zachęcić co najmniej do wznowienia szantażów.

#### **PZPR (Dokończenie ze str. 9)**

mało poświęcają tym wypadkom uwagi. W toku obrad, prezes najwyższej izby kontroli Dąbrowski, ujawnił wykrycie nowego systemu, stosowanego przez wiele przedsiębiorstw przemysłu stalowego. Dyrekcje tych przedsiębiorstw zawierają z klientem „umowę dzentelmeńską“, w której dostawca zobowiązuje się dotrzymać terminu dostaw, zaś klient obiecuje, że nie będzie kwestionował jakości dostarczonych produktów.

A przecież nad wszystkim czuwa w przedsiębiorstwach zakładowa organizacja partyjna, dowód, że i tu kierownictwo partii nie może mieć zaufania do członków partii. W systemie, w którym z powodu niskich płac podstawowych, robotnik zainteresowany jest zdobyciem premii, zarobek posiada większą atrakcję od propagowanej etyki partyjnej.

Toteż mimo częstego podkreślania na zjazdach i plenarnych posiedzeniach, przez PZPR., że po 20 latach partia stanęła na solidnym gruncie, przytoczone przez komitet centralny, Domagałę i centralny partyjny komitet kontroli, fakty dowodzą, jak to zresztą dowcipnie określa się obecnie w kraju, że partia stoi na fundamencie z sera.

Jan Adamski

**KAZIMIERZ GLABISZ**

# **SALDO DWUDZIESTU**

## **SYTUACJA STRATEGICZNA W 1947 ROKU**

Sytuacja ówczesna była niemal pod każdym względem dla świata wolnego korzystna. Dominował niepodzielnie na morzach i w powietrzu, miał wielokrotnie większy potencjał przemysłowy i niczym niezagrożony dostęp do surowców i portów niemal całego świata i, aczkolwiek nie posiadał (po zbombardowaniu Hiroszimy i Nagasaki) gotowych bomb atomowych, mógł w każdej chwili ich produkcję w Ameryce wznowić. Co niemniej ważne, jego główna reduca, Ameryka, nie mogła być ani z powietrza, ani z morza zagrożona, bo Sowiety nie posiadały wówczas ani dalekonośnych rakiet, ani oceanicznej floty podwodnej. Jedyne pod względem konwencjonalnych sił lądowych istniała wówczas (wskutek gwałtownego zredukowania wojsk zachodnich) wyraźna przewaga bloku komunistycznego. Przewaga tak wielka, że utrzymanie zachodniej Europy w I. fazie ew. konfliktu zbrojnego uchodziło za niemożliwe — mimo fatalnego stanu transportu i przemysłu sowieckiego oraz niedostatecznego opanowania krajów satelickich. Kreml nie wykorzystał tej sytuacji, bo zdawał sobie sprawę z tego, że II. faza przewlekłej wojny musiałaby się zakończyć jego klęską.

## **JAKIE ZMIANY ZASZŁY W TEJ SYTUACJI DO CHWILI OBECNEJ?**

Nie mogąc, z przyczyn zrozumiałych, omawiać wszystkich zmian, które przyniosło ostatnie dwudziestolecie, ograniczę się do przypomnienia najistotniejszych i to tylko w dziedzinie geostrategicznej, organizacyjnej, uzbrojeniowej, gospodarczej, wywiadowczej oraz zwartości obu „bloków“.

## **ZMIANY NATURY GEOSTRATEGICZNEJ**

Na tym polu saldo zmian jest dla Zachodu zdecydowanie ujemne. Gdy zasięg komunistycznego jarzma nie tylko się nie zmniejszył, ale przeciwnie rozszerzył na całe Chiny, części Laosu i Wietnamu oraz Kubę, Zachód stracił, prócz wspomnianych krajów, swobodny dostęp do lotnisk, baz, portów i surow-

ców niemal wszystkich dawnych kolonii i mandatów brytyjskich, francuskich, holenderskich i belgijskich, a ponadto do kanału Sueskiego i większości naftowych źródeł Środkowego Wschodu. Większość tych zdekolonizowanych krajów współpracuje wprawdzie nadal raczej z Zachodem, ale uprawia politykę neutralistyczną, umożliwiającą korzystanie z pomocy obu rywalizujących obozów, a niektóre, jak np. Egipt, Syria i Irak, Algeria, Kambodża i inne, wyraźnie sympatyzują i współpracują z „blokiem“ komunistycznym.

Zmiany te powiększyły potencjał ludzki obozu komunistycznego o około 750 milionów Azjatów i Kubańczyków i dołączyły do ongi słabego obozu neutralistycznego około 830 milionów Azjatów i Afrykańczyków. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby mocarstwom anglosaskim nie udało się obronić przed czerwonym zalewem przynajmniej Grecji, Południowej Korei, Berlina zachodniego, Malajzi, Filipin, Konga, Formozy i części Wietnamu i Laosu, a zamach komunistyczny w Indonezji się udał. Tak czy inaczej utrata potencjału ludzkiego obozu zachodniego była ogromna i stanowi — obok utraty dostępu do wielu baz, surowców i kanału Sueskiego — największe osłabienie jego sytuacji. Dodatkowo, choć w znacznie mniejszym stopniu, pogorszyło ją zneutralizowanie Austrii oraz powstanie komunistycznej bazy w Zatoce Meksykańskiej.

## **ZMIANY W STANIE SIŁ ZBROJNYCH OBU STRON**

Stan liczebny sił zbrojnych obu stron mniej więcej się wyrównał — mimo powiększenia sił satelitów sowieckich oraz stworzenia ogromnej, regularnej armii Chin komunistycznych. Obie strony trzymają pod bronią po 7 względnie 8 milionów ludzi. Ta zmiana na korzyść Zachodu nastąpiła głównie wskutek znacznej rozbudowy sił amerykańskich, ponownego uzbrojenia Niemiec, Zachodnich, Włoch i Japonii oraz dobrojenia Formozy, Południowej Korei, Południowego Wietnamu itd. Byłaby ona jeszcze wyraźniejsza, gdyby Wielka Brytania i Kanada nie zniosły obowiązkowej służby wojskowej, a Francja nie zredukowała tak znacznie swoich konwencjonalnych sił lądowych po zakończeniu walk w Algierii.

Mimo tej pozornej równowagi liczeb-



# LAT ZIMNEJ WOJNY

nej, przewaga strony komunistycznej naładzie się utrzymała. Zwłaszcza, że dysponuje ona daleko większymi zasobami wyszkolonych rezerwistów i że z wyjątkiem Chin, jest lepiej przygotowane do działań zaczepnych, posiadając daleko więcej sprzętu pancernego i amfibijnego oraz daleko więcej gotowych dywizji. Do tego dochodzi uwikłanie znacznej części sił amerykańskich w Wietnamie.

Jeśli idzie o konwencjonalne siły powietrzne, to zarówno ilościowa jak jakościowa przewaga Zachodu się utrzymała, jednak zmalała. Zmalała choćby tylko dlatego, że lotnictwo sowieckie się uwszechstronniło i unowocześniło oraz zasięg swoich bombowców i transportowców znacznie wydłużyło. Również w dziedzinie środków alarmowych i naziemnej obrony plot. dawniejsza dysproporcja raczej zmalała.

To samo można powiedzieć o ewolucji stosunku sił morskich. W tej dziedzinie przewaga Zachodu jest wprawdzie nadal ogromna, jednak już nie gwarantuje swobody żeglugi i nie zabezpiecza nawet wybrzeży amerykańskich — wobec bezprzykładnej rozbudowy sowieckiej floty podwodnej, wyposażonej w rosnącym procencie w napęd atomowy i rakiety, co prawda, daleko mniej liczne i donośne.

## ZMIANY W ORGANIZACJI OBU OBOZÓW

Największe zmiany nastąpiły jednak po obu stronach na polu broni niekonwencjonalnych. Ameryka nie posiada już monopolu, ale nadal zdecydowanie dominuje, choć prócz Sowietów także Wielka Brytania, Francja i Chiny posiadają już broń atomową w ograniczonych ilościach i choć Sowiety — mają potężniejsze rakiety wodorowe o międzykontynentalnym zasięgu oraz od kilku lat niemal monopol w dziedzinie rakiet średniodystansowych. Ogólna przewaga Ameryki polega nie tylko na daleko większej ilości gotowych bomb i rakiet atomowych i wodorowych o międzykontynentalnym zasięgu oraz na lepszym ich zabezpieczeniu („silosy“ lub okręty podwodne), ale także na bezspornie większym potencjale produkcyjnym. Czy Sowiety istotnie wyprzedziły Amerykę w dziedzinie rakiet przeciwrakietowych, jest — mimo alarmów — co najmniej niepewne.

Także w obu obozach zaszły ogromne zmiany. Zachód stworzył trzy regionalne organizacje obronne (NATO, CENTO i SEATO), a ponadto Stany Zjednoczone zawarły liczne dwustronne sojusze wojskowe. Niestety, wartość NATO została ostatnio podważona poważnie przez całkowite wycofanie Francji z wojskowej organizacji tego paktu, zaś pozostałe dwa sojusze wieloboczne nigdy nie doprowadziły do pełnej integracji i zostały ostatnio do reszty osłabione biernym stosunkiem Francji i Pakistanu. Dwustronne sojusze Ameryki (z Hiszpanią, Japonią, Formozą, Południową Koreą itd.) tylko w pewnym stopniu poprawiają sytuację. Zwłaszcza, że jej wpływ i prestiż raczej zmalał. Na szczęście, nie lepiej przedstawia się od kilku lat wartość obozu komunistycznego wskutek nieśląbnej rywalizacji między Pekinem a Moskwą, powodującej wstrzymanie pomocy sowieckiej dla Chin, liczne rozłamy w komunistycznych partiach w wolnym świecie oraz utratę sowieckich baz w Albanii. Układ warszawski wprawdzie pogłębił zależność europejskich krajów satelickich od Sowietów, bo doprowadził do pełnej integracji wojskowej, jednak nie uzależnił Jugosławii i pełnego odciążenia odcinka azjatyckiego Sowietom nie dał.

W rezultacie tych zmian, wartość obu bloków, która w latach pięćdziesiątych bardzo wzrastała, osłabła ostatnio do tego stopnia, że straciły one charakter bloków i swobodę działania.

## ZMIANY W INNYCH DZIEDZINACH

Ograniczone ramy jednego artykułu uniemożliwiają analogiczne scharakteryzowanie zmian dokonanych w pozostałych, nie mniej ważnych dziedzinach. Toteż naszkicuję je tylko pobieżnie:

**Pontencjały gospodarcze.** W tej dziedzinie przewaga Zachodu jest nadal zdecydowana — mimo ogromnych postępów obozu komunistycznego w dziedzinie przemysłu ciężkiego i eksploatacji surowców strategicznych. Dotyczy to nawet produkcji sprzętu uzbrojeniowego, a przynajmniej jej potencjalnych możliwości, choć pod tym względem margines przewagi Zachodu najbardziej się skurczył. Najgroźniejszą słabizną obozu komunistycznego w tej dziedzinie jest jednak brak samowystarczalności

aprowizacyjnej, spowodowany fatalnym stanem rolnictwa i hodowli, a obozu zachodniego eksponowane położenie jego europejskich ośrodków przemysłowych i ich zależność od zamorskich surowców.

**Transport i telekomunikacja.** Także na tym polu przewaga Zachodu się utrzymała — mimo dużych postępów drugiej strony. Dotyczy to zarówno gęstości sieci i wydajności portów, jak i ilościowego stanu kolejowego, motorowego i morskiego taboru. Przewaga ta zmniejszyła się bodaj najbardziej w dziedzinie transportu lotniczego i telekomunikacji.

**Znajomość tajemnic drugiej strony.** W tej dziedzinie awantaż obozu komunistycznego się zwiększył, bo prasa i handlowa reklama zachodnia popelnia coraz więcej niedyskrecji, sowieckie okręty podwodne i statki rybackie coraz śmielej obserwują wybrzeża i mówny zachodnie, a swoboda poruszania się coraz liczniejszych delegatów i stypendystów wschodnich oraz istnienie dużych V-tych kolumn czerwonych ułatwiają penetrację. Te nierówne warunki w zdobywaniu cennych wiadomości z jednej strony bardzo pomogły Sowietom w pokonaniu różnych trudności technicznych, a z drugiej strony mogą zwiększyć skuteczność ich ewentualnych uderzeń i ułatwić zamaskowanie przygotowań do nich.

**Obróbka mas i ich nastroje.** O tym niezmiernie ważnym i skomplikowanym problemie oraz o morale sił zbrojnych mogę w ramach tego artykułu wspomnieć tylko mimochodem. Wydaje się, że cała ludzkość boi się wojny i szczerze pragnie pokoju. Nie wolno jednak zapominać o tym, że — mimo pokojowych deklaracji — propaganda komunistyczna stara się podtrzymać i nawet pogłębić w masach nienawiść do „imperialistycznego, faszystowskiego i kapitalistycznego“ Zachodu, a zwłaszcza do N.R.F. i Stanów Zjednoczonych A. P., oraz że totalitarne reżimy komunistyczne nie muszą liczyć się z nastrojami mas w tym samym stopniu jak rządy demokratyczne.

Jakie wnioski można wyciągnąć z tego bardzo skondensowanego przeglądu wyników dwudziestoletniej wojny zimnej?

Rozpętała ona opętaneży wyścig zbrojeniowy, ogarniający coraz to inne dziedziny i niemal wszystkie kraje i ciężący coraz bardziej na całej ludzkości. Wyścig ten, podsycany nie tylko obawą przed wojną totalną, ale także raz po raz wybuchającymi, lokalnymi wojnami „gorącymi“, uchronił ludzkość przed okropnościami wojny totalnej może tylko dlatego, że nie zdołał wszystkich słabizn usunąć i wszystkich dysproporcji wyrównać.

Słuszny respekt przed ogromnym arsenałem apokaliptycznych broni amerykańskich zmusił władców obu komunistycznych imperiów do zrezygnowania z frontalnego ataku i do prób osiągnięcia ich światoburczych celów na innej drodze: przez nękanie wolnego świata „wyzwoleńczymi“ wojnami i rewoltami lokalnymi, usypianie jego czujności pokojowymi deklaracjami, kamuflowaniem istotnych wydatków na zbrojenia i obiecywaniem złotych gór w razie rozbudowy koegzystencji, wreszcie przez wbijanie klinów i szerzenie zamętu.

Świat wolny szuka szczerze i na wyścigi pogłębienia obecnego odprężenia, choć zdaje sobie sprawę z tego, że tylko taktyka, a nie strategia Moskwy i Pekinu uległa zmianie. Szuka go nie tylko dlatego, że liczy na materialne zyski i że wyścig zbrojeń mu dokuczają, ale także dlatego, że wierzy w dalsze zaostrenie się rywalizacji chińsko-sowieckiej i w stopniową liberalizację komunistycznego systemu, pod naciskiem mas i wpływem pełniejszych stosunków z Zachodem. Szuka pełniejszego odprężenia także dlatego, że coraz mniej liczy się z niebezpieczeństwem otwartej i nieoczekiwanej agresji sowieckiej. Tak np. brytyjski minister obrony, Healy, próbował, na ostatnim posiedzeniu Rady NATO w Paryżu, uspokoić swoich partnerów twierdzeniem, że same przygotowania militarne do agresji byłyby poprzedzone przez co najmniej miesięczne narastanie napięcia politycznego.

Taki pogląd może się okazać fatalnym złudzeniem. Nie tylko dlatego, że były już napaści nie poprzedzone napięciem (niemiecka na Skandynawię, japońska na Pearl Harbour), ale także dlatego, że w ciągu minionych 20 lat było bez liku pogroźek i poczynań sowieckich, wywołujących napięcie polityczne, na które Zachód mobilizacją nie odpowiadał.

Zagrożenie nie zniknęło od 1947, zmieniło tylko swój charakter. Narazie istotnie, frontalna agresja komunistyczna jest z różnych względów wysoce nieprawdopodobna. Ale w totalitarnych systemach może za tydzień być nieważne, co dziś jest mrowiane, święte, obowiązujące. Zwłaszcza, gdyby jednostronne ustępstwa Zachodu spowodowały poważniejsze zmiany w stosunku sił lub wywołały błędną ocenę jego postawy i możliwości. W każdym zaś razie zachwianie obecnej „równowagi strachu“ mogłoby ułatwić politykę szantażów.

Toteż tylko obustronne ustępstwa mogą do prawdziwego odprężenia i trwałej kolaboracji doprowadzić. No — i przywrócona jedność Zachodu.

Kazimierz Głabisz

# TEZY POLITYCZNE LIGI

W dniu 3. XII. b. r. odbył się w Londynie Zjazd Ligi Niepodległości Polski, któremu przewodniczył Mec. M. Chmielewski. Po złożeniu hołdu pamięci i zasługom zmarłym: ś. p. P. Marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej, Prezesa Komitetu wykonawczego ś. p. Michała Grażyńskiego i Prezesa Rady Naczelnej ś. p. Jerzego Iwanowskiego oraz innych zmarłych członków L. N. P., sprawozdania wygłosili: p. o. Prezesa Kom. Wyk. Marsz. B. Podoski i p. o. Prezesa Rady Naczelnej płk. T. Schaetzel.

Przed ożywioną dyskusją i jednomyślnym przyjęciem uchwał, referaty wygłosili: Sprawy polskie w świecie współczesnym (ref. Płk. T. Schaetzel); sprawy emigracyjne (prof. B. Hełczyński); sprawy krajowe, których stroną polityczno-kulturalną zreferował Dr. S. MękarSKI, a gospodarczą p. J. Poniatowski.

Z uchwał tych przytaczamy urywki części zatytułowanej „Tezy polityczne“.

Dokonano wyboru nowych władz; Głównego Komitetu Wykonawczego, złożonego z 9 członków oraz Rady Naczelnej, złożonej z 36 członków.

Na pierwszym posiedzeniu po Zjeździe, Główny Kom. Wyk. wyłonił Prezydium w składzie następującym: 1) B. Podoski — prezes, 2) gen. J. Wiatr — 1-szy Wiceprezes i przewodniczący Klubu L. N. P. w Radzie Jedn. Narodowej, 3) Dr. S. Benedykt — 2-gi Wiceprezes, 4) Kazimierz Trębicki — Sekretarz Generalny.

## Zjednoczona Europa

Jesteśmy zwolennikami zjednoczenia Europy, w której dawne dążenia do terytorialnej ekspansji zastąpione zostaną pokojowym współzawodnictwem narodów na polu wszechstronnego postępu.

Powojenny podział Europy nie posiada ani historycznego ani politycznego ani kulturalnego uzasadnienia. Podział ten, będący wynikiem koniunkturalnego układu sił między zwycięskimi mocarstwami, stworzył w Europie sztuczną sytuację podziału naszego kontynentu, która nie uległaby zmianie także po zniesieniu podziału Niemiec na Republikę Federalną i Demokratyczną. Bez włączenia do systemu europejskiego państw Europy Środkowo-Wschodniej, znajdujących się obecnie pod władzą Moskwy, Zjednoczona Europa byłaby tworem okaleczonym, pozbawionym moralnej i geograficznej podstawy, a zarazem niezbędnych warunków bezpieczeństwa. Nie mogłaby też doprowadzić do zadawalającego układu stosunków w obrębie europejskich narodów.

Pragniemy widzieć przyszłość Europy jako całości w różnospinowych formach integracji politycznej i gospodarczej przy zachowaniu przez każdy naród jego osobowości i praw do niezależnego bytu.

Zjednoczona Europa, politycznie zrównoważona, winna być wolna od czyjkolwiek hegemonii wewnętrznej czy zewnętrznej. Rzeczywistą granicę wschodnią Europy zakreśla wola narodów i zasięg zachodniej kultury.

Rdzenna Rosja stanowi odrębny świat kultury między zachodem i prawdziwym wschodem, Bliskim, Środkowym i Dalekim.

## Stosunek do Niemiec

Dzisiejsza granica na Odrze i Nysie jest ostateczna i konieczna dla egzystencji Polski. Stoimy na stanowisku, iż uznanie przez Niemcy tego stanu prawnego i faktycznego, jako też wyrzeczenie się przez nie broni nuklearnej, jest warunkiem normalizacji stosunków polsko-niemieckich. Doprowadzenie do tej normalizacji winno być celem polskiej polityki wobec Niemiec.

Jątrzenie stosunków polsko-niemieckich leży w interesie imperialistycznych celów rosyjskiego komunizmu, a przede wszystkim utrzymania Polski w orbicie zależności od Moskwy. Leży również w interesie tych wpływowych jeszcze czynników w Niemczech, które usiłują wskrziesić agresywne tradycje i przeciwdziałać prądom, zmierzającym do nadania Niemcom pokojowego oblicza i scharmonizowania ich dążeń oraz interesów z innymi członkami wspólnoty europejskiej.

Rozum polityczny i wyznawane zasady narzucają potrzebę wykazywania ze strony polskiej zrozumienia i poparcia dla nowych pozytywnych prądów w Niemczech. Nie zmniejsza to obowiązku czujności wobec niemieckich dążeń rewizjonistycznych, znajdujących oparcie w kołach rządowych, a szczególnie silnie przejawiających się w skrajnych ugrupowaniach politycznych.

## 4. Polityka wschodnia

Traktat ryski z 1921 r. rozgraniczył terytoria wschodnie przedrozbiorowej Polski między odrodzoną Rzeczypospolitą i Rosją Sowiecką. Stan ten został pogwałcony przez Związek Sowiecki w r. 1939 aktem wiarołomnej przemocy wspólnie z Trzecią Rzeszą hitlerowską, a w 1940 r. Rosja Sowiecka dokonała zaboru ziem wschodnich Rzeczypospolitej. Agresja ta praw naszych do tych ziem nie obaliła; prawa Polski do tery-



# NIEPODLEGŁOŚCI

toriów objętych traktatem ryskim pozostają w mocy wbrew rosyjskiej okupacji.

W 1940 r. dokonał Związek Sowiecki włączenia gwałtem Litwy, Łotwy i Estonii. W następstwie tego zaboru dzisiejsza Polska graniczy z Rosją Sowiecką od północy, a sowiecki Królewiec zagrożą bezpośrednio Warszawie.

Zadaniem naszej polityki wschodniej winno być, obok przekreślenia narzuconych w stosunku do naszych granic wschodnich decyzji teherańskich i jałtańskich, wytworzenie solidarności politycznej z sąsiadującymi z Polską od wschodu narodami i usunięcie obecnych urazów i niechęci.

Solidarność tę oprzeć należy na:

- uznaniu, że Białorusini, Estończycy, Litwini, Łotysze i Ukraińcy są w pełni uprawnieni do posiadania państwowej niepodległości;
- poczuciu tożsamości wzajemnych interesów, polegających na usunięciu z naszego rejonu obcych imperializmów, i gotowości udzielania sobie w tym zakresie politycznej pomocy;
- łączącej nas przynależności do kręgu zachodniej kultury i woli oparcia naszego życia na zasadach demokratycznych;
- wspólnej nam chęci wprowadzenia naszych krajów w skład szerszych związków, przede wszystkim do przyszłej zjednoczonej Europy;
- dążeniu do załatwienia spraw spornych, istniejących w wyniku długotrwałych okresów współżycia, w duchu dobrej woli i wspólnego interesu jako zagadnień wewnętrznych naszego rejonu. Zapewnienie mu bezpieczeństwa jest ważniejsze od dzielących nas sporów.

Na tych podstawach możliwa jest i konieczna praca przygotowawcza dla przyszłości, prowadzona przez czynniki polskie z niepodległościowymi emigracjami politycznymi Ukrainy, Białorusi i krajów bałtyckich. Winna ona rozwijać przyjazne kontakty oraz współdziałanie społeczeństw emigracyjnych na różnych terenach ich osiedlenia, obejmując dziedzinę polityczną, kulturalną i społeczną.

Z narodem rosyjskim gotowi jesteśmy współżyć w zgodzie, o ile Rosja wyrzeknie się podbojów i zaborów nierosyjskich ziem i ujarzmania narodów sąsiadujących z nią na rozległych terenach Europy i Azji.

Istnieje współzależność naszej niepodległości z niepodległym bytem naszych

wschodnich sąsiadów, dzielących nas od narodu rosyjskiego. Niepodległość Polski jest niezbędnym warunkiem istnienia ich niezależnej państwowości, a ich niepodległość jest zabezpieczeniem trwałej niepodległości Polski.

Bezpieczeństwo całego rejonu Europy może być osiągnięte najskuteczniej przez związki między państwami oparte na zasadzie wolności i równowagi.

Uważamy przy tym, że Wilno i Lwów, ogniska historycznej kultury w ciągu wieków, drogie dla narodów zamieszkujących obszar dawnej Rzeczypospolitej, powinny spełniać dziejową rolę ogniw łączących ze sobą te narody. Tradycje wielkiej wspólnej przeszłości Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego, tudzież umowy hadziackiej i umowy sojuszniczej Piłsudski-Petlura, stanowią wciąż żywy dorobek niedawnej przeszłości.

## DODATKOWY FUNDUSZ ODSZKODOWAWCZY WYSOKIEGO KOMISARZA Z. N.

W ostatnich dniach grudnia ub.r. Urząd Wysokiego Komisarza Z. N. w Genewie ogłosił w komunikacie dla prasy, podstawowe przepisy dodatkowego Funduszu Odszkodowawczego w wysokości 3 i pół miliona marek niemieckich (około £320.000), który rząd N.R.F. oddał do jego dyspozycji dla narodowo prześladowanych ofiar reżymu hitlerowskiego — uchodźców.

Komunikat wyjaśnia jedynie, że pomoc ta jest przeznaczona dla tych, którzy nie byli uchodźcami w dniu 1.X.1953. i tym samym nie podpadali pod przepis zasadniczy poprzedniego Funduszu Odszkodowawczego, ustanowionego w roku 1960.

Z nowego Funduszu korzystać mogą — według komunikatu — 1) prześladowani, „którzy byli więzieni w obozach koncentracyjnych, więzieniach lub podobnych miejscach zatrzymania co najmniej przez 3 miesiące“. 2) „Żyjący najbliżsi krewni (małżonek, dzieci) narodowo prześladowanego, który zmarł na skutek prześladowania“. Przepis dla obu tych kategorii dotyczy jedynie uchodźców w rozumieniu Konwencji Genewskiej, o ile uzyskali nowe obywatelstwo przed 1.X. 1953, lub też tych, którzy zostali uchodźcami po tym terminie — ale przed 31 grudnia 1965.

Podana zainteresowanych winny być kierowane bezpośrednio do urzędu odszkodowawczego Wysokiego Komisarza, najdalej do dnia 30 września 1967, na adres:

The Indemnification Section UNHCR, Palais des Nations, Geneva, Switzerland.

Podpadający pod te ogólne przepisy winni wnieść podania, gdyż poprzednio wniesione i nie uwzględnione nie będą rozpatrywane. Formularze otrzymać

można bezpośrednio z Genewy, lub też w poszczególnych przedstawicielstwach urzędu Wysokiego Komisarza. W Londynie: UNHCR Office, 14/15, Stratford Place, London W. 1.

\* \* \*

Krótki komunikat prasowy Urzędu Wysokiego Komisarza wymaga wyjaśnień i uzupełnień.

Z najbardziej miarodajnej strony — poszkodowanych, oświadczone nam, że nowy fundusik, bo trudno go nazwać funduszem, nie spełnia nadziei, jakie z nim wiązały polskie organizacje ofiar hitleryzmu. Praktycznie, w brzmieniu komunikatu, wyklucza on ofiary deportacji na przymusową pracę niewolniczą (dotyczy to przede wszystkim Polaków). Tak ujęty przepis nowego „funduszu“ może wzmocnić zwalczaną od lat przez wszystkie związki b. kacetów niechętną dla tej kategorii ofiar postawę rządu niemieckiego i praktyki jego urzędu odszkodowawczego B.V.A.

Z nowego Funduszu korzystać miały pierwotnie również osoby poszkodowane na zdrowiu, o ile niezdolność ich do pracy nie osiąga 25%. Ogłoszony komunikat nic o tym nie wspomina.

Blizszego określenia wymagać będzie również przepis wymieniający, obok kacetów i więźni, „podobne miejsca zatrzymania“ (places of detention).

W praktyce reżymu hitlerowskiego istniały więzienia, obozy koncentracyjne i szereg obozów pracy, z których kierowano deportowanych do różnych prac niewolniczych w fabrykach, na roli czy też przy fortyfikacjach i okopach.

Gdy po rozmowie Wysokiego Komisarza z rządem w Bonn po raz pierwszy wymieniono jako uskces utworzenie nowego „Funduszu“ dodatkowego — Polski Związek b. Kacetowców w Londynie w specjalnym memoriale przedstawił wszystkie niedociągnięcia dotychczasowej polityki odszkodowawczej wobec narodowo prześladowanych, jak i postulaty tej grupy zarówno w związku z zapowiadany nowym Funduszem, jak i w związku z całą obecną praktyką rządu niemieckiego. Szczególnie uwypuklono tajne instrukcje ministra finansów dla urzędu B.V.A., które w praktyce doprowadzały od dłuższego czasu, do oddalania niemal wszystkich roszczeń o utratę zdrowia narodowo prześladowanych, jeżeli byli choćby podejrzani o przynależność do ruchu oporu, lub też tych, którzy wywiezieni zostali „tylko“ jako niewolnicy na pracę przymusową.

W odpowiedzi szef biura prasowego Wysokiego Komisarza zapowiedział wzięcie pod uwagę postulatów i uwag polskich oraz konsultowanie Związku w tych wszystkich zagadnieniach.

Konsultacja ta, odkładana z powodów technicznych, dotychczas nie nastąpiła.

Bezpośrednio po wojnie, po okrutnym wyniszczeniu polskiego środowiska naukowego i inteligencji (do czego przyczynił się nie tylko Hitler, lecz i Stalin) jeden pracownik naukowy przypadał na 11 tysięcy mieszkańców. Ogólny pęd do nauki i rozbudowa ośrodków naukowych szybko wyrównały straty. Obecnie proporcja uległa zasadniczej zmianie. W roku 1966 zarejestrowano, że jeden pracownik naukowy przypada już tylko na 1.250 mieszkańców Polski.

Wzrosła również liczba osób z wyższym wykształceniem. Jeszcze osiem lat temu wyższe wykształcenie posiadał co 124 Polak — obecnie ma je już co 100. Mimo to odczuwa się nadal niedobór pracowników z wyższym wykształceniem.

### CIASNE UCZELNIE

Pod takim tytułem „Życie Warszawy“ poinformowało opinię o zaniedbaniach budownictwa na potrzeby szkół wyższych. Już w okresie poprzedniej pięcioletki nakłady inwestycyjne na potrzeby szkolnictwa wyższego były stanowczo zbyt niskie. Z tej przyczyny stosuje się teraz — właśnie akurat w okresie tak zwanego wyżu demograficznego — ograniczenia naboru młodzieży na studia wyższe.

Mimo ograniczonych środków przeznaczonych na te cele, nie są one należycie i w pełni wykorzystywane. Tak np. budowa Wydziału Łączności na Politechnice we Wrocławiu miała tak rażące braki w dokumentacji, że na blisko cztery miesiące przerwano roboty. Podobne błędy popełniono w dokumentacji budowy wydziału chemii na Politechnice Śląskiej.

Pismo warszawskie przyznaje, że inwestycje szkolnictwa wyższego są traktowane przez budownictwo, jako drugoplanowe i nikt się nimi należycie nie zajmuje.

Pod wieloma względami stan wyposażenia naszych uczelni jest katastrofalny. Tak chociażby — pisze „Życie Warszawy“ — „warunki lokalowe wyższych uczelni ulegną w wielu przypadkach pogorszeniu: np. powierzchnia na jednego studenta studiów technicznych w grupie „chemia“ powinna kształtować się na poziomie 25 m. kw., wobec 16,6 m. kw. uzyskanych w roku 1965 i planowanego spadku w r. 1970 do 15,4 m. kw. Podobnie wygląda sprawa na studiach uniwersyteckich...“

Nic ująć, nic dodać. Magiczne słowo „plan“ przesądza o wszystkim. A o profilu „planu“ decyduje wierzuszka partyjna z genialnym tow. Wiesławem, intelektualistą domowego chowu. Wiadomo tow. Gomułka wyraźnie zdecy-

dował, że skoro jemu wystarczyły zwykłe kursy partyjne to i młode pokolenie też nie musi mieć na studiach luksusów. Ciasnota w salach wykładowych i laboratoriach oraz koszarniane zągęszczenie w akademikach — są wyrazem programu partyjnego na tym odcinku.

Na inwestycje szkolnictwa wyższego przeznaczają się zaledwie 0,35% z ogólnej puli nakładów na gospodarkę narodową. Należy się obawiać, że jest to znacznie mniej niż sumy pomocy udzielanej przez partię rządzącą na dywersję komunistyczną w Wietnamie. Warto, aby nasi studenci wiedzieli przynajmniej za co, przez kogo i dla kogo cierpią swoje udreki.

### UKRYTE WOJEWÓDZTWO

Dr St. Trautsołt z Politechniki Warszawskiej udzielił dla „Słowa Powszechnego“ ciekawego wywiadu. Mówił o konieczności komasacji gruntów chłopskich, czemu kierownictwo PZPR sprzeciwiało się dotychczas ze względów doktrynalnych.

Okazuje się, że według oficjalnych danych uciążliwa „szachownica“ gruntów wynosi ponad 3 miliony hektarów (tu trzeba dodać, że pełny szacunek fachowców jest dwukrotnie wyższy). Gdyby zlikwidować ten anachronizm gospodarczy osiągnięto się dodatkowy wzrost wydajności z hektara o około 2 q. Inne przeliczenie mówi, że w brzdach i nieużytkach spowodowanych „szachownicą“ gruntów ukryte jest całe województwo.

Jeśli szacunek i wypowiedź dr Trautsołta — potwierdzona w pewnym stopniu oświadczeniem Gomułki na III Zjeździe Kółek Rolniczych — jest zapowiedzią zmiany polityki rolnej partii po linii akceptującej konieczność komasacji, byłoby to jednym więcej dowodem, że upór i stanowczość chłop polski potrafią przewyciężyć upór doktrynalny najbardziej zakutych łbów komunistycznych.

### SPÓZNIONE O 20 LAT

Prasa krajowa odnotowała dyskretnie ukryty anons. Chociaż wyroby prywa-

tnego rzemiosła cieszą się w społeczeństwie dużym uznaniem, mają trudność trafienia na rynek. Okazuje się, że trudność tę powoduje zbiurokratyzowany handel. Upaństwowiony bezmyślnie, począwszy od wielkich magazynów, a kończąc na budach z jarzynami, nie potrafi zainteresować się tym, czego potrzebuje społeczeństwo, jeśli tych potrzeb nie uwzględni plan.

Dlatego — oczywiście, za łaskawym przyzwoleniem władz — spółdzielczość rzemieślnicza zamierza rozwiązać te trudności poprzez zorganizowanie we własnym zakresie sprzedaży detalicznej własnych wyrobów.

Dobre i to, chociaż spóźnione co najmniej o lat dwadzieścia. Przez ten okres poderwało doskonale tradycje polskiego rzemiosła. Teraz, przewyciężając wielkie trudności, wiele przyjdzie zaczynać od nowa.

### ODSPRZEDAŻ DEFICYTÓW

Co to jest system agencji?

W ludzkim języku termin ten oznacza najczęściej sprzedaż przez pośredników. Ale — jak wiadomo — komuniści zmieniają pojęcia przystosowując je do wymyślonych przez siebie trudności. W danym wypadku sprawa jest oczywista. Mamy w Polsce Ludowej około 40 tysięcy małych, jednoosobowych sklepów upaństwowionych. Oficjalna ich nazwa brzmi: „sklepy uspołecznione“. To „uspołecznienie“ polega oczywiście na tym, że w obecnych warunkach muszą być one deficytowe. Chociaż są to deficyty drobne, przy tak dużej liczbie placówek dają wielomilionowe deficyty.

Gdy zawiodły wszystkie kolejne, a tak kosztowne reformy „uspołecznionego“ bezmyślnie handlu, ostatnio znalazł się jakiś geniusz, który wpadł na pomysł odsprzedawania deficytów. W normalnym kraju i normalnym ustroju jest to niemożliwe. Ale przodujący ustrój „demokracji ludowej“ czyli „masła maślanego“ nie zna rzeczy niemożliwych. 40 tysięcy „sklepów uspołecznionych“, spożywczych, warzywniczych i przemysłowych — przeznaczono do akcji agencyjnej. Znaczy to, że władza ludowa



przestała się bać drobnomieszczactwa i zmory kapitalizmu, bo odstępuje te placówki prywatnej inicjatywie. Pozwala, aby prywatni obywatele dorabiali się na nich, własną pracą, wyzwalając skarb państwa od konieczności pokrywania stałych deficytów.

Można powiedzieć: nareszcie sukces zdrowego rozsądku. Albo — jeśli kto woli — kłeska nieżywej doktryny.

### WSZECHMOGĄCA PARTIA PRYZNAJE SIĘ DO BEZRADNOŚCI

„Trybuna Ludu“, a więc sam centralny organ PZPR przyznała ostatecznie: „Nie rozwiąże się jednak deficytu mieszkań w skali całego kraju, ani nie złagodzi dostatecznie trudności wielkich miast“.

Postulaty mieszkaniowe społeczeństwa są od lat brutalnie lekceważone. Szkoda nawet czasu na przytaczanie cyfr. Problem jest znany powszechnie. Wystarczy zresztą dwa stwierdzenia. W chwili obecnej brakuje pilnie, dla tych, co już od lat czekają na przydział, co najmniej 800 tysięcy mieszkań. To są te potrzeby najkonieczniejsze, które nie zlikwidują samego problemu. Jest to zatem w skali obecnego planowania wysiłek co najmniej pięcioletni. Ale przecież na wyburzenie czeka znacznie więcej lokali, które na dobrą sprawę już dawno należało rozebrać.

Nie pomogło tzw. bućownictwo oszczędnościowe (czytaj bezklosetowe) pomysłu ex-wicepremiera Tokarskiego. Wprawdzie wybudował on znaczne ilości seryjnych koszarniaków, ale są to koszmarnie budynki, stanowiące stałe utrapienie tych, co dostali w nich przydziały.

Nie pomogły oszczędnościowe „zestawy wojewódzkie“, które wbrew ustawom i przepisom budownictwa obniżyły średnią powierzchnię przeciętnego mieszkania rodzinnego do 39 m. kw. Ludzie przeklinają ciasnotę, przeklinają złe wykończenie budynków i cierpią męczarnie. Wszystko na chwałę 25-lecia PPR-PZPR i władzy ludowej.

Nikomu nie wolno głośno stwierdzić, że w 20 lat po wojnie budownictwo mieszkaniowe powinno mieć już od dawna pierwszeństwo inwestycyjne. Szczególnie teraz, gdy praktycznie biorąc, już zdecydowana większość tego budownictwa realizowana jest na osobisty koszt obywateli poprzez zmonopolizowaną spółdzielczość mieszkaniową. Obywatel ma prawo zgłosić się do spółdzielczości, ale nie ma prawa stawiać tej spółdzielczości własnych wymagań. Musi brać to, co mu dają. Czyli — za swoje pieniądze partia buduje ci mieszkanie, które musisz przeklinać.

### PRZESUWAMY PAŁAC LUBOMIRSKICH

Nowego wyczynu technicznego dokonają wkrótce specjaliści z „Mostostalu“. Pałac Lubomirskich na placu Mirowskim w Warszawie stoi niesymetrycznie do tak zwanej „Osi Saskiej“, która została już w całości uporządkowana.

Masyw zabytkowego pałacu, który po obciążeniu mniej wartościowych skrzydeł będzie ważył ponad 10 tysięcy ton trzeba teraz obrócić o 80 stopni. Jeden bok pałacu będzie przesunięty o pełne 75 metrów. Wymaga ta skomplikowanych zabiegów umocnienia i podciągnięcia fundamentów.

Do wstępnych prac przygotowawczych architekci pod kierownictwem inż. Aleksandra Mostowskiego przystępują już w marcu tego roku. Całość budynku, po przesunięciu i nowej adaptacji wnętrza o kubaturze 17 tys. m. sześciennej, zostanie oddana do użytku w roku 1969.

### TURBINA—GIGANT

Prof. Robert Szewalski z Gdańskiego Instytutu Maszyn Przemysłowych opracował projekt gigantycznej turbiny o mocy 2 tysięcy megawatów. Największe turbiny tego typu, produkowane obecnie w U.S.A., W. Brytanii i Sowietach osiągają moc około 500 megawatów. Przymuszcza projekt prof. Szewalskiego przyczyni się do przekroczenia bariery energetycznej osydlącej obecnie w granicach 500 do 600 megawatów.

### INTELIGENCJA I CHARAKTER

Przyjęło się mniemanie, że pod naciskiem aparatu propagandy komunistycznej niepodobna się zdobyć na pełną niezależność myśli i wypowiedzi. Przeczy temu przykład dr Ludwika Dembińskiego, członka zespołu redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego“. Zaproszony przed mikrofon Radia Warszawa do dyskusji w cyklu „Kościół wobec problemów świata współczesnego“, nie pozwolił się zepchnąć na płaszczyznę stanowiska partyjnego. Nie oddał także partii i jej polityce bałwochwalcznych pokłonów. Było to tym większą sztuką, że dr Dembiński mówił o tzw. „watykańskim otwarciu na Wschód“.

Wiślan



**SZYBKO I TANIO!**  
Biuletyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
w y k o n u j ą  
ZAKŁADY GRAFICZNE  
**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**  
171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W. 11.  
Tel. BAT 0879

S. BŁASZCZAK

B.D.I.C

## TRAGEDIA PRZYBRANEJ MATKI

Zaraz po zajęciu Warszawy Niemcy zademonstrowali w stosunku do Żydów swój zdecydowanie wrogi stosunek. Akcja wyniszczenia Żydów rozpoczęła się już na wielką skalę w połowie 1941 roku. Za teren niszczycielskiej akcji Niemcy obrali sobie Otwock, znaną podwarszawską miejscowość letniskową, zwaną letnią stolicą Żydów warszawskich. Tę to właśnie miejscowość Niemcy postanowili w pierwszym rzędzie oczyścić z ludności żydowskiej, gdyż Otwock upatrzili na letnią rezydencję dla siebie.

W drugiej połowie 1941 roku rozpoczęły się codzienne naloty na Otwock licznych oddziałów policji esesmanów. Rozstrzeliwania i deportacje były na porządku dziennym, których ofiarami padały setki Żydów. Końcowym etapem tej niszczycielskiej akcji była olbrzymia obława, zorganizowana w drugiej połowie października 1941 roku, do przeprowadzenia której zwieziono do Otwocka liczne kompanie esesmanów, specjalnie wyszkolonych do tego rodzaju akcji. Cały Otwock i przylegające doń laski zostały otoczone szczelnym kordonem, który w miarę posuwania się stawał się coraz to ciaśniejszy tak, iż przez ten kordon nie tylko człowiek, ale i mysz by się nie prześliznęła. Rozpoczęło się drobniagowe przetrząsanie rozrzuconych po laskach willi; wylawiano wszystkich, nikt się już ukryć nie zdołał. Widząc to Żydzi w panice opuszczali wille, szukając schronienia w laskach. Kiepskie to było schronienie, bo laski były rzadkie i w dodatku bez najmniejszego podszycia. Schwytych w laskach Żydów rozstrzeliwano bez litości na miejscu — mężczyźni, kobiety i dzieci. Z tej potwornej masakry zdołało ująć z życiem trzech czy czterech Żydów, a wśród nich mała dziewczyna licząca zaledwie cztery latka. Ocalałymi z tego strasznego pogromu Żydami zaopiekowała się ludność polska z sąsiednich miejscowości, dziewczynkę przyjęło do siebie bezdzietne polskie małżeństwo Siwickich. Ocalała dziewczynka znalazła w Siwickich ciepłą i pełną serdeczności macierzyńską opiekę. Matka dziewczynki została rozstrzelana w czasie obławy, ale dziwnym trafem ojciec jej ocalał, o czym zresztą nikt nie wiedział.

Skończyła się wojna. Małżonkowie Siwicy, a wraz z nimi ich przybrana córeczka, osiedlili się w Szczecinie. Do dziewczynki przywiązali się oboje, jak do rodzonej córki. Upłynęło lat kilka, dziewczynka rosła zdrowo i zaczęła uczęszczać do szkoły. Chociaż warunki życia były bardzo ciężkie, oboje byli bardzo szczęśliwi z posiadania przybranej córki, prowadząc żywot cichy i spokojny. Początkowo dziecko pamiętało coś niecoś ze swojej przeszłości, z biegiem czasu zatario się to jednak w jej pamięci. Małżonkowie Siwicy ani słowem nie wspomnieli jej, ani też nikomu ze swego otoczenia o jej prawdziwym pochodzeniu, podając ją zawsze i wszędzie za swą córkę.

Prawdziwy ojciec dziecka, ukrywany przez Polaków, przetrwał szczęśliwie lata okupacji niemieckiej. Tliła w nim iskierka nadziei, że może jednak jakimś cudem ktoś z jego najbliższych ocalał. Wszczął staranne poszukiwania. Zwykły przypadek zrzucił, że wpadł na ślad córki. Na wstępie ustalił okoliczności, w jakich dziecko zostało znalezione w otwoczkich laskach, jak wyglądało, jak było ubrane. Zbierane skrzętnie informacje utwierdzały go w przekonaniu, że jego córeczka żyje. W toku dalszych poszukiwań zdołał również ustalić, kto się jego córeczką zaopiekował. Rozpoczął poszukiwania małżonków Siwickich.

Nie była to łatwa sprawa. Tysiące rodzin polskich zaadoptowało osieroczone dzieci żydowskie, co znacznie utrudniało poszukiwania. Odnalezienie małżonków Siwickich też nie było łatwe. Jego wytrwałość zaczęła dawać pozytywne rezultaty. Kilka miesięcy czasu zajęło mu ustalenie, że Siwicy wyjechali na Ziemię Odzyskaną. Odwiedził kolejno wszystkie miasta i miasteczka, poczynając od południa — bez rezultatu. Przyszła wreszcie kolej na Szczecin i tu odnalazł to, czego tak wytrwale szukał. Dla małżonków Siwickich odnalezienie się ojca ich przybranej córki było prawdziwym gromem z jasnego nieba.

Mała dziewczynka z przerażeniem patrzyła na swego rzeczywistego ojca, odnosząc się do niego jak do zupełnie obcego dla niej człowieka. Kurczowo czepiała się sukienki Siwickiej, nie chcąc ani na chwilę się z nią rozstać. Ojciec dziewczynki głęboko bolał nad tragedią swojej córki, jednak nie zdradzał najmniejszego zamiaru zrezygnowania ze swych uprawnień.

Sytuacja materialna ojca dziewczynki była bardzo dobra. Widocznie coś niecoś zdołał ocalić z przedwojennych zasobów. Z różnych względów nie mógł zamieszkać w Szczecinie, aby wprost cudem odnalezioną córeczkę mieć blisko siebie i do swojej osoby, jako do ojca,

stopniowo ją przyzwyczać. Był zarazem zdania, że tak nagłe rozdzielenie jej od przybranej matki, do której, jak widział, przywiązała się bezgranicznie, było bardzo nie wskazane i w rezultacie dałoby wręcz odwrotny skutek — dziewczynka mogła go wprost znienawidzić. A tego się bardzo obawiał. Zaproponował Siwickim przeniesienie się na stałe do Warszawy, zobowiązując się do znalezienia odpowiedniego mieszkania, pracy dla Siwickiego no i przyjscia z pomocą materialną w każdej potrzebie.

Zdawało się, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby jego projekt został zreali-

zowany. Założył tu jednak kategorię sprzeciw Siwicki. Nie chciał on ciągnąć dla siebie korzyści materialnych z wytworzonej sytuacji i projekt z miejsca odrzucił. Siwicka zamierzała przybraną córeczkę wbrew woli ojca zatrzymać przy sobie, ale zapytany w tej sprawie adwokat zdecydowanie stwierdził, że to się na nic nie zda — nawet bez sądu, a wprost z nakazu policyjnego dziecko musi być wydane ojcu.

Ojciec zabrał córeczkę i wyjechał z nią do Izraela.

S. Błaszczak

ZDZISŁAW STAHL

## WYPROSZONA REWIZYTA KOSYGIN W LONDYNIE

MOSKWA dała się długo prosić, zanim 28 grudnia 1966 biuro premiera brytyjskiego mogło oficjalnie zawiadomić prasę, że sowiecki premier A. N. Kosygin przybędzie w początkach lutego br. z tygodniową wizytą do W. Brytanii. Dochodzi do tego w dwa — z górą — lata, odkąd w grudniu 1964 r. rząd brytyjski skierował do Kremla zaproszenie dla sowieckiego gościa. Doszło też dopiero po poprzednich dwu odwiedzinach Moskwy przez Harolda Wilsona, czyli w rzeczywistości przyjazd Kosygina będzie raczej spóźnioną re-wizytą Londynu. Warto dodać, że w tymże czasie na jedną podróż Gromyki do Anglii przypadły dwie wyprawy brytyjskich sekretarzy spraw zagranicznych, M. Ste-warta i G. Browna, do Rosji.

Cała ta kronika towarzysko-dyplomatyczna na linii Londyn-Moskwa jest dobrą ilustracją politycznego klimatu, jaki między wspomnianymi stolicami panuje. Jest to ze strony brytyjskiej nadskakująca zapobiegliwość o poważne kontakty i zbliżenie, odwzajemniana przez Sowietów chłodną wstrzeźliwością, która graniczy z lekceważeniem, Londyn próbuje nieustannie odgrywać jakąś rolę w stosunkach między blokiem komunistycznym a Stanami Zjednoczonymi, zwłaszcza w odniesieniu do wojny wietnamskiej, co spotyka się stale z upokorującym niepowodzeniem. Trudno już wyliczyć te wszystkie inicjatywy pokojowe rządu Wilsona, adresowane do Moskwy,

które zostały odrzucone, jako nieszczerze czy pozbawione istotnego znaczenia, przypisywanego przez Sowietów tylko Waszyngtonowi.

W TEJ sytuacji nasuwa się pytanie, po co te wytrwale a bezskuteczne zabiegi o względy sowieckie ze strony brytyjskiej i dlaczego, mimo ich lekceważenia na Kremlu, Kosygin ostatecznie do Londynu się wybrał? Otóż, socjalistycznemu rządowi W. Brytanii potrzebna jest propagandowa fikcja, jakoby odgrywał rolę pośredniego ogniwa między Stanami Zjednoczonymi a Rosją Sowiecką, zarówno z powodów międzynarodowych jak wewnętrznych. Na arenie międzynarodowej fikcja ta ma dodawać wątpliwego prestiżu Londynowi, schodzącemu w rzeczywistości na coraz niższy szczebel hierarchii mocarstw, podczas gdy na wewnątrz służy premierowi dla celów bardziej konkretnych.

Brytyjska Partia Pracy posiada silne skrzydło antyamerykańskie zarazem i prosowieckie, które zajmuje wobec znacznego uzależnienia się polityki socjalistycznego gabinetu od Waszyngtonu stanowisko krytyczne lub wręcz negatywne, stanowisko tym przykrejsze osobiście dla Premiera Wilsona, że do tegoż skrzydła sam on w latach opozycji należał. Nadskakowanie więc Kremlowi i zabieganie o kontakty z Sowietami jest, dla zaspokojenia tej wewnętrznej opozycji partyjnej, obecnemu premierowi arcyważne.



Na dalszą metę zresztą nie można wykluczać, że jest w tym taktycznym nadskakiwaniu również chęć reasekuracji na Moskwę i nadzieja na współdziałanie z nią w przyszłości.

**D**LA strony sowieckiej podróż Kosygina do Londynu nie przedstawia poważniejszego kroku dyplomatycznego. Kremłowi może chodzić najwyżej o próbę dywersji w obozie państw zachodnich przez podburzenie prosovietkich kół Partii Pracy przeciwko związkom ze Stanami Zjednoczonymi, kultywowanym przez gabinet Wilsona. Po wtóre, stosunki ze stolicami zachodnimi mają wciąż dla Moskwy tę zaletę, że podwyższają prestiż jej przedstawicieli w oczach narodów podbitych i potwierdzają akceptację zachodnią panowania Rosji nad wschodnią częścią naszego kontynentu. Rzeczywistość prowadzonej przez Zachód polityki „status quo” jest, niestety, znaną nam od dawna smutną prawdą i wizyty sowieckie, jak grudniowa w Paryżu czy obecna w Londynie, przypominają ją tylko oraz nakładają na nią nową, dyplomatyczną pieczęć.

Tegoroczna wizyta sowiecka w Londynie przypada blisko jedenaście lat po podobnych odwiedzinach, złożonych na wiosnę 1956 r. przez ówczesną parę rządzącą na Kremlu, sekretarza partii Chruszczowa i premiera Bułganina. Przedstawicielem Moskwy będzie tym razem jedynie premier sowiecki w osobie A. N. Kosygina, drugorzędnej do niedawna figury na moskiewskiej scenie. Kosygin wysunął się na jej pierwszy plan dopiero w jesieni 1964 r., kiedy wraz z Breżniewem objął następstwo po usuniętym, w bezkrwawym lecz gwałtownym trybie, Chruszczowie. Poprzednio nazwisko Kosygina nie było głośne, ale w cieniu postaci czołowych odgrywał on od dawna rolę poważną.

Urodzony w 1904 r. w ówczesnym Petersburgu, wstąpił wcześniej do czerwonej armii i następnie do partii, w której aparacie robił stopniową, ostrożną karierę. W 1938 r. jest burmistrzem Leningradu, dalej pojawia się w moskiewskich władzach centralnych, przeżywając wielkie czystki, jakie spadły na „leningradzką grupę” partyjnych przywódców po zamordowaniu Kirowa w 1934 r. i w związku ze śmiercią Żdanowa w 1948 r. Cieszy się więc z pewnością

łaskami Stalina, skoro nie tylko uniknął w tym okresie kuli NKWD, ale staje się szefem gospodarczego planowania i wchodzi do Politbiura. Wypada stamtąd, kiedy w 1952 r. zamieniono je na Prezydium i zmniejszono ilość członków, ale powraca do tego najwyższego ciała partyjnego w 1957 r. po eliminacji „grupy antypartyjnej”. Od 1960 r. jest wicepremierem i dalej głównym nadzorcą gospodarki sowieckiej.

**N**ASTĘPSTWO po Chruszczowie objął Kosygin do pary z Breżniewem, jako typowy przedstawiciel sowieckiej maszyny partyjno-państwowej. Jego szara i ponura postać symbolizuje wiernie nie tylko bezosobowe tryby tej maszyny, ale także ponurą rzeczywistość sowieckiego imperium niewoli i nędzy. Londyńska wizyta Kosygina nie jest

sprawą naszą, czyli polskiego uchodźstwa politycznego, które po wojnie w W. Brytanii pozostało. Swój stosunek do tego rodzaju kontaktów państw zachodnich z Rosją Sowietką określiliśmy w sposób zbiorowy i manifestacyjny przed jedenaściami laty i powtarzać niezmiennego stanowiska nie potrzebujemy. Jeśli natomiast z okazji pobytu gościa z Moskwy zainteresowanie brytyjskiej opinii sprawami sowieckimi wzrośnie i będą zapewne szerzone rozmaite uprzejme nieścisłości na ten temat, to będzie nam wolno korzystać z prawa głoszenia, znanej nam lepiej od obywateli tego kraju prawdy o Sowietach. Jeśli nie trudno dostępne łamy prasy brytyjskiej dla naszych artykułów czy listów, to przynajmniej rozmowy prywatne z brytyjskimi przyjaciółmi będą mogły prawdziwie tej służyć.

## Ś.P. PPŁK DYPL. FELIKS BOLECHOWSKI

W dniu 15 stycznia 1967 r. po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w Stafford w środkowej Anglii ppłk. dypl. Feliks Bolechowski, który w czasie kampanii francuskiej w 1940 roku był szefem sztabu Oddz. Rozpoznawczego 1 Dywizji Grenadierów.

Jako wieloletni prezes rejonowego Koła S.P.K. w Stafford pozyskał sobie wyjątkowe uznanie dzięki zaletem osobistym i ofiarności z jaką, wraz ze swoją Małżonką Brytyjką poświęcał się działalności społecznej.

Pogrzeb śp. pika Bolechowskiego, który odbył się w Stafford 21 stycznia br. stał się swego rodzaju manifestacją polsko-brytyjską, wyrazem popularyzacji jaką się zmarły cieszył nie tylko wśród miejscowego i okolicznego społeczeństwa polskiego lecz również wśród szerokich sfer społeczeństwa brytyjskiego.

Wyrazem uznania dla Jego osoby i hołdem dla Jego pamięci było m.in. umieszczenie opuszczonej do połowy masztu polskiej flagi narodowej na gmachu merostwa Stafford, a w uroczystościach pogrzebowych w kościele i na cmentarzu obok sztandaru S.P.K. wzięły udział sztandary British Legion i British Air Force Association.

Z Londynu przybyła liczna delegacja oddziałów, w których śp. ppłk. Bolechowski pełnił służbę z gen. Smoleńskim, reprezentantem gen.

Andersa na czele. Władze Federacji Światowej i organizacji wielkobrytyjskiej S.P.K. oraz Związek Grenadierów reprezentował prezes Stanisław Lis. Poza tym przybyli Koledzy Zmarłego w osobach ppłk. Kozłowski, ppłk. W. Nowak, ppłk. A. Strzygowski, rtm. Mielżyński, por. Komorowski i wachm. Cach.

Mszę św. żałobną i egzekwie odprawił ks. Dziekan Kącki w asyście miejscowego polskiego proboszcza ks. Nowaka i ks. Sergiejewicza.

Nad grobem po przemówieniu gen. Smoleńskiego, który mówił o służbie żołnierskiej zmarłego przemawiał przedstawiciel władz miejskich Stafford, po czym w imieniu S.P.K., gen. Ducha i Związku Grenadierów pożegnał śp. ppłk. Bolechowskiego prezes S. Lis, który podkreślił Jego niezwykle ofiarną i owocną działalność na odcinku społecznym a w szczególności troskę, jaką otaczał młodzież i dzieci.

Odszedł piękny wzór żołnierza Polaka, który gdy przyszło mu, jak wielu innym, zamienić mundur na ubranie cywilne, pełnił nadal nieprzerwanie służbę społeczną z zapalem i oddaniem bez reszty wspólnej i drogiej nam wszystkim sprawie.

Nad całością organizacji uroczystości, która była bardzo sprawna, czuwał Zarząd Koła S.P.K. z p.o. prezesem inż. Łojem na czele.

**S**ZYBKO rozeszła się w Nairobi wiadomość, że grupa śpiewaków „The Seekers” przyjechała na gościnne występy. Wszyscy o nich słyszeli, nawet ramole i mastodonty, których młodzież angielska przezywa „squares”. „The Seekers” wstawili się bowiem piosenką „Koniec Karnawału”, która jest niezamierzoną lub świadomą przeróbką „Wołgi, Wołgi”. Gdy afisze zapowiadające występy znanych śpiewaków zostały rozklejone w Nairobi, zatrzęsły się z radości serca dzierlatek w króciutkich spódniczkach i białych butkach oraz chłopaków w czarnych skórzanych kurtkach: postanowili zgotować śpiewakom równie entuzjastyczne przyjęcie, jakiego spotkało parę lat temu Cliff Richarda, którego niemal rozerwano na sztuki. Jednakże, ku zmartwieniu wielu, koncert się nie odbył, gdyż „The Seekers” musieli jak niepyszni i w pośpiechu opuścić niegościnną Kenię. Popelnili niebываły nietakt: przyjechali do Kenii via Afryka Południowa, a pieczętka w paszporcie z wizą Unii działała na murzyńskie „czynniki miarodajne”, jak udo antylopy, którym wymachują przed nosem lwa. The Seekers odjechali, żegnani wzdychaniami dzierlatek, odetchnął z ulgą oficer, kierujący ruchem miejskim, załamali ręce organizatorzy nieudanego tournée, którzy zdążyli już sporo wydać pieniędzy na propagandę i afisze. Był jednak człowiek, który przeraził się nie na żarty wiadomością o wykopaniu z Kenii „The Seekers”. Nie wiedział, czy czynniki miarodajne kenijskie czują tylko niechęć do muzy podkasanej, czy też rozciągają odrazę na Melpomenę w powłóczyściej todze. Człowiekiem tym był pianista, o światowej sławie, Stanisław Niedzielski, który w chwili gdy ważyły się losy „The Seekers”, wyładowywał z okrętu „Messageries Maritimes” w Mombasie swój koncertowy fortepian, wspaniały, ogromny, błyszczący „Gaveau”. Na szczęście, Niedzielski ominął Afrykę Południową, a przybył do Nairobi prosto z wyspy Mauritius. Wyruszył z Australii parę miesięcy temu, odwiedził większe wyspy na Oceanie Indyjskim, z Kenii trasa jego powiedzie przez kraje jeszcze bardziej egzotyczne i na pewno niespokojniejsze. Addis Abeba, gdzie właśnie odkryto spisek przeciwko rządowi, Dżibutti, gdzie ludność gorączkowo przygotowuje się do referendum; Aden, gdzie huk granatów nieraz przerywa poobiednią siestę; Bombaj i święte krowy, Hong-Kong, gdzie właśnie wybuchła epidemia cholery, Chiny Narodowe (nigdy nie wiadomo co strzeli Mao do głowy), Południowa Korea... Swe tournée ma zakończyć pianista w Australii, skąd wyruszy za 10 miesięcy do Kanady, o ile oczywiście, wyjdzie cało z pierwszej wy-

A. POKLEWSKA-KOZIEŁŁ

## KONCERT NIEDZIELSKIEGO

prawy po egzotycznych krajach. Większe niebezpieczeństwo grozi fortepianowi, niż artyście. Koncertowy Gaveau jeździ bowiem w specjalnie zbudowanej przyczepce i jest holowany przez samochód osobowy. Już we Włoszech, a było to w okresie wykradzenia zwłok Mussoliniego, podejrzewano, że w przyczepce znajdują się doczesne szczątki dyktatora Włoch. Innym razem, w którymś z miast na Wschodzie chciano rozkręcić i rozebrać na sztuki drogocenny instrument, w poszukiwaniu haszyszu...

— „Dlaczego wybrał Pan tak niebezpieczną trasę? — zapytuje Niedzielskiego. Odpowiedź pianisty mnie zaskoczyła: — „To jest wycieczka poprostu sportowy, a znacznie mniej mnie obchodzi strona zarobkowa tego niezwyklego przedsięwzięcia. Znam prawie cały świat, a w tych miejscach jeszcze nie byłem. W Kenii, co prawda, koncertowałem przed 18 laty i przyjechałem tutaj znowu, głównie żeby raz jeszcze zobaczyć Kilimandżaro. Pod względem finansowym, w tym kraju nie spodziewam się zrobić kokosów.“

— „Jak to, co pan mówi, w Kenii jest dużo misji dyplomatycznych, sporo przejeżdżających turystów, którzy nie mają co robić wieczorami, są wreszcie Polacy, a ci namówią swych cudzoziemskich przyjaciół, żeby poszli na pański koncert“. — „Polacy, wbrew opinii, są narodem mało muzycznym. Polacy będą chlipać na dźwięk „Ostatniej niedzieli“, ale nie wzruszy ich ani Mozart ani Beethoven. Francuzi to co innego. Jeżeli jest stu Francuzów w Nairobi, to 100 Francuzów przyjdzie na mój koncert“. —

Jakoż rozlepiono afisze oznajmiające o koncercie Niedzielskiego i w małym kółku Polaków nastąpiło poruszenie. Postanowiono przystać artyście na scenę kosz kwiatów od „Polish community“, a niektórzy zaczęli się nawet zastanawiać „iść, czy nie iść...“ Hm... bilety drogie, pierwsze miejsca po 2 funty, na dalsze nie ma co iść, „bo nie będzie widać“, poza tym w Teatrze Narodowym wystawiają właśnie „Barona Cygańskiego“ (tylko 4 przedstawienia). Że też to zawsze... Przez całe miesiące posucha na atrakcje; ostatni raz, pół roku temu, śpiewała Helena Szapiro, której zresztą gdzieindziej już nikt nie chce słuchać, odkąd skończyła 20 lat... Potem długo, długo, nic i na-

raz jednocześnie, w jednym tygodniu: Niedzielski i „Baron Cygański“...

„Baron Cygański“ z negrem Amerykańskim, w roli głównej i z sopranem, w wieku pobalzakowskim został przez niektóre osoby uznany za atrakcję bardziej godną wydania 12 szylingów, niż 40 szylingów na Niedzielskiego. Podreptały więc na operetkę Straussa, mając cokolwiek niespokojne patriotyczne sumienie. Inni, narzekając na wysokie ceny biletów poszli jednak na koncert. Ktoś sobie przypomniał, że znał rodziców Niedzielskiego w Polsce, którzy zamykali kilkuletnie dziecko na klucz w pokoju, żeby grało ćwiczenia, a nie „zbijało baki“, ktoś inny słyszał jak młody Niedzielski grał przed 18 laty w kinie „Royal“ w Nairobi, ktoś jeszcze inny wyczytał gdzieś, że sam Paderewski uczył małego Stasia Niedzielskiego i był tak zachwycony kilkuletnim pupilem, że przepowiadał mu sławę, równą swojej.

Panie szły na koncert przekonane, że ujrzą artystę o orlim profilu „tak jak Szopen“, z piersią wkleśłą i wąską, z burzą włosów nad chudym karkiem, z dłońmi białymi, jak „cottage cheese“ i z palcami długimi, „jak przystało na wirtuoza“. Tymczasem do fortepianu zasiadł dobrze odżywiony mężczyzna, w średnim wieku, o cerze opaloney, z oczami niebieskimi, jak dobrze rozkwitłe bławatki, z włosami które już dawno przestały być bujne. Wobec tego oczy audytorium zwróciły się na ręce pianisty. A one, te silne, opalone, cokolwiek kwadratowe dłonie, zaczęły przebiegać po klawiaturze, jakby żyły życiem zupełnie niezależnym: czasem na sekundę zatrzymywały się w górze i spadały z olbrzymią siłą, lub tak delikatnie, że tylko muskały klawisze, wywołując jakiś śpiew perlisty i zupełnie niezwykły, czasem huczały odgłosem naciągającej burzy lub dudniły „laurowo i ciemno“ w monotonnym, płaczącym deszczu. Gra Niedzielskiego jest nawskroś indywidualna, bardzo mało używa pedału, i potrafi wywołać efekty zupełnie niespodziewane, czasem fortepian brzmi jak skrzypce, czasem jak hiszpańska gitara. Tak wspaniała jest jego technika, że wydaje się nieraz, iż gra na 4 ręce, z których 2 „widmowe“ pędzą po klawiaturze, by dogonić tamte 2 prawdziwe, a gdy przerywał granie długo jeszcze słychać było echo niewypowiedzianych tęsknot i niewydarzonych marzeń. Wesoly z natury i tryskający życiem Niedzielski, ma za sobą stra-



# NA CZARNYM ŁĄDZIE

szną tragedię: zamordowano mu żonę, zginęła od noża Araba w Marokku, gdzie Niedzielscy mieszkali przez pewien czas w okresie „przedniepodległościowym“. Dlatego Niedzielski przechodzi z nastroju w nastrój. Wesoło i lekko odtwarza Mozartowskie Rondo alla Turca, i wczuwa się zaraz później w bradzo głęboki tragizm Walca, skomponowanego przez umierającego Szopena.

O wysokim muzycznym wyrobieniu nairobskiego audytorium świadczy fakt, że gdy pianista skończył grać Balladę Szopena, żadne brawa nie przerwały nastroju. Artysta siedział przez parę minut zdziwiony, że nikt nie klaszcze. Potem zaczął grać etiudy, może w duchu niespokojny, że a nuż jakiś fałszywy ton wkraść się do jego gry. „Myślałem, że to nie koniec“, usprawiedliwiał się później jeden meloman przed drugim, „Niedzielski nie zdjął okularów, a zawsze to czynił po skończonym „kawałku“. Bałem się klaskać, żeby nie wyglądać na idiotę“. To samo myślało, oczywiście, pozostałych 600 osób, zgromadzonych na koncercie.

Europejska ludność Nairobi wynosi niewiele ponad 10 tysięcy. Na dwóch koncertach Niedzielskiego było ponad 1 000 osób, a więc sukces nielada, bo... cena biletów, ...bo „Baron Cygański“...

Na pierwszym koncercie, w pierwszym rzędzie siedzieli przedstawiciele czarnej elity stolicy. Obserwowałam ciemne panie w kolorowych turbanach, jak inteligentnie i czujnie przysłuchiwały się obcej sobie muzyce. Żona ministra szczyphała się w ucho, żeby nie zasnąć, on sam wyraźnie interesował się grą. Jakiś Hindus „ze sfer rządowych“ kiwał się w takt; na otyłej twarzy nie widać było żadnego wrażenia, prócz senności. Jego żona w prześlicznej seledynowej sari, dla zabicia czasu przeglądała poraz 5-ty program z życiorysem artysty. Zmuszono pianistę do 4-krotnego bisowania. Na zakończenie zagrał etiudę Rewolucyjną.

— „Po tym już nie grać nie można“, powiedział ktoś za mną, „to jest apogeum szopenowskiej muzyki“.

„Etiudę Rewolucyjną“ słyszałam poprzednio 23 lata temu, w wykonaniu Niemca. Było to w roku owym, gdy załamała się ofensywa hitlerowska pod Stalingradem, gdy po polskich szosach sunęły zmotoryzowane kolumny idące na Wschód, a w przeciwnym kierunku pełżyły konwoje wiozące rannych i zabitych. Mieszkałam wtedy tuż obok

szosy, wiodącej w kierunku Rosji i nie zdziwiłam się, gdy zatrzymał się samochód wojskowy na naszym podwórzu, a za nim wjechał wóz o wyglądzie ruchomej kantyny. Wysiadło kilku oficerów i zażądało wody do chłodnic. Jeden z nich, b. młody i b. bład poprosił mnie o szkanke mleka. Wszedł za mną do kuchni. Dom był mały: przez otwarte drzwi widać było salonik, a w nim pianino. — „Jestem pianistą, powiedział oficer, czy mogę coś zagrać?“ Skinęłam głową, nalewałałam właśnie szklankę mleka. — „Zagram Mendehlsona, to u nas zabronione, ale b. piękne“. Grał na cokolwiek rozstrojonym pianinie, ale znać było, że to utalentowany artysta. Nie powiedział mi swego nazwiska — przedstawił się poprostu: „jestem pianistą koncertowym“. Przestał grać Mendelsohna i znów zwrócił się do mnie: „Jadę na wschód, wiem, że nie wrócę, kazano mi zabawiać żołnierzy na froncie. „Moi koledzy“, pokazał na okno, „to wszystko artyści. Jeden śpiewak operowy, dwóch aktorów dramatycznych. Żołnierzy nie zabawia się muzyką, którą ja gram, żołnierze, którzy muszą umrzeć, potrzebują dziewczek, gry na harmonii i śpiewu „Under Heimat“. Nawet moja muzyka nie uczyni z nich Nibelungów.“ Zaśmiał się i uderzył znów o klawisze. Tym razem grał „Revolucyjną“. Ten człowiek w zniechęconym mundurze grał utwór za słuchanie którego groziła w Polsce kara śmierci, utwór bardziej od Mazurka Dąbrowskiego przypomina światu, że „Jeszcze nie zginęła“. Płakałam, gdy skończył. A on obciągnął na sobie mundur „feldgrau“ i uklonił mi się z trząśnięciem w obcasy, z pochyleniem głowy po niemiecku: „Moriturus te salutat“ — powiedział z niedającym się opisać uśmiechem.

Nie chcę bynajmniej, by się zdawało, że przechodzę od „Sublime“ do „ridicule“, jeżeli pisząc o Niedzielskim wspomnę o jego drugim talencie, bardziej oczywiście prozaicznym: o jego kunszcie kulinarnym. Podobnie jak ta pani, która biadała, że Niedzielski nie podobny do Szopena, ludzie są na ogół skłonni do myślenia o artystach jako o eterycznych postaciach, trawionych ustawiczną gorączką natchnienia lub bakteryjną; oderwanych od rzeczywistości i od spraw związanych z łóżkiem żołądkiem (Nb, myślą zazwyczaj o łóżku jako o meblu do samotnego odpoczynku).

Kiedyś zarzucano Iwaszkiewiczowi, że w „Lecie w Nohant“ obraził Szopena, bo mu kazał klócić się z Georges Sand o udko kurz. Dlatego, gdy wspominam o Niedzielskim jako o mistrzu sztuki kulinarnej, obawiam się, że go w oczach publiczności pomniejszę jako artystę, a to wcale nie jest moim zamiarem. Niedzielski po studiach w Londynie, dokąd wyjechał z Polski w wieku lat 15-u, spędził całą niemal młodość we Francji. Gdy zaczął jeździć z koncertami po świecie, zatęsknił do lekkiej acz wykwintnej kuchni francuskiej. Nie smakowały mu puddingi i paye, nie zachwycała się knedlami ani knedliczkami. Poszedł na kursa „Cordon Bleu“ w Paryżu i nauczył się sam gotować. Ponieważ wszystko co robi, robi dobrze i dokładnie: jego sosy to symfonie, jego pieczywo to etiudy. Zaprosił małą grupę Polaków do siebie na obiad w Nairobi. (Nigdy nie zatrzymuje się w hotelach, zwykle wynajmuje apartament w mieście i tam, sam kucharzy). Obiad był godny szefa od Maxima. Menu: Beuf Bourguignon; Indyjczka nadziewana kasztanami i poprzednio „desosée“; Baba Savarin. Kawa ze zwykłej kenijskiej mieszanki była zrobiona w maszynce expresso, którą Niedzielski wozi ze sobą wraz z fortepianem i termometrem do mierzenia ciepłoty wewnątrz pieczywego.

Myślałam, że można nazwać Niedzielskiego jedynym kucharzem wśród pianistów i największym pianistą wśród kucharzy. Tymczasem okazuje się, że nie jest unikatem. Michał Field, amerykański pianista koncertowy porzucił ostatnio karierę muzyczną i założył własną szkołę kucharską dla „socjalnej elity“. Field uważa, że kucharz nie jest twórcą, a tylko „błyskotliwym wykonawcą, podobnie jak pianista“. W tym powiedzeniu kryje się sedno sprawy. Zupełnie jest jasne, że Field nic z siebie prócz techniki w wykonanie nie wkładał. Był tylko „błyskotliwym wykonawcą“. Stanisław Niedzielski nie lubi nawet nagrywać płyt lub grać dla radia i telewizji. Potrzebuje audytorium. Gdy po huraganowych oklaskach sala się ucisza i słucha w skupieniu, nastrój publiczności udziela się artyście. Dlatego może Niedzielski zwykle gra o całe niebo lepiej w drugiej części koncertu, niż w pierwszej. W pierwszej części jest „błyskotliwym wykonawcą“, w drugiej — wirtuozem.

**Czesław Halski: PADEREWSKI — Dzieje wielkiego Polaka i wielkiego Europejczyka. Stron 100, ilustracji 8. Cena 10/6. Wydano staraniem S.P.K. i Gryf Publications Ltd. Do nabycia w Księgarni S. P. K. (20, Queens Gate Terrace, S.W.7) i w Gryfie (171, Battersea Church Rd., S.W.11) oraz w innych polskich księgarniach.**

**Ż**YCIE rzeszy polskiej osiadłej po wojnie w W. Brytanii ma cechy zwyczajnej, obywatelskiej egzystencji. Rodzimy się i umieramy, zachowując mniej więcej równowagę między przybytkiem i ubytkiem, pracujemy — raczej dobrze, płacimy podatki — raczej za wysokie, radujemy się w naszym życiu codziennym — może nieco za mało, martwimy tym owym i tamtym — może nieco za dużo. Dni powszednie państwa Kowalskich i everyday life państwa Smithów są w ogólnym zarysie podobne do siebie.

Nie bez trudu i nie z dnia na dzień potrafiłszy, przy wszystkich odmiennościach naszej natury, przystosować się jakoś do krajobrazu brytyjskiego i stać się taką jego częścią, która zbytnio nie drażni świadomości ogółu tutejszego społeczeństwa. Słowa foreigner ani z przymiotnikiem ani bez już prawie nie stosuje się wobec Polaków w tym kraju. Nie wadząc nikomu, płyniemy statecznie w nurcie angielskiej rzeczywistości, można powiedzieć, prawie niezauważeni.

Od czasu do czasu jednak, z tego czy innego powodu, jest nieco głośniej o Polakach w W. Brytanii. Ostatnio np. nastąpiło to przy okazji dyskusji prasowej, jaka się rozwinęła na temat nieobecności przedstawiciela angielskich władz wojskowych na pogrzebie b. Dowódcy Armii Krajowej gen. Bora-Komorowskiego, a w jakiś czas potem po raz drugi, gdy wypłynęła sprawa dalszego subwencjonowania Biblioteki Polskiej w Londynie.

W takich chwilach, jako produkt uboczny zasadniczego tematu, niemal z reguły w prasie, a czasem i na innym forum pojawiają się wystąpienia, w których ten i ów publicysta angielski, urzędnik jakiegoś departamentu albo polityk zastanawia się i dziwi, jak się to dzieje, że integracja Polaków w tym kraju postępuje tak zółwim krokiem. Co dociekliwsi odkrywają nawet bastiony naszej odporności i poddają je mniej lub więcej interesującej analizie. Najczęściej znajdują, że to religia, że patriotyzm, przywiązanie do swego dawnego kraju, kultury, kuchni, tak przedłużają poczucie naszej odrębności. Polak w tym kraju — mówią — może iść przez życie nie stykając się od kołyski po grób z

ANTONI CZUŁOWSKI

## ZA WOLNO, CZY ZA SZYBKO?

instytucjami angielskimi. Polski ksiądz ochrzci go w polskim kościele i pochowa, polska szkoła wychowa, polski kupiec zaopatrzy w potrzebny towar, polski rzemieślnik zrobi i naprawi co trzeba, polski teatr i kino dostarczą rozrywki, biblioteka książki, audycja polska w radio poinformuje o tym co w trawie piszczy itd. itd. Słowem, można powiedzieć, że mamy do czynienia z państwem w państwie.

Ci sami Anglicy, którzy mówią o niezwyklej odporności Polaków na wpływy swego środowiska, zdziwiliby się, widząc jak bardzo to zagadnienie spędza sen z powiek po tej stronie barykady. Wynaładawiamy się i to w szybkim tempie — mówią niemal zgodnym chórem Polacy. Aż dziw bierze, jak nas zmieniło tych kilkanaście lat pobytu poza Krajem. Przez ten czas zdołaliśmy wchłonąć tyle pierwiastków tutejszego way of life, że nasz obecny wizerunek ogromnie oddalił się od prototypu Polaka, który zjawiał się tu zaraz po wojnie. Wystarczy pojechać z wizytą do Polski, aby się przekonać naocznie o transformacji, która się w nas dokonała. Cieszymy się z odnowienia kontaktu z ojczyzną, z oglądania miast rodzinnych, z widoku naszych krewnych i znajomych a zarazem czujemy, że już niebardzo pasujemy do nich, że dystans między nami jest mimo wszystko ogromny, że pozostać i żyć tam byłoby raczej trudno.

Zmiany duże dostrzegają w nas ludzie przybywający tu z Polski. Mój Boże — woła ten i ów — jak wyście zangliczeli! Ubieracie się z angielska, pijecie herbatę z mlekiem, zachwalacie gin i whisky, mówicie wyraźnie z zabarwieniem cudzoziemskim i w ogóle... A co szczególnie uderza, to ten chłód i spokój, z jakim traktujecie nawet najbardziej pasjonujące zagadnienia.

Sprawa przedstawia się w naszych oczach jeszcze gorzej, gdy skierujemy uwagę na naszą młodzież. Polaka w zaawansowanym wieku można

jeszcze odróżnić w tłumie angielskim, natomiast dziatwa oraz młodzież upodobniła się do swych rówieśników angielskich w takim stopniu, że często trzeba już bardzo wprawnego oka, by odkryć w młodym polskim lesie topniejące jak śnieg w słońcu cechy słowiańskie, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z dziećmi z małżeństw mieszanych.

Świadomość naszego oddalania się od pnia rodzimego wyzwała częste dyskusje i pobudza do szukania środków zaradczych przeciw wynaradawianiu się. Odzywają się głosy, że w pierwszym rzędzie trzeba wzmocnić promieniowanie polskości na młode pokolenie poprzez świadomą pracę w tym kierunku domu, kościoła, szkoły i organizacji społecznej. W związku z tym mówi się także dużo o potrzebie jakiegoś nowego modelu naszego życia zbiorowego, którego komórki mają duży wpływ na utrzymywanie świadomości narodowej. Jeśli są dynamiczne i atrakcyjne, to budzą zainteresowanie i ściągają uwagę na siebie. Nie posiadając tych zalet, wywołują w społeczeństwie zubożenie dla swej działalności. Podkreśla się, że większość naszych organizacji oraz instytucyj jest dziełem starszego pokolenia, które tworzyło je na wzór dawniejszych, przedwojennych z zamiarem przeniesienia ich do Polski w pierwszej dogodnej chwili, która przecież nie może być zbyt odległą. Dziś po latach wystarczają one jeszcze ojcom, ale nie są dostatecznie atrakcyjne dla synów, którzy głównie dlatego nie garną się do nich z zapałem, a w konsekwencji oddalają od polskości. Tu, oczywiście, wyrastają nowe orzechy, których nikt ugryźć nie potrafi. Zmienić tradycyjny charakter naszych organizacji, to tak mniej więcej jakby zburzyć dom, który stał od lat, do którego jesteśmy całym sercem przywiązani. A gdyby nawet do tego doszło w drodze jakiegoś rewolucyjnego czynu, to gdzie jest pewność, że tym pociągnięciem zbudujemy



skuteczną zaporę przeciw erozji, która z każdym rokiem pomniejsza naszą polską wysepkę?

Ma więc to zjawisko różną wymowę dla obu zainteresowanych stron. Prawda, jak to często bywa, pewnie leży w środku. Doświadczenie historyczne mówi nam, że Polacy, istotnie, nie wyzbywają się łatwo swojej świadomości narodowej pod obcym niebem. Z drugiej strony, nikt dotychczas nie wynalazł szczepionki, która zabezpieczałaby skutecznie i radykalnie mniejszość przed wpływami większości, gdy ma się do czynienia ze środowiskiem o wysokim poziomie kultury.

Jeśli idzie o Polaków w tym kraju, to możemy chyba przyjąć bez obawy popełnienia dużego błędu, że w przyszłości jeszcze nieraz zagadnienie „czy za szybko czy za wolno“ zapominamy o swej polskości będzie zaprzętać uwagę w stopniu nie mniejszym, niż dzisiaj.

B.D.I.C

Z okazji 75-lecia amb. E. Raczyńskiego, prezesa Zarządu Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. Sikorskiego odbyło się w dniu 21 grudnia ub. roku zebranie towarzyskie w Instytucie z udziałem czołowych osobistości życia politycznego i społecznego oraz grona bliskich przyjaciół i współpracowników Jubilatą. Na zdjęciu: gen. Anders słucha przemówienia amb. Raczyńskiego odpowiadającego na liczne życzenia.

Fot. W. Bednarski



WITYMIR Z. BIEŃKOWSKI

## KAMPANIA O BIBLIOTEKĘ POLSKĄ W LONDYNIE

OD KILKUNASTU miesięcy społeczeństwo polskie śledzi z uwagą i troską rozwój wypadków w kampanii o utrzymanie Biblioteki Polskiej w Londynie, jaka toczy się w coraz większym napięciu, zwłaszcza od słynnej debaty w Izbie Lordów w październiku ub. r. Sprawa nie jest ani łatwa ani prosta. Nawet znajomość całej historii powstania i rozwoju biblioteki, a raczej bibliotek polskich, nie zawsze wystarcza, by móc zrozumieć sens różnych decyzji, jakich jesteśmy świadkami.

Biblioteka Polska w Londynie, mieszcząca się przy 9, Princes Gate, powstała w 1942 roku przy polskim Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Nie było wtedy żadnych nieporozumień co do praw własności. Biblioteka należała całkowicie i wyłącznie do rządu polskiego. Gdy w 1945 rząd brytyjski cofnął uznanie rządowi polskiemu, administracja Biblioteki została przejęta najpierw przez tzw. Interim Treasury Committee for Polish Question, a potem przez Komitet Oświaty Polaków w W. Brytanii oraz P.U.C.A.L. Od jesieni 1954 Bibliotekę Polską zajmuje się polsko-brytyjski Komitet Oświatowo-Biblioteeczny, znajdujący się organizacyjnie w ramach Polish Research Centre. W ciągu

blisko 25 lat swego istnienia Biblioteka Polska zgromadziła około 100,000 książek, z czego więcej niż połowa pochodziła ze źródeł polskich. Do wkładu polskiego trzeba dodać także inicjatywę, zdolności i prace włożone przez polski personel biblioteczny z p. dr M. Danilewiczową na czele, jak również koszt pomieszczenia biblioteki, wynoszący w dzisiejszej skali około £5,000 rocznie, a ponoszony ofiarnie od kilku już lat przez Stowarzyszenie Techników Polskich. Trzeba jednak również jasno stwierdzić, że Biblioteka Polska mogła istnieć i rozwijać się tylko dzięki dotacjom przyznawanym przez rząd brytyjski, dotacjom, które społeczeństwo polskie z wdzięcznością przyjmowało jako szczerą i bezwrotną pomoc, ofiarowaną przez byłego sojusznika. Należy także wspomnieć, że z bogatych zbiorów Biblioteka Polska przekazała na życzenie rządu brytyjskiego około 20,000 książek do Kraju i około 23,000 książek do Battersea Polytechnic.

Poza Biblioteką Polską posiadamy Polską Centralę Bibliotek Ruchomych, która została stworzona w 1948 przez Komitet Oświaty Polaków, działający w ramach Polish Resettlement Act. Kierownikiem Centrali od początku jej istnienia jest p. Michał A. Stopa. Cen-

trala posiada dzisiaj ponad 47,000 książek i prowadzi ponad 170 biblioteczek ruchomych. Poza tym istnieje również, założona jeszcze w 1939 roku, Biblioteka Polskiego Ośrodka Naukowego, licząca przeszło 50,000 tomów. Nie jest to jeszcze koniec polskich księgozbiorów, bo cały szereg polskich organizacji posiada własne mniejsze lub większe biblioteki, ale już te trzy główne zbiory zawierają ponad 150,000 książek, często bardzo wartościowych i stanowiących skarbnicę kultury, którą społeczeństwo polskie słusznie uważa za swój dorobek i za chlubną spuściznę, którą ostatnie pokolenie pierwszego Tyśiąclecia Polski Chrześcijańskiej z dumą może przekazać młodym pokoleniom w wolnym świecie wstępującym w nowe Tyśiąclecie.

Zbiory te, niezależnie od ich dużej wartości czysto naukowej, są ważnym dorobkiem kultury polskiej, dorobkiem z mozołem gromadzonym przez szerokie masy Polaków. Bo bezmała każda placówka polska, każdy urząd i instytucja, oddziały Polskich Sił Zbrojnych — nie wymieniając już prywatnych zbiorów — gromadziły polskie książki i książki o Polsce wszędzie tam, gdzie losy wojny ich rzuciły. Zbiory w

(Dokończenie na str. 39)

## DWADZIEŚCIA LAT ZJEDNOCZENIA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

Delegaci 50-ciu organizacji obradowali  
28 i 29 stycznia w Londynie

Tegoroczny Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego odbył się w 20-lecie istnienia Zjednoczenia. Zjazd ten był jednocześnie oficjalnym zakończeniem Roku Milenijnego w Anglii (na takie ujęcie Walnego Zjazdu zgodził się Komitet Obchodów Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej w Londynie). Należy podkreślić, iż między Zjednoczeniem Polskim a Komitetem Milenijnym istniała od samego początku jak najściślejsza współpraca. Zjednoczenie bowiem było założycielem Komitetu, a liczni jego członkowie działali też w innym charakterze brali udział w pracach milenijnych. I dlatego Zjazd ten miał szczególne znaczenie. Podkreślić należy także, iż w ciągu minionego roku przystąpiło do Zjednoczenia 9 nowych organizacji. W sumie należy dziś do Zjednoczenia 50 organizacji. Jest to niewątpliwie największa reprezentacja społeczna na emigracji.

Walny Zjazd otworzył prezes Zarządu red. P. Hęciak. Po modlitwie „na zakończenie roku milenijnego“ odmówionej przez ks. inf. W. Staniszewskiego, odczytał sekretarz generalny S. Kolańczyk następujący list ks. biskupa Rubina:

W Panu Paweł Hęciak  
Prezes Zjednoczenia Polskiego  
w Wielkiej Brytanii

Roma, 17. I. 1967.

*Wielce Szanowny Panie Prezesie,*

Z wielką radością przyjmuję wiadomość o Walnym Zejeździe Zjednoczenia Polskiego w dniach 23 i 29 bm. w Londynie.

Korzystam z tej okazji, aby wyrazić Zjednoczeniu Polskiemu w Wielkiej Brytanii moje serdeczne podziękowanie za duży wkład inicjatywy i pracy w obchody Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej.

Mówiąc o obchodach milenijnych, które objęły cały świat i ukazały żywą wiarę na drogach Narodu Polskiego i jego Pielgrzymstwa, wspominam z wdzięcznością wkład wszystkich Rodaków i tak bardzo upragnioną współpracę w duchu jedności i chrześcijańskiej miłości.

Ta chrześcijańska i patriotyczna postawa wyszła na dobro Kościoła Powszechnego i naszej Ojczyzny. Była ona wspaniałym przykładem współpracy ludzi świeckich w urzeczywist-

nianiu postulatów Soboru Watykańskiego Drugiego.

*Myślę, że postawa ta wyszła na dobre również wszystkim Polakom na Emigracji, przede wszystkim dla sementowania ich jedności, nie na jakichś przemijających podstawach, ale na gruncie nieprzemijającej jedności chrześcijańskiej. Jest bowiem niezaprzeczoną fakt, że prawdziwe braterstwo ludzi może nastąpić tylko na płaszczyźnie ducha w Kościele Bożym, który zgromadza w braterskiej miłości nie tylko członków różnych ugrupowań społecznych, ale również ludzi różnych ras, narodów, języków i pokoleń. Tego zjednoczenia nie zdola rozbić żadna siła.*

*Na progu nowego roku, który w myśl listu pasterskiego Episkopatu Polski ma być urzeczywistnieniem w naszym Narodzie postanowień milenijnych i postulatów Soboru Watykańskiego Drugiego, zapraszam bardzo serdecznie Zjednoczenie Polski w Wielkiej Brytanii do ofiarnej współpracy nad urzeczywistnieniem tych postanowień i postulatów dla naszego wspólnego dobra.*

*W tym duchu polecam Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego przemożnej opiece Bożej i Jasnogórskiej Królowej, łącząc najlepsze życzenia i błogostawieństwo.*

Władysław Rubin  
Biskup tyt. Serty  
Delegat Prymasa Polski  
dla duszpasterstwa  
emigracji polskiej

O dorobku milenijnym w W. Brytanii mówił sekretarz Komitetu Obchodu Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej J. Płoski, po czym wiceprezes Zarządu Zjednoczenia Z. Bieńkowski odczytał adresy hołdownicze do Prymasa Polski ks. kard. S. Wyszyńskiego:

*„Zebrani na Zejeździe Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii na progu nowego Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej przesyłamy Jego Eminencji wyrazy głębokiej czci i serdecznej wdzięczności za opiekę duchową i przywództwo moralne narodowi polskiemu, który w oparciu o Kościół i Episkopat wstępuje w no-*

(Dokończenie na str. 40)

GAWĘDA LEKARSKA

## EPILEPSJA

EPILEPSJA jest chorobą chroniczną; odznacza się powtarzalnymi atakami utraty przytomności, którym towarzyszyć także mogą konwulsje. Przyczyna tej niezmiernie przykryj i przerażającej choroby nie jest jeszcze dotychczas całkowicie wyjaśniona. Odróżniamy natomiast pewien rodzaj epilepsji, powstałej na skutek uszkodzenia mózgu, jak np. przez wypadek, a także, atak epilepsji może być niekiedy wywołany przez strach. W większości wypadków pierwszy atak epileptyczny następuje w dzieciństwie, lub w okresie pokwitania. Ofiarami tej choroby padają w równie mierze mężczyźni jak i kobiety, bez — by się tak wyrazić — preferencji dla płci, która nieraz ma miejsce w innych schorzeniach. Dzieciństwo nie jest tu sprawą dominującą, ale są poszlaki co do skłonności rodzinnej. Ludzie cierpiący na migreny mają większe skłonności, a tym samym i szanse dostania ataku epileptycznego. Stany, które u epileptyka mogą wywołać atak zachodzą wówczas, gdy ofiara tego schorzenia cierpi na nadkwasotę, zwiększoną zasadowość krwi, albo nadmierną zawartość wody w organizmie. U kobiet atak wywołać może również menstruacja.

Jak wspomniano wyżej, pacjent jest przeważnie młody. Często zwierzy się lekarzowi, że w dzieciństwie podlegał napadom konwulsji. Ogólny stan jego zdrowia będzie przeważnie zadowalający. Ludzie cierpiący na epilepsję są jednak z reguły leniwi, egocentryczni i kłamliwi. Czasami też odznaczają się odmienną wymową głosek, wymawiają je mianowicie w pewien charakterystyczny, monotony sposób.

Możemy rozróżnić cztery rodzaje ataków epileptycznych. Pierwszy to tzw. petit mal, czyli małe ataki, z których pacjent nie zdaje sobie nawet sprawy, że im podlega. Członkowie rodziny lub otoczenie zauważa, że chory przerywa nagle w połowie zdania to co mówił, lub też przerywa czynność, którą wykonywał i przez kilka sekund pozostaje całkowicie nieruchomy. Źrenice rozszerzają mu się widocznie, głowa drży i kiwa się, oczy zezują; blednie, potem czerwienieje. Po kilku sekundach atak mija i chory wraca do kontynuowania czynności czy rozmowy. Podczas takiego ataku traci on przytomność na niezmiernie krótki przeciąg czasu. Ta właśnie forma jest najczęstszą formą ataku epileptycznego. U dzieci te kilkusekundowe ataki mogą powtarzać się nieraz aż do stu dzien-



nie, a czasem w epileptycznym petit-mal. Mniej więcej paść raptownie na ziemię, aby natychmiast się podnieść. Spotykamy także nagłe ruchy rąk i tułowia, którym towarzyszy utrata przytomności.

Tyle o „petit-mal“.

Druga odmiana epilepsji — to grand-mal. Mniej więcej połowa epileptyków cierpiących na grand-mal miewa przecucie nadchodzącego ataku. Stan ten nazywamy „aurą“ i może on mieć różnorakie formy. „Aura“ może odznaczać się np. jakimś urojonym zapachem, lub nieistniejącym dźwiękiem, od którego zaczyna się atak. U innych znowu aura może objawić się drętwieniem ręki lub nogi, czy drganiem mięśni. Nie u każdego chorego atak epileptyczny zaczyna się jednakowo: niektórzy mają włączenia miejscowości, w których nigdy nie byli, a pod wpływem takiej wizji wiedzą, że nadchodzi atak. Wszystkie te objawy są właśnie skomplikowaną aurą choroby, wykazującą, że konwulsje biorą swój początek w jakiejś części mózgu, postępując bardzo szybko i powodując utratę przytomności oraz orgawki. Chory, gdy nadchodzi nań atak — wydaje okrzyk i pada. Najpierw leży sztywno z napiętymi mięśniami, czasami przestaje oddychać i sinieje, oraz przygryza język zębami przez skurcz mięśni. Stan ten trwa około pół minuty, po czym mięśnie zaczynają się rozkurczać. Czasami konwulsje występują tylko po jednej stronie ciała, usta są otwarte i ociekają śliną, która może być zakrwawiona od przygryzionego języka — słowem widok cierpiącego na atak epileptyczny jest przeraźliwy. Atak taki trwa zwykle od 3 do 4 minut, po czym chory odzyskuje przytomność i wyczerpany zasypia.

Trzeci rodzaj epilepsji przejawia się stanami jak gdyby pół-snu, z którym

związane są stany halucynacyjne. W tym stanie zachodzą nieraz wyraźne zmiany osobowości, lecz są to przypadki niezmiernie rzadkie.

Czwarty, najrzadziej spotykany i najpoważniejszy stan — to ten podobny śpiączce. Przerywany on jest konwulsjami, po zakończeniu których chory jednak nie odzyskuje przytomności, a jeśli nie otrzyma natychmiastowej pomocy lekarskiej — może umrzeć na przestrzeni kilku dni.

Całkowite wyleczenie epilepsji jest bardzo trudne, zapobieganie jednak atakom przy dzisiejszej wiedzy farmakologicznej — ułatwia niesienie pomocy jej ofiarom. Przy ataku grand-mal udzielenie pierwszej pomocy jest niezmiernie ważne — jak np. rozluźnienie krawatu, ubrania, wyjęcie sztucznej szczęki, którą chory może się zadławić, oraz włożenie jakiegoś twardego przedmiotu między szczękę, aby nie przygryzł języka. Epileptyk winien zawsze spać na niskim pościu, tak aby spadając w ataku nie potłukł się.

Na epilepsję rodzaju petit-mal znany cały szereg preparatów, które podawane codziennie, są dość skuteczne. Przy atakach grand-mal podaje się fenobarbiton w dawkach zależnych od potrzeby. Dzisiaj mamy na rynku nowe środki, które stosować możemy równolegle z fenobarbitonem.

Każdy cierpiący na epilepsję winien być zachęcany do prowadzenia normalnego życia, jakkolwiek nie powinien się przemęczać. Najlepiej odpowiadać mu będzie spokojny i unormowany tryb życia, dużo świeżego powietrza i abstenencja od alkoholu. Nikt, kto cierpi na epilepsję nie powinien prowadzić samochodu lub pracować w takim zawodzie, przez wykonywanie którego mógłby w razie ataku spowodować wypadek przeciw sobie lub osobom w swym otoczeniu.

Dr Michał

## CIEKAWOSTKI

### Z NAUKI

### I TECHNIKI



**P**ROBLEM samochodu elektrycznego pozostaje nierozwiązany właściwie od czasów, kiedy silnik spalinowy był, w powijakach. Już wtedy bowiem inżynierowie głowili się nad pojazdem, którego źródłem napędu byłaby energia elektryczna. Główną przeszkodą, której przez bardzo długi czas nie dało się pokonać, była, oczywiście, bateria wystarczająco duża, aby móc dostarczyć odpowiedniej energii do poruszania pojazdu. Dzisiaj wygląda na to, że problem ten nareszcie zostanie rozwiązany, bowiem kilka miesięcy temu naukowcy z ośrodka doświadczalnego amerykańskiej firmy samochodowej Forda zdołali zademonstrować nowy typ baterii, która świetnie nadaje się do poruszania pojazdów. Jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, zakłady Forda będą produkowały samochody elektryczne za kilka lat. Baterie, lub inaczej mówiąc — akumulatory, których używamy do startowania samochodu poruszanego silnikiem spalinowym, składają się, jak wiemy, z elektrod z ołowiu i tlenku ołowiu zanurzonych w elektrolicie z rozcieńczonego kwasu siarkowego. Akumulator wynaleziony przez naukowców zakładów Forda składa się z elektrod z ciekłego sodu i ciekłej siarki, przedzielonych elektrolitem z tlenku aluminium. Prąd powstaje przez separację ciekłego sodu i siarki przy użyciu tlenku aluminium, który blokuje przepływ wszystkich cząsteczek oprócz jonów sodu (atomy sodu, z których ujęto jeden elektron).

W stanie ciekłym, atomy sodu są bardzo silnie przyciągane przez atomy siarki, ponieważ zaś przedzielone są one tlenkiem aluminium, atomy sodu pozbywają się jednego elektronu, aby przedostać się przez tę barierę i reagować z siarką. Nadmiar elektronów, aby połączyć się z powrotem z jonami, płynie przez zewnętrzny obwód elektrody siarkowej. Właśnie ten przepływ elektronów jest prądem elektrycznym. Inżynierowie Forda przypuszczają, że upłynie jeszcze co najmniej ze dwa lata, zanim zdołają zbudować akumulator wystarczająco duży, aby mógł poruszyć samochód. Akumulator taki będzie ważył około 150 kilogramów, będzie dawał około 15 kilowatów energii i będzie zdolny do akumulacji 15 razy tyle energii elektrycznej, co konwencjonalny kwasowo-ołowiowy akumulator. Prototyp samochodu elektrycznego, który już w tej chwili jest w konstrukcji, będzie zdolny do zabrania dwójga

## JEST W SPRZEDAŻY

# Kalendarzyk Kombatanta na rok 1967

Zawiera m.in. bogaty dział adresowy organizacji, instytucji, urzędów oraz firm handlowych we wszystkich krajach polskiego osiedlenia.

Do nabycia: **KSIĘGARNIA S. P. K.**  
**20, Queen's Gate Terrace,**  
**London, S.W. 7**

oraz we wszystkich polskich księgarniach.

Cena 1 egz. 5/6 (z przesyłką 6/-); \$ 1.00

dorosłych osób oraz dwojga dzieci, jego zasięg będzie wynosił około 150 mil jadąc z przeciętną szybkością 40 mil na godzinę, po czym trzeba go będzie naładować na nowo, przez włączenie do sieci elektrycznej.

Zanim samochód będzie masowo produkowany, trzeba będzie rozwiązać kilka problemów, a mianowicie choćby to, że akumulator Forda będzie musiał być rozgrzewany do temperatury 250 stopni Celsjusza, aby utrzymać sól i siarkę w stanie ciekłym. Uważa się, że można to osiągnąć przez bardzo ważną i staranną izolację i częste ładowanie. Użytkownik będzie także musiał uważać, aby sól z baterii nie zetknął się z wodą, ponieważ reakcja jaką by to wywołało, wytwarza bardzo łatwo wybuchowy gaz wodorowy. Zasięg samochodów elektrycznych nie jest bardzo duży, będzie ich można używać raczej w mieście, gdzie już nawet w tej chwili problem gazów spalinowych jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi. Do podróży na dalsze odległości będzie trzeba używać nadal samochodu o silniku spalinowym, chyba, że w międzyczasie odkryty zostanie inny rodzaj napędu.

### TROSZKĘ O HISTORII ZIEMI

W czasie niedawno odbytej konferencji prasowej w Waszyngtonie reporterzy poczęstowani zostali mrożoną Coca-Colą. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, oprócz tego, że jak zapewnili ich naukowcy, do zamrożenia tego napoju, lód pochodził ze śniegu, który spadł w Grenlandii jeszcze za czasu życia Chrystusa.

Próbki lodu zostały wydobyte z grenlandzkiej pokrywy śnieżnej z głębokości 500 metrów pod powierzchnią, przez zespół naukowców zatrudnionych przez armię amerykańską do badania historii ziemi. Do wydobycia tych próbek naukowcy używali termicznych świdrów, składających się z elektrycznie ogrzewanych cylindrów. Co półtora metra świder taki był wyciągany na powierzchnię, a próbka lodu poddawana badaniom. Badania te polegały na mierzeniu rocznych opadów śniegu, a także używając izotopów przeprowadzano badania powietrza w nich zawartego. Niektóre próbki wydobyte z dna pokrywy śnieżnej liczyły sobie około 10 tysięcy lat. Badano także obecność związków organicznych i nieorganicznych, wpływy klimatyczne, które oddziaływały na historię obszaru Grenlandii na przestrzeni ostatnich stu wieków. Pomimo, że analizy nie są jeszcze zupełnie skończone, naukowcy mogli już jednak wyciągnąć kilka bardzo in-

teresujących wniosków. Dla niezupełnie jeszcze zrozumiałych powodów, ilość opadów kurzu kosmicznego potroili się w ciągu ostatnich 750 lat. Odkryto także, że ilość śniegu jaki spadł w ciągu ostatnich dziesięciu wieków, różni się stosunkowo mało od dzisiejszych opadów, i że rok 1776 był nadzwyczajnie ciepłym rokiem. Temperatura na dnie skorupy lodowej, tj. blisko 500 metrów pod powierzchnią, wynosi 9 stopni Fahrenheita, czyli że jest dużo wyższa niż na powierzchni, gdzie waha się minus 13 stopni Fahrenheita.

Po skończeniu badań w Grenlandii uczeni planują wyprawę na Antarktydę, gdzie oczekują, że pokrywa lodowa będzie liczyła sobie około 90 tysięcy lat i zdradzi nam jeszcze jakieś nowe i nieznane tajemnice naszej ziemi.

Włodzimierz Lewandowski

**Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!**

**Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych**

### KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID  
FRANCJA  
66, BLD. EXELMANS, PARIS 16-e.

MOŻESZ WYSLĄC

**WSZYSTKO**

przez

**Grabowskiego**

Lekarstwa  
żywność

Pieniądze  
Owoce

Ortaliony

(bez podpinkii i z podpinką)

i tak dalej

**Każdy artykuł do wyboru  
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI**

**M. B. GRABOWSKI**

175, DRAYCOTT AVENUE,  
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

**D**UŻO się obecnie mówi o „nowej” matematyce. Oczywiście, określenie to jest mylne, bo matematyka jest zawsze ta sama, ale w ostatnich czasach zrobiła na różnych odcinkach ogromne postępy. Odkryto nowe sposoby rozwiązywania problemów, a przy tym rozszerzono samo pojęcie matematyki, która obecnie nie ogranicza się do rachunków, a ponadto wcale nie dba o zastosowanie praktyczne. Każda regularność w świecie czy to realnym, czy wymyślonym nowoczesnego matematyka interesuje całkowicie.

Za przykład posłużyć może prosta łamigłówka. Połóżmy na stole 11 zapalek. Jeżeli 5 z pośród nich zamoczymy w atramencie, będziemy mieli razem, 5 zapalek ciemnych i 6 jasnych. Zaczniemy z tych zapalek układać równoboczne trójkąty, tak aby boki każdego trójkąta składały się z trzech zapalek, dwóch jasnych i jednej ciemnej. Możemy w ten sposób skonstruować tylko trzy takie trójkąty, pozostawiając dwie ciemne zapalki nieużyte. Jeżeli jednak złączymy razem dwa trójkąty, tak aby miały jedną zapalkę wspólną, możemy uwolnić jedną zapalkę jasną, która może w ten sposób posłużyć do budowy nowego trójkąta razem z dwoma ciemnymi, które pozostały przedtem. Ten trójkąt jednakowoż będzie różny od innych, bo się będzie składał z jednej zapalki jasnej i dwu ciemnych.

Otóż zadanie polega na tym, by skonstruować ze wszystkich zapalek jedną regularną figurę geometryczną, nie pozostawiając żadnych zapalek luźnych. Figura ta ma się składać ze samych trójkątów równobocznych powyżej podanej wielkości, przy czym każdy trójkąt ma mieć dwa boki zrobione z zapalek jasnych, a jeden z ciemnej.

Każdy może próbować rozwiązać tę łamigłówkę przestawiając zapalki na chybił trafił, matematyk jednakże będzie się starał wziąć takie zadanie za podstawę do zbudowania teorii, sformułowania prawa, ustalenia warunków, w których możliwe jest skonstruowanie trójkątów o takiej lub innej proporcji jasnych i ciemnych zapalek. Napisze o tym artykuł, może i książkę; stworzy być może nowy dział matematyki, określającej stosunki jasno-ciemnych trójkątów. Zabawa ta, na pozór jałowa, może jednak niespodzianie znaleźć zastosowanie praktyczne, dajmy na to do wyjaśnienia zjawisk fizyki nuklearnej, czy innej.

Za inny przykład posłużyć może dział matematyki, zwany topologią. Jest to nauka o figurach, które zmieniają kształt, nie przerywając ciągłości linii. Jegomość, który dla zabawy towarzysztwa pokazuje, jak kamizelkę, którą ma pod marynarką, przesunąć na wierzch



# „NOWA“ MATEMATYKA W SZKOLE POWSZECHNEJ

bez zdejmowania tejsze marynarki, posługuje się prawami, ustalonymi przez topologię.

Wróćmy do naszego tematu. W ślad za przewrotem w pojęciach matematycznych, pojawiły się w wielu krajach próby reformy nauczania matematyki w szkole. Poczęto wprowadzać do programu działy matematyki, które dotychczas wykładano dopiero na uniwersytecie, jak np. teorię zespołów, którą obecnie uważa się za podstawę całej matematyki, i w ogóle logicznego myślenia. Przy rozstrzygnięciu, jakie gałęzie matematyki mają być uczone w szkole, nie zawsze odgrywa rolę potrzeba w życiu codziennym. Niektórzy nauczyciele bowiem utrzymują, że nauka matematyki winna mieć na oku głównie cele estetyczne, wzbudzenie podziwu dla pięknych intelektualnych konstrukcji.

Na jednym punkcie wszyscy reformatorzy się zgadzają. Uznają, że znikła potrzeba wymagania od uczniów długich i mozolnych ćwiczeń celem uzyskania biegłości mechanicznej w rachowaniu szybko i bez błędu. To zadanie bowiem, wykonują o wiele sprawniej nowoczesne maszyny do rachowania i komputery. Zato główny nacisk kładzie się obecnie na wyrobienie inteligencji matematycznej i na dokładne zrozumienie przez ucznia dokonywanych zadań. Zamiast całej armii rachmistrzów, którzy niezbędni byli w każdym biurze za czasów królowej Wiktorii, coraz większa jest teraz potrzeba ludzi umiających „nasycać“ komputery, których zastosowanie rośnie z każdym dniem. Co to jest komputer? Jest to po prostu maszyna do wykonywania czterech dzia-

łań i przechowywania w swej „pamięci“ jak długo tego potrzeba. Trzeba kogoś rozumiejącego matematykę, aby tej maszynie dać odpowiednie instrukcje, „pouczyć“ ją jakie działania, w jakim porządku ma ona przeprowadzić, i to w sposób najprostsz, najkrótszy, zatem wymagający najmniej czasu. Ponieważ czas komputera jest drogi, trzeba go oszczędzać, by zmniejszyć koszty produkcji.

Przekonano się wkrótce, że do zaspokojenia rosnącej potrzeby nowego typu matematyków, ludzi rozumiejących matematykę, a nie rachujących mechanicznie, trzeba zmienić od gruntu cały system nauczania tego przedmiotu, poczynając od szkoły powszechnej.

Przypomnijmy sobie, jak się to za „dawnych“ czasu działo. Większość ludzi jako tako wykształconych ma przekonanie, że doskonale „rozumie“ podstawę arytmetyki i geometrii nabytą w szkole powszechnej. Wystarczy jednak zapytać ich, poprosić o pewne wyjaśnienia, by stwierdzić, jak powierzchowne jest to zrozumienie. Przeważna ilość osób, nie wyłączając samych nauczycieli, rozumie tylko jak należy pewne działania wykonać, ale nie pojmuje, dlaczego tak, a nie inaczej. Co to znaczy np. „przenoszenie“ dziesiątek, setek itp. do następnej kolumny przy odejmowaniu dwóch liczb? Dlaczego obojętne jest czy się liczbę przenoszona dodaje do odjemnika, czy odejmuje od odjemnej? Jaki jest związek między odejmowaniem a dzieleniem? Dlaczego przy dzieleniu ułamka przez ułamek iloraz jest zawsze większy, a nie mniejszy od liczby podzielonej (dzielnej)? Dlaczego nie można dzielić liczby dziesiętnej przez dzie-

siętną sposobem używanym przy liczbach całkowitych? Dlaczego w liczbie, w której 9 mieści się bez reszty, suma cyfr zawsze się równa dziesięciu, lub wielokrotności liczby 9? Można zadać podobne pytania z zakresu podstaw geometrii: dlaczego powierzchnię prostokąta, lub równoległoboku oblicza się mnożąc podstawę jego przez wysokość (długość  $\times$  długość = powierzchnia?) A w trójkącie, nawet najbardziej pochyłym, powierzchnię uzyskuje się mnożąc podstawę przez pół wysokości? Żadne z tych pytań nie wychodzi poza poziom szkoły powszechnej. Każdy się tego uczył, ale ile osób otrzymało wyjaśnienie na powyższe pytania?

Oczywiście, wyjaśnienie małym dzieciom tych wszystkich procedur matematycznych, wzbudzenie w nich zainteresowania do abstrakcyjnych kalkulacji, nie jest rzeczą łatwą. Zaczęto więc szukać nowych sposobów uczenia matematyki, głównie przez nawiązywanie jej do codziennego życia i wyjaśnianie na przedmiotach konkretnych. W Anglii fundacja lorda Nuffielda dokonuje obecnie na wielką skalę zakrojony eksperyment, mający na oku trenowanie nauczycieli, uczyć ich wykorzystywać każdą sposobność, każde zainteresowanie dzieci dla celów nauki matematyki. Z drugiej strony mnożą się systemy tzw. materiałów „strukturalnych“. Są to przeważnie zespoły klocków, których wielkości i barwy mają pewien logiczny związek między sobą, tak że można przy ich pomocy wykonywać działania matematyczne „palcami“. Zamiast pokrywania zeszytów cyframi, uczniowie obracają w palcach konkretne przedmioty. Cyfry i symbole matematyczne nabierają tym sposobem nowego znaczenia, stają się zrozumiałe i interesujące. Zamiast ślepego uczenia się na pamięć techniki skomplikowanych działań i stosowania niezrozumiałych formułek, uczeń „bawi się“ klockami, których poruszenia są dla niego zrozumiałe. Ponadto znajduje on w zajęciu tym możliwość samodzielnego myślenia i odkrywania różnych praw matematyki.

Ani materiały strukturalne jednak, ani lekcje oparte na przelotnym zainteresowaniu uczniów, nie mogą zastąpić potrzeby solidnego, systematycznego kursu podstawowej matematyki. Nauczyciel, choćby najbardziej zdolny, nie może zaimprovizować całego programu nauki, zwłaszcza przy wielkiej ilości uczniów w przeciętnej klasie. Z drugiej strony nie można oczekiwać, by dziecko, mające do dyspozycji sam tylko mate-

**SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE**  
**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO**

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



**HASKOBA LTD.**

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888



riał strukturalny, mogło bez dalszej pomocy odkryć cały dorobek tysięcy lat myśli matematycznej.

Zachodzi wobec tego potrzeba nowego typu podręcznika, napisanego językiem zrozumiałym dla ucznia i zawierającego ćwiczenia do wykonania za pomocą materiału strukturalnego, które by były w stanie naprowadzić go na tor myślowy pokoleń matematyków ubiegłych stuleci, dać mu zrozumieć wymyślone przez nich genialne sposoby wyrażania otaczających zjawisk językiem symbolów i cyfr, i otworzyć mu drogę do własnych, samodzielnych dociekań.

Podręcznik tego rodzaju powinien zawierać ćwiczenia zarówno indywidualne, jak i grupowe. Nie wyklucza on pomocy nauczyciela, ani lekcji zbiorowych. Daje jednak uczniowi, łącznie z materiałem strukturalnym, do którego jest przeznaczony, możliwość osobistej pracy myślowej, zastosowanej do indywidualnego tempa jego rozwoju. Matematyka bowiem ma to do siebie, że aby ją zrozumieć, trzeba ją na każdym szczeblu samemu, spokojnie i bez pośpiechu przemyśleć. Zbiorowa praca jest cenna ze względu na wpływ, jaki wywiera na jednostkę, entuzjazm grupy. Nie może ona jednak zastąpić czasu, potrzebnego na pracę samodzielną, kiedy uczen własnym wysiłkiem stara się przyswoić sobie naukę otrzymaną z zewnątrz, i powiązać ją w logiczną całość z wiedzą nabytą poprzednio.

Nowy podręcznik opierać się musi na nowej treści. Treść ta, to nowy rodzaj matematyki, którą można nazwać matematyką manipulacyjną, matematyką opartą na materiale konstrukcyjnym — inaczej mówiąc, na klockach. Matematykę tą trzeba więc opracować dokładnie aż do najdrobniejszych szczegółów, aby uczniowie w ćwiczeniach znaleźli wyjaśnienie każdej wątpliwości, wytłumaczenia każdego działania. Uprzednio trzeba naturalnie rozstrzygnąć, jaki system klocków jest najbardziej odpowiedni; musi on bowiem zawierać możliwość wyjaśnienia wielkiej ilości problemów, a równocześnie cena jego musi być przystępna dla budżetu przeciętnej szkoły.

Wiele pozostaje jeszcze do opracowania w tej dziedzinie. W okresie przejściowym, doświadczalnym, jaki przechodzimy obecnie, ważnym jest zdać sobie jasno sprawę z przemiany nastawienia do nauki matematyki w szkołach obecnych, i z tego, jakie są cele tej nauki w świecie współczesnym. Nie trzeba się dziwić, jeśli dzieci przyniosą do domu przykłady działań wykonanych nie systemem dziesiętnym, ale czwórkowym, czy dwójkowym. W zeszytach ich mogą się znaleźć dziwnie wyglądające rachunki np.

$$\begin{array}{r} 23 \\ \div 2 \quad \text{albo} \quad \div 11 \\ \hline 31 \qquad \qquad \qquad 1001 \end{array}$$

Do zrozumienia takich działań trzeba rozważyć, że chociaż podstawą naszego normalnego rachowania jest system dziesiętny, nie jest on jednak wcale jedyny z możliwych, ani nawet najlepszy. Weźmy np. liczbę 723. Ostatnia cyfra przedstawia jednostki, następna po lewej grupy 10 razy większe (dziesiątki), następna grupa znowu dziesięć razy większe (setki) itd. To jest nasz system dziesiętny. Moglibyśmy jednak rachować systemem dwunastkowym (jak w angielskich szylingach i pensach), albo ósemkowym (jak w galonach, dzielących się na 8 pints), albo jakimkolwiek innym. Moglibyśmy również przyjąć system, w którym druga pozycja od prawej oznaczałaby czwórki, następna czwórki czwórek itd. Pierwszy z powyższych przykładów przedstawia właśnie dodawanie systemem czwórkowym, a drugi systemem dwójkowym, używanym w komputerach. Temu 10 czy 15 lat nie śniło się nikomu uczyć dzieci takich systemów, ale dziś to uchodzi za rzecz normalną, wprowadzoną celem lepszego wytłumaczenia zasady, na której się opiera nasz system liczbowy.

Rodzice nieraz trapią się myślą, że dzieci „tracą czas“ wykonując w szkole ćwiczenia grupowe, które wyglądają więcej na zabawę, niż na mozolną pracę, jak to bywało „za dawnych czasów“ Ale jeżeli nauczyciel jest z dziecka zadowolony, a uczeń ma dobre sprawozdanie ze szkoły, ćwiczenia te mają prawdopodobnie jakąś rację. Swoją drogą rodzice sami mogą szkole pomagać, zachęcając dzieci do korzystania z codziennych okazji by stosować uzyskane umiejętności matematyczne i „bawić się“ w rachunki, choćby na pozór niepożyteczne. Nade wszystko ważnym jest dawać dzieciom od najmłodszych lat okazje do nabywania podstawowych pojęć o stosunkach liczb i wymiarów pod postacią zabawy. W braku specjalnie obmyślanego materiału strukturalnego można dać im co zabawy jakiegokolwiek klocki, byle miały formy regularne. Mało zajęć dzieciennych tak wyrabia zasadnicze pojęcia matematyczne, jak wolna, spontaniczna zabawa klockami, i jeżeli tylko dziecko okazuje zainteresowanie, nigdy nie jest za wcześnie na tego rodzaju naukę. Przez dziecienną zdatność się zabawę, już w mózgu niemowlęcia zaczynają się urabiać podstawy pod umysł przyszłego matematyka

R. A. Łubieński

PAMIĘTAMY ich jak opiekowali się każdym towarzyszem broni, który trafił do Bejrutu a potem do Homs, jak się odgradzali w Latrun od innych broni, jak przycinali płaszcze ku rozpaczcy Anglików, a zakładali chustki z tyłu głowy ku wydziwieniu piechoty, a wszystko to dla podkreślenia swej odrębności nawet w tej Brygadzie z cenzurą, która była też czymś odrębnym w Wojsku, a wyjątkowym w swych egzotycznych bojach.

Mogło to bawić czy oburzać tych wszystkich, którzy nie dostrzegali, że za tym pędem do odrębności krył się stary, z Kraju wyniesiony *esprit de corps*. Trzymał on Karpacki Pułk Ułanów przy psychicznym skoku z konia na ziemię, z ziemi na wóz pancerny i czołg, szlachetniał w czasie bojów w pustyni i na włoskiej ziemi i ratował ich przed *salto mortale* w czasie zejścia z widowni i przejścia do P.K.P.R. Trzyma ich i dziś. Ten *esprit de corps* nakazywał im pielęgnowanie rycerskich tradycji i zachowanie dla potomności własnych dokonań. W tym celu Ułani pierwsi, a może jedyni założyli własne muzeum i archiwum, w Rzymie, w tym celu wydają wychodzący nieprzerwanie od 1947 roku miesięcznik i w tym celu wydalili ogłoszony ostatnio *Zarys Historii Pułku\**

Okazała to książka i sympatyczna zarazem. Stanowi ona dorobek żołnierzy i licznych współpracowników, w tym co najmniej trzech spoza grona braci ułan-skiej. Zebrał 1.700 funtów na jej wydanie i to po dwudziestu latach, gdy tyle żołnierzy ubyło, a tylu znajduje się w rozprószeniu po innych kontynentach, to jest nielada wyczyn, to jest dowód nielada ambicji. W każdym razie niech ktoś wskaże mniejszy oddział o większej historii od tego to *Zarysu Historii Pułku Ułanów Karpackich*.

Nie może być mowy o podaniu tu, nawet w najbardziej skróconym skrócie chociażby, bojowej historii Pułku. Jest ona przygodnie znana z innych wydawnictw, a musi być ujęta w ramach ogólnego wysiłku polskich sił zbrojnych na Obczyźnie. Tu została ona przedstawiona z najlepszą intencją „ustalenia raz na zawsze kto, gdzie i kiedy jaką pracę wykonał“ i w przekonaniu, że „właściwą walkę staczają przede wszystkim żołnierze najniższych stopni“. Szkoda, że nasi Liwiusze nie zawsze pamiętają o tej chwalebnej zasadzie! Że ją autorzy naszego *Zarysu* pojmowali jak najpoważniej dowód, że żaden z odwiecznych dowódców Pułku nie docze-

\*) UŁANI KARPACCY. *Zarys Historii Pułku* w redakcji Jana Bielatowicza. Nakładem Związku Ułanów Karpackich. Londyn, 1966. Str. XVI-500, ilustr.



# UŁANI KARPACCY

kał się tyle miejsca w Zarysie i tylu pochwał, ile ten jeden ułan, co służyć w wojsku zaczął od szeregowca z cenzusem, a skończył ją legendą bez cenzusu: Adolf Maria Bocheński. To był cherubin Karpackiego Pułku Ułanów. Nie dziw, że drugi taki jak on, Jan Bielałowicz, oddał mu cześć we wzruszającym nekrologu naszego Zarysu, który tu w wyjątkach przytaczam:

„Był kawalerem Maltańskim, głosił stale romantyczne hasła rycerskie i praktykował je gorliwie. Poza odwagą, poświęceniem i pogardą śmierci wyróżniał się uczynnością oraz ofiarnością w służbie i wobec towarzyszy broni... Marzytel i intelektualista, pochłaniał nawet na froncie tomy pism historycznych i politycznych, tworzył i formułował ideologię polityczną i wojenną... Jego ofiarności i męstwo były na ustach całej Brygady. Odbył 50 patroli w Tobruku, przeważnie ochotniczych, przy czym za jeden z nich otrzymał order *Virtuti Militari*. Pod koniec oblężenia twierdzy został ranny. Już jako podporucznik Pułku Ułanów Karpackich zasłynął odwagą i męstwem w działaniach nad Sangro i pod Monte Cassino, gdzie został powtórnie ranny. Niewyleczony, z ręką na temblaku, dołączył do oddziału pod Ankoną, gdzie został znowu ranny nad rzeką Musone...”

Jest może ironią losu, że ten „ekspert od wszelakiego rodzaju min i pułapek“, „znający kilka języków“ i umiejący „prześlicznie recytować utwory literackie“ zginął właśnie na minie.

Było zapisane Karpackiemu Pułkowi Ułanów, że robił pewne rzeczy po raz pierwszy i po raz ostatni. Był więc „ostatnim w wojsku polskim oddziałem konnym i pierwszym na obczyźnie, który się przeobraził z konnego w pancerny, był „reprezentacją polskiej kawalerii przez długi czas i jako pierwszy oddział podjął walkę po powtórnej katastrofie naszej armii w ciągu drugiej wojny światowej“. Mieli więc nasi ułani tyle szczęścia, co ich towarzysze z Podlaskiej i Suwalskiej Brygady Kawalerii — „jedyni żołnierze kampanii wrześniowej, którzy walczyli na terytorium przez wieki okupowanym przez wroga“ pod wodzą generałów L. Kmiecica-Skrzyńskiego i Zygmunta Podhorskiego.

Ale i na „malowanego ułana“ przyszedł kres. Pamiętamy naszych ułanów jak w samo święto Piotra i Pawła 1940 poili konie w jeziorze Genezaret i zaiste

osobliwy to był widok. Gdy w marcu 1942 roku wracali z pustyni nad Nil, *La Bourse Égyptienne* witała ich jako *les vétérans du désert*. Wracali na wozach, wśród warkotu maszyn, tak dalekiego od starej piosenki — „Rzy już konik mój bułany...“ Koń się skończył bezpowrotnie, choć nie skończył się ułan.

Można też zrozumieć i z Zarysu to widać, że jedną z rzeczy, którą nasi Ułani przeżyli, a która im utkwiała w pamięci i w sercach, była „pamiętna defilada“ pod Aleksandrią, dnia 24.X. 1940 r., przed min. Edenem i licznymi dygnitarzami angielskimi, egipskimi i polskimi. Znowu „ta defilada w pustyni była ostatnią w dziejach polskiej kawalerii konnej“, choć nie po raz pierwszy stwierdziła trafność powiedzenia jednego z nuncjuszów w Polsce: *La cavalleria Polacca è buonissima*. Ci co na tę defiladę patrzyli, przeżywali za wiele dumy, aby sobie w danej chwili uświadomić to, co Ułani sami przeżywali, a czemu dali wyraz w Zarysie, mianowicie, że „stanowiła ona przełęcz między dawnymi a nowymi czasy, między wojną starą i nowoczesną“.

Ułani karpaccy zakończyli ją w starym, polskim stylu, wspaniałym zagonem na Bolonię. Wkroczyli do niej w pościgu za wrogiem i na wyścigi z piechotą, po całonocnym boju dnia 21 kwietnia o godz. 7-ej rano. Wszystko tu na nich naraz spadło: historia, sława i iście polski los. Ułani mu się nie poddali i jeżeli kiedykolwiek w tych właśnie chwilach ratował ich dojrzały i krwią uszlachetniony *esprit de corps*. Dnia 17 listopada otrzymali sztandar od społeczeństwa polskiego w Rzymie i uroczyste ślubowali, że „hasło Bóg i Ojczyzna będzie dla nas drogowskazem wszelkich naszych poczynań w dalszym marszu żołnierskim do Polski“.

Ten marsz nie skończył się na Placu Saskim w Warszawie, ten marsz skończył się w jakimś zapadłym Grimsby w Anglii. Krew już okrzepła, rany się zablizniły i powiędy wawrzyny. Zaczęła się nowa, polska, dla wielu koszmarna rzeczywistość. Jakiegoż to pióra potrzeba, aby opisać przejście żołnierza z kwiatami obsypywanych czołgów w Bolonii do zbierania kartofli w Szkocji. Trzeba jeszcze mocniejszego ducha, aby to znieść. Ułani i to znieśli z dumą i godnością, toteż z dumą i godnością pisać mogą na ostatniej karcie swego Zarysu Historii:

„Powołany do życia 25 lat temu Pułk Ułanów Karpackich przetrwał wszelkie

przeciwności losu, i choć rozprószony po całym niemal świecie — żyje nadal.

Bez garnizonu, szwadronów, sprzętu, ani broni, jednak Pułk żyje.

Żyje jako związek żołnierzy, którzy od zarania jego istnienia sławę i tradycję tworzyli i pieczołowicie przechowywali. Obecnie jego dzieje wspólnym wysiłkiem na kartach tej pracy spisują, by uczcić poległych i przekazują przyszłym pokoleniom i historii.

Czynią to w poczuciu rzetelnie spełnionego obowiązku żołnierskiego i obywatelskiego w stosunku do Kraju, którego sprawa i dobro były zawsze i nadal niezmiennie pozostają wyłącznym motywem, jedynym celem i drogowskazem do wysiłków, walk, ofiar i pracy“.

## KSIĄŻKI I WYDAWNICTWA

TEKI HISTORYCZNE, TOM XIII., Wyd. Polskie Towarzystwo Historyczne na Obczyźnie, za lata 1964-1965. Redagowane przez komitet pod przewodnictwem Mariana Kukiela. Tom przynosi pięć rozpraw naukowych: Oskar Halecki — Sześćsetlecie Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego; Władysław Wielhorski — Stosunki wyznaniowe i etniczne w W. Ks. Litewskim pomiędzy XIII i XVIII wiekiem; Marian Kukiel — Drogi podziemne Mickiewicza; Zdzisław Jagodziński — Rząd brytyjski wobec powstania poznańskiego 1848 roku; Stanisław Bóbr-Tylingo — Sprawa polska przed wybuchem powstania styczniowego. Ponadto: ogromny dział recenzyjny dający przegląd prac historyków. Wreszcie, Nekrologia i Kronika Naukowa podzielona na dwie części: z życia naukowego na obczyźnie i z życia naukowego w kraju.

GEORGE J. FLEMMING: CZYM TO SIĘ JE? Wyd. Instytutu Literackiego w Paryżu, 1966. Druga część względnie dalsza część głośnej książki pt. „Polska Mało Znana.“ Podtytuł określa ją jako: „Dobre rady dla reemigrantów i turystów“. Jest to typowa książka „dziennikarska“ z plusami i minusami tej przyjemnej formy pisarskiej. Jest czymś więcej niż zjadliwym felietonem lub literacko-publicystyczną satyrą. Przebiega żywo po ogromnym materiale faktów, kraszając je dowcipem nieraz „odgrzewanym sprzed lat wielu“, by stawić, gdzie trzeba, kropki nad „i“ w postaci bolesnych wniosków lub patriotycznych odtrutek na zbyt surowe krytyki. Nie fakty są rewelacyjne, lecz sposób ich zestawienia i zmontowania w jedną arcy-zabawną całość o bardzo różnej głębi.

Wojciech T. Grabowski, „WIERSZE ŻYCIU WYRWANE“, Oficyna Stanisława Gliwy, 1966, str. 35. Wydany w świetnej szacie graficznej, tomik zawiera jedenaście wierszy nieżyjącego już autora, znalezionych w rękopisach i nigdy przedtem nie publikowanych. Zbiorek poprzedza nota o autorze oraz dedykowany autorowi wiersz Mariana Łysakowskiego.

\* \* \*

Wojciech Polak, „TYSIĄCE LAT POLSKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ“, Hosanium, Rzym, 1966, str. 64. Rozprawka przedstawia w zwięzłej formie rolę Polski w minionym tysiącleciu oraz próbuje ustalić pozycję naszego kraju w życiu współczesnym.

\* \* \*

Adam Ciołkosz, „GRANICE ODWAGI MYŚLENIA“, odbitka z „Polemik“ rok III, zeszyt V, Londyn, 1966, str. 36. W broszurze tej autor daje wnikliwą analizę marksizmu w interpretacji Adama Shaffa, wybitnego filozofa marksistowskiej doby obecnej. Tytuły rozdziałów: 1. Marks — jeden czy dwóch. 2. Jednostka ludzka jako punkt centralny marksizmu. 3. Oczyszczenie marksizmu z elementów utopijnych. 4. Swoboda poszukiwania prawdy z ograniczeniami. 5. Shaffa program działania. 6. Podstawowa sprzeczność epoki. 7. Najwyższa forma humanizmu. 8. Oponenti i entuzjaści.

\* \* \*

THE POLISH REVIEW, vol. XI, No. 3, Summer 1966, kwartalnik wydawany przez Polish Institute of Arts and Sciences in America. Zeszyt zawiera następujące główne prace: J.F. Kutowski — English and the Polish Insurrection of 1863-4; F. Gross — Area Studies at New York University; B. Czaykowski — Poetic Theories in Poland: Przemyski & Przybyszewski; D.S. Buczek — Church, State & Holy See in Medieval Poland; K.A. Pauly Zbieńska — Dante in Poland; K. Symons-Symonolewicz — The Polish-American Community Half a Century after „The Polish Peasant“.

\* \* \*

KOMBATANT w AMERYCE, nr. 3, rok XI, N. York, grudzień 1966. Kwartalnik SPK w Stanach Zjednoczonych, przynosi sprawozdanie ze Zjazdu ognia krajowego SPK w Ameryce, reportaży z pobytu Biskupa Rubina w USA oraz obszerną kronikę życia organizacyjnego.

\* \* \*

SPK w KANADZIE, nr 1, rok VI, Toronto, styczeń 1967. Pierwszy tegoroczny numer popularnego kwartalnika kombatanckiego w Kanadzie poświęcony jest w dużej mierze XIX zjazdowi Kongresu Polonii Kanadyjskiej, przynosi

główne rezolucje oraz wypowiedź nowego prezesa, inż. Zygmunta Jarnickiego na temat programu działania KPP. Artykuł W. Turzańskiego otwiera serię prac opisujących przeszłość SPK w Kanadzie. Numer uzupełnia bogata kronika z życia ośrodków kombatanckich w Kanadzie.

\* \* \*

UŁAN KARPACKI, mies. Związku Ułanów Karpackich, nr. 66, rok XIX, grudzień, 1966. Zawiera: wywiad z płk. S. Zakrzewskim prezesem Związku na temat książki poświęconej historii Pułku, która pojawi się w niedalekiej przyszłości; sprawozdanie z przebiegu święta pułkowego i z walnego zebrania Związku; artykuły: S. Lickindorfa — „Przedwojenna kawaleria i Pułk Ułanów Karpackich“; S. Jankowicza — „Ułańskie spotkanie po 20 latach“; korespondencje oraz kronikę.

\* \* \*

WYCHOWANIE OJCZYSTE, zeszyt 5/66, wrzesień-październik, Londyn, 1966. Treść: Sprawozdanie z konferencji nauczycielskiej w Londynie; Postulaty nauczycielstwa opracowane przez Zarząd Główny Zrzeszenia Nauczycielstwa w porozumieniu z wydziałem szkolnym PMS i referatem szkolnym SPK; W. Kujawska — Organizacja przedszkola; M. Goławska — Nauka czytania; B. Potocka — Nauka czytania dzieci polskich na emigracji.

\* \* \*

ONO, numer jubileuszowy wydawnictwa T-wa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży 1946—1966, Londyn. Na treść składają się nast. artykuły: M.J. Sotowicz — Wspomnienia Pierwszego Kierownika Bursy Męskiej T.P.D.M.; M. Basista — Wychowca w Bursie T.P.D.M.; M. Gawałewicz — Z legend o Matce Boskiej; K. Kończowska — Moje wspomnienia z Bursy Żeńskiej T.P.D.M. przy „Słowiczej Alei“; M. Mękarska — „Baśń Wigilijna“ — inscenizacja.

\* \* \*

BIULETYN INFORMACYJNY AK., rok XXII, nr. 44, listopad, 1966. Materiał treściowy: Regulamin „Krzyża Armii Krajowej“; T. Bór-Komorowski — „Krzyż AK to znak rzetelnie spełnionego obowiązku żołnierskiego“; S. Korboński — „Z perspektywy 25 lat“; T. Zenczykowski — „Przeszłości akowskiej nie musimy się wstydzic“; A. Pomian — „Uchwały jaltańskie, a podziemie polskie“; H. Pawelec — Trzeci maj — rok 1944“; kronika życia organizacyjnego.

\* \* \*

DUSZPASTERZ POLSKI ZA GRANICĄ, rok XVIII, nr. I, styczeń-luty-marzec, 1967, Rzym. Wydawnictwo składa się z dwu części: pierwsza za-

wiera następujące artykuły: O. Feliks W. Bednarski, O.P. — „Wychowanie Chrześcijańskie“; ks. inf. B. Filipiak — „Z teki prawnej“; tegoż autora — „Sługa Boży August Czartoryski“; ponadto numer zawiera działy: dokumentacyjny, sprawozdawczy i „różne“. Część druga przynosi kazania i przemówienia Prymasa Polski, kazania niedzielne i świąteczne, katechizmowe i okolicznościowe.

\* \* \*

DE POOLSE OUDSTRIJDER, rok V, nr. 12, grudzień, 1966. Czasopismo w języku holenderskim wydane przez ref. prasowy SPK w Holandii. Numer poświęcony świętu Bożego Narodzenia, ponadto zawiera artykuły: „Sytuacja Polski w układzie międzynarodowym“; „Polscy marksiści w konflikcie z partią“; Wilem A. Majer — opowiadanie pt. „Ślepy Słowik“; „Wdzięczność jest rzadką rośliną“ — w sprawie Biblioteki Polskiej w Londynie; recenzje, notatki, kronika.

\* \* \*

JÓZEFA MĘKARSKA: WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYSPOLITEJ — Wydawnictwo Stowarzyszenia Polskich Kombatanów, Zjednoczenia Polek i Związku Harcerstwa Polskiego. Stron 123.

Nie jest to, ani podręcznik szkolny dla młodzieży, ani „książka podróżnicza“ dla dorosłych, ale służyć może doskonale i jednym i drugim jako przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu, a więc po tych ziemiach, które przez całe wieki wносиły skarby dóbr naturalnych i ogromny dorobek kulturalny w życie Polski, a w r. 1945 zostały od niej oderwane i zagrabione przez Rosję Sowiecką.

„Wędrowka“ jest bardzo bogato ilustrowana: krajobrazy, widoki miast i wsi, zabytki architektury i sztuki ozdobnej jej karty; orientację ułatwia szczegółowa mapa całego obszaru z zaznaczeniem nawet bardzo małych miejscowości o historycznym znaczeniu.

Książka podaje najważniejsze wiadomości z geografii, historii i życia gospodarczego, ujęte w sposób przystępny a dla młodego pokolenia urodzonego już na obczyźnie również zaciekawiający i zachęcający do bliższego zainteresowania się przedmiotem choćby przez zapoznanie się z innymi wydawnictwami ilustrowanymi przytoczonymi w bibliografii.

Rozdziały poświęcone poszczególnym krainom poprzedzają wyjątki z utworów poetyckich pisarzy, dla których Ziemia Wschodnie Rzeczypospolitej były najbliższą, najbardziej umiłowaną częścią Ojczyzny.



## GLOSSA DO PAWLIKOWSKIEGO \*)

**R**OZPOCZYNIANIE recenzji książek od własnych wspominków czy tzw. doznań jest bezczelnością, praktykowaną, jakże często, przez pp. literaturoznawców i krytyków hermetycznych, z tych co to „wstępem i przypisami, posłowiem i komentarzem oraz tablicami synoptycznymi zaopatrzył, do druku podał oraz „zadiustował“, „patyczkiem rozgrzebał i obwąchał“ (po czym obraził się) prof. dr itd., itd., itd.

W niniejszym wypadku jednakże, omawiając „Wojnę i Sezon“ Michała K. Pawlikowskiego, zmuszony jestem do zastosowania tego niecnego proceduru okolicznościami, jak to się mówi w protokółach policyjnych, najzupełniej ode mnie niezależnymi. Oto bowiem podczas czytania książki chwilami doznawałem dziwnego, nie tyle rozdwojenia jaźni, co transpozycji, wydawało mi się, że to ja właśnie, a nie autor, pisałem ją. Ludzie, zdarzenia, krajobrazy, wypadki historyczne, pogląd na wiele spraw, mimo różnicy pokoleń pomiędzy autorem a recenzentem, były lustrzanym odbiciem moich własnych wrażeń, często bardzo głęboko ukrytych i bardzo niechętnie wystawianych na widok publiczny. Sam chciałem napisać coś podobnego, o tymże samym, co Pawlikowski, o ukończonym wycinku Wielkiego Księstwa, o Białorusi i Litwie i o województwie wileńskim, po duracku przewazanym „Wileńszczyzną“ przez element napływowy zza Niemna.

Zacytuję na wrywyki: i tak np. sp. Bohdanek Węclawowicz, „od ułanów Kuncmana“, dokąd wpakowała go na siłę moja stryjeczna babka, nie wiadomo dlaczego zwana w rodzinie „ciotką“ Rachelką, bez względu na stopień pokrewieństwa, a to dlatego, że mieli to być „w gruncie rzeczy kawalergadzi“, obdarty ze skóry przez parszywych czubaryków pod Niemirówem, był moim najrodzajszym stryjcznym wujem; nie zupełnie zgadzam się, że — si magna parvis comparare licet — „w Mohylowszczyźnie gromiono dwory na potęgę“: nie rozgromiono ani Karabanówki mojej babki Feliksowej Szczerowiczowej, ani Jeśmanowskich Łuczyc i Mostku, w powiecie Bychowskim ucierpiało około pół tuzina dworów. Natomiast sowieciarze zamordowali, bodajże ta sama banda, co rozszarpała gen. Duchonina, księdza i księcia Światopełk-Mirskiego, eks-oficera

gwardii cesarskiej, który ochrzcił mnie w Mohylowie, w kościele św. Katarzyny, na dowód czego mam do dziś, cudownym zbiegiem okoliczności ocalony wypis metrykalny. Ks. Światopełk-Mirskiego wydał poszukującym go opryszkom „lewicowy“ Polak.

Z kolei mogę dodać dalszy autentyczny dowód p. Pawlikowskiego o stosunku do Żydów. Kazio, Panie święcie nad jego duszą, był przyjacielem od serca śp. stryja Czesia, tego z 13-go pułku ułanów. Kazio był prawdziwym bohaterem z wielu frontów, z lat 1914-1921, kawalerem wielu odznaczeń bojowych polskich i obcych. Dożył sędziwego wieku i niedawno dopiero zmarł w „Priwiślenskiej Republice Ludowej“; Kazio był człowiekiem gołębiego serca. Ale jakoś po ślubie stryja przestał bywać u nas w Wilnie. Dopiero w wiele lat później dowiedziałem się, dlaczego Kazia trzymały się żarty, tzw. praktyczne, na poziomie mniej więcej Bohdana Zalutyńskiego..., tu bardzo przepraszam p. Pawlikowskiego, który najwidoczniej ma słabość do niego, ale nie cierpiałem i Zalutyńskiego i jego stylu i tego wszystkiego, czego był symbolem w Rzeczypospolitej. Mimo, iż biedny Zalutyński był bożyszczem śp. Tomka Wereszczaki, mojego przyjaciela, najgłupiej na świecie zamordowanego przy przejściu przez Karpaty zimą z roku 1939 na 1940, dzięki patologicznemu skąpstwu i rodzinnej oschłości serca... Nie Tomka, oczywiście... Wracajmy do Kazia. Pewnego wieczoru, na pijane oko, w restauracji Georges'a przy ul. Mickiewicza, dawniej Świętojejskiej, Kazio ocknął się i zatoczywszy mętym okiem po sali dostrzegł przy dalszym stoliku wybitnego architekta. Architekt był Żydem. W Kaziu nagle odezwał się nurt wszechludzkiego współżycia i miłości bliźniego. „Taki miły człowiek, a Żyd. Niech umrze nagle, to co z nim będzie?“. Kazio rozpiął się. Po czym wstał i chwiejąc się podszedł do stolika architekta. Bez słowa wziął go w uchwyt bicepsu i przedramienia za gardło, a Kazio był nieprawdopodobnej siły, i zaczął chrzcic. Chrzcił majonezem, pomimo gwałtownych protestów napadniętego, obficie polewanym z głębokiej sosjerki.

Z instynktów, wykształcenia i nawet wyglądu Tatuś był „rosyjskim liberałem“ w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu. Ze wszystkimi zaletami i wadami tego typu psychicznego. Kiedy doszły go wiadomości o wyczynach Kazia nie uznał ich za żart doskonały, ani

za dowód „bratniactwa“ pod gazem. Kaziowi te i temu podobne historie nie zaszkodziły w karierze wojskowej.

Przejdźmy, zagonem konia szachowego, o dobrych kilka lat naprzód. Pan Pawlikowski nawet nie podejrzewa, ile budził w moim sercu nienawiści i odgrazań się — co było przedmiotem nie kończących się i dotkliwych kpín „Cempścia“ mojego pokolenia, a przede wszystkim Edzia, na niewidzianego, właśnie z powodu Lilki Szerszyńskiej. Była śliczna i otaczała się na uniwersytecie równie efektownymi: Irką Dowgiałówną i Wandą Muszyńską. Ani rusz nie mogłem zrobić na Lilce wrażenia. A do tego śmiała się ze mnie i z moich zalotów; wykombinowałem, iż powodem moich niepowodzeń był „stary“ Pawlikowski — znacznie młodszy wówczas, aniżeli młodzieniaszek piszący niniejsze słowa. — Nie znałem go. Dostępu nie miałem. Z rzyżym „Suczka“ Pawlikowskim, z „Polonii“ i Banku Ziemińskiego łączyły mnie chłodne i nawzajem pogardliwe znajomości, ile że nasz, nie liczny zresztą „Cempś“ uważał korporantów za gmin i prymityw małomiasteczkowy, a endecki. Górne noszenie się „Polonii“ doprowadziło zresztą do przykrych dla mnie konsekwencji. Była to nieostrożność. W Wilnie mojej młodości bicie przeciwników weszło w modę. Zawsze się z nich natrzasałem. Z natchnień też i przykładów wiadomych, dwóch fuksów teje przydybało mnie w umywalni męskiej na balu studenckim, przytrzymało w chwili, kiedy jako żywo nie mogłem „stanąć w potrzebie“, dało w zęby i ze zbrojnej odległości podało bilety wizytowe. Natychmiast je podarłem i wrzuciłem do klozetu, nie spuszczać wody. Następnego dnia ryczałem jak tygrys, żeby nikczemników porąbać. „Cempś“ kiwał głową i podtrzymywał na duchu. Familia udawała, że nic nie wie, ale była wzburzona. Na wszelki wypadek, przed ustaleniem szczegółów „stanięcia na placu“, poszedłem do rodzinie zaprzyjaźnionego ks. prałata Żebrowskiego z zapytaniem, czy wolno, o ile dam sobie słowo, że bałwana tylko zranię. Prałat poczerwieniał silniej od dekla „Polonii“ i powiedział, że z idiotą w ogóle nie będzie rozmawiał. Miał na myśli mnie, oczywiście. Ale jeżeli zrobię z siebie osła, to już on postara się, żeby mnie to stanęło kością w gardle. I będę ekskomunikowany. Po namyśle nie zaryzykowałem. A co najgorsze, nie uważałem mojego kroku za bohaterstwo. W ogóle nie mówiłem, o co na prawdę

\*) Michał K. Pawlikowski „Wojna i Sezon“, Instytut Literacki, Paryż, 1965, str. 309, cena sh. 22/6.

poszło. Adzie dałem jakąś bzdurną wersję i odtąd aż do wyjazdu z Wilna „Polonusi“ na mój widok w cukierni u Sztrala albo na Mickiewicza nadymali się jak indyki i odwracali się. Był to „bojkot człowieka niehonorowego“. Co prawda, nie zaprzestałem natrząsania się, a „protokoły jednostronne“ paliłem.

\* \* \*

Od ukończenia wojny w r. 1945-tym trzy książki zrobiły na mnie wstrząsające wrażenia: wielotomowa autobiografia Sir Osberta Sitwell'a, „Il Gattopardo“ księcia di Lampedusa i „Dzieciństwo i Młodość Tadeusza Irteńskiego“. Zastanawiałem się czasami, dlaczego i jakie filiacje mogą istnieć pomiędzy angielskim, edwardiańskim arystokratą o nieprzeciętnych artystycznych talentach, sycylijskim księciem, i litewskim „Półtora-szlachcicem“. Filiacja nieprzeciętnych i jakże różnorodnych talentów literackich tych trzech autorów jest niewątpliwa.

Wydaje mi się, że zrozumiałem o co chodzi, po wielokrotnym przeczytaniu „Wojny i Sezonu“. Wszystkie trzy książki opisują z precyzją wizji poetyckiej nie tyle Atlantydy przed ich ostatecznym pochonięciem przez falę czasu, co Persefonę wstępującą do podziemi i tragizm, ale nie rozpacz. W tym wymiarze mam żal do p. Pawlikowskiego o jedno: nie dostrzegł Uniwersytetu w Wilnie. A przecież, jak się okazało — i w dobrym i w złym wymiarze właśnie U.S.B. okazało się szczytowym osiągnięciem stolicy Wielkiego Księstwa — a podówczas zabiedzonego wojewódzkiego miasta tzw. „kresów“. Tu uroczyście protestuję przeciw używaniu tego idiotycznego terminu: z której strony kresy, i czyje?

\* \* \*

W bitwie pod Sempach wydawało się, że Szwajcarzy dostaną straszliwego łupnia. Rycerstwo austriackie szykowało się do ostatecznego natarcia. W tym momencie Arnold von Winkelried rycerz szwajcarski z kantonu Unterwald dokonał czynu heroicznego. Powierzysz swoją żonę i dzieci towarzyszom broni rzucił się w pojedynkę na Austriaków. Przywitał go grad włóczni i strzał. Winkelried stał się w mgnieniu oka podobny do jeża. Ale śmierć jego zdecydowała o zwycięstwie, zanim bowiem Austriacy zdołali naciągnąć łuki i kusze ponownie, sprytnie Hejby dopadły ich i pocięły na dzwona. „Eidgenossenschaft“ wyżyła, a razem z nią, w nieprzeczuwalnej wówczas przyszłości, wyżyły banki bazylejskie, rachunki numerowane, platynowe zegarki firmy Patek oraz nisko-opodatkowane dobra cudziemijskich milionerów. Tudzież międzynarodowa centrala szpiegów oraz kunszt wyrabiania zegarów z kukułką.

Bohaterstwo Winkelrieda zostało zanotowane po raz pierwszy w tzw. Kronice zürichskiej z r. 1476-go. Umieszczono tam przekaz o 30 lat starszy. Kronikę na światło dzienne, po stuleciach zapomnienia, wydobył G. von Wyss w r. 1862-gim.

Jak się zdaje, Winkelried w ogóle nie istniał.

\* \* \*

Pouczająca ta historia nasunęła się mi w związku z „Rewolucją i Sezonem“. Nie parałbym się inaczej niebezpiecznym zamiarem spisania fragmentu wspomnień Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Zaczęło się od tego, iż pewnego wieczoru czytając książkę p. Pawlikowskiego ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć, jak się nazywał serketarz Koła Prawników USB w r. 1931-szym. Oczywiście: kolega Prośniewicz, fuks „Filomacji“, korporacji „winnej“ czyli katolickiej. Korporacje „piwne“ były nie tyle antykatolickie, co w ogóle nie zajmowały się tymi sprawami. „Filomacja“ nosiła białe, aksamitne „dekle“ na głowach, z różowo-złotym otokiem. Tu powstała pierwsza wątpliwość: czy otok był na pewno różowo-złoty? Głowę bym za to dał. Ale... I tak, po nitce do kłębka, przekonałem się, iż z odległości 35 lat wspomnienia pierwszych kroków uniwersyteckich albo zatarły się albo zbladły. Nie potrafiłbym dziś bez mapy, wytyczyć marszruty np. od kościoła św. Rafała za Zielonym mostem do kościoła św. Kazimierza, na Wielkiej. Pomijając, oczywiście, długawy spacer po Zygmuntońskiej, na Plac Katedralny, a potem Zamkową i Wielką, koło klasycystycznego ratusza na plac przed św. Kazimierzem. Właściwie nie był to plac, a nagłe wyrzucenie ulicy. W kierunku Ostrej Bramy zwęzłało się ono ponownie na wysokości Kina Miejskiego, przedsiębiorstwa magistrackiego. Dalej nie bardzo pamiętam, jak Wielka przechodziła w Ostrobramską.

Męczące szczegóły zaczęły narastać. Ten róg pamiętam, a tamtego nie; tu wiem, gdzie był jakiś sklep, a gdzieindziej nie. A, ostatecznie, to są te najważniejsze źródła historyczne. O ile nie są podfantazjowane i podfryzowane.

Nagle wyskoczył motyw przewodni kiermaszu św. Kazimierza, 4 marca, (żadne bydlę nie odważyłoby się w Wilnie, głośno, mówić o „Kaziuku“, jako o — tfuj — „widowisku regionalnym“), jako symbolu i miasta całego i Uniwersytetu Stefana Batorego, jego ozdoby i palladium. Bo poza tym...

„Towarzystwa“, w znaczeniu konwencjonalnym tego słowa, osób znających się rodzinnie, dość dobrze usytuowanych i nawzajem się interesujących sobą i swoimi sprawami prawie, że jeszcze nie było na USB jesienią roku

1930-go. Zaczynało dopiero odtwarzać się z popiołów i rozproszenia I-szej wojny światowej, wojny bolszewickiej, niepewności Litwy Środkowej i „Pasa Granicznego“. Wojna w naszych stronach, od Niemna do Dniepru, trwała jednak sześć czy siedem lat, a nie cztery, jak gdzieindziej i zostawiła za sobą nie tylko ruiny dobrobytu materialnego na każdym szczeblu drabiny społecznej, ale zmęczenie psychiczne i rozpełnienie się więzi codziennych, towarzyskich stosunków. Instynkt i potrzeba ich przetrwała i dziś, po tylu latach, czytając o ukochanej ojczyźnie Tadeusza Irteńskiego, z żalem wspominał, jak bardzo, w gruncie rzeczy, czułem się osamotniony w olbrzymiej i zapchannej studentami I-go roku prawa Sali Śniadeckich na inauguracyjnym wykładzie. Musiał to być wykład prawa rzymskiego prof. Bossowskiego, albo prawa zachodnio-europejskiego Iwo Jaworskiego. Raczej to drugie. Do dziś dnia pamiętam wprowadzające uwagi o „witangemotach“ germańskich i grubę okulary wykładowcy i jego drobne rysy i włosy zaczesane do tyłu. To były tęsknoty „towarzyskie“. Bo poza tym byłem jak najbardziej u siebie. Nie potrafię, oczywiście, zacytować odpowiednich statystyk, ale głowę bym dał, że tak z 85% obecnych wywodziło się z ziem Wielkiego Księstwa. Byli Białorusini, Polacy, żydzi, Litwini, Rosjanie, kilkunastu Tatarów Litewskich. „Polaków z Polski“ było wówczas na USB bardzo mało. Studenci z innych części II. Rzeczypospolitej pojawili się w cokolwiek większych ilościach w latach 1931 i następnym, z czego wynikały nieprzewidziane konsekwencje. Pojawili się też — chyba koło roku 1932 albo 1933 — Ukraińcy. Trzymali się razem i odcinali się od ogółu niebieskimi „mazepinkami“ o szczególnym kroju i ozdobach ze złotego sznurka. Zresztą, wszyscy odcinali się na swój własny sposób od wszystkich i nikt nikomu w tym nie przeszkadzał.

Oczywiście, oficjalne tradycje Mickiewicza, filomatów, filaretów i romantycznej masonerii końca XVIII-go wieku były stale podnoszone, komentowane i odkurzane na użytek młodych pokoleń. O chytrych Jezuitach, właściwych twórcach Uniwersytetu, wspominało mniej. Rektorat i ciało profesorskie, było albo liberalne, albo liberalizujące. Było kilkunastu prawie że jawnych masonów w tym gronie. Katolików świeckich, a prawdziwych i wybitnych jak prof. Stanisław Kościalkowski, wśród senatu można było policzyć na palcach jednej ręki. Prof. Marian Zdziechowski był też katolikiem, ale był przede wszystkim cokolwiek mistykiem o zacięciu, jakby się to dziś powiedziało, ekumenicznym. Zachwycał się Bierdiajewem, Nikogo



zaś nie gorszył profesor prawa małżeńskiego i kanonicznego dr Bolesław Wilanowski, ksiądz bardzo dziwnej obediencji.

Do ciała studenckiego wszystko to — świadomie, albo wcale — nie dochodziło, względnie dochodziło bardzo mało. Nie czuliśmy się spadkobiercami filomatów. Ale widocznie niewidzialne fluidy działały, bo uniwersytet był tolerancyjny i przyjazny wobec każdego.

Nie było też wyraźnych przedziałów klasowych czy majątkowych. Wszyscy na ogół byli biedni: jedni mniej, drudzy więcej. Studenta z własnym samochodem np. nie pamiętam. Może był, ale raczej wątpliwe. Legenda lewicowa rozdmuchana w „Polsce Ludowej“ do rozmiarów pewnika ciągle piszczy o „ziemiańskich synkach“, „korporantach“ i „burżujach“ panoszących się na uniwersytetach okresu międzywojennego. Wstęp do nich miał być, rzekomo, niemożliwy dla „biedoty“. Nie wiem jak było gdzieś indziej, ale w Wilnie tego nie było. Olbrzymia większość studentów była w pełnym tego słowa znaczeniu proletariatem. Pięć złotych dla każdego było poważną sumą, ogromny odsetek jadł kiepsko, ubierał się jeszcze gorzej i mieszkał w tłoku. Skrypty, powielane, z wykładów były koniecznością, nie dlatego żeby ktoś zmuszał kogokolwiek do uczęszczania na cokolwiek — USB był uniwersytetem, a nie fabryką dyplomów dla niedorozwiniętych — ale po prostu stąd, iż podręczniki były luksusem. Społecznie gremium studentów USB można chyba najlepiej określić jako skrzyżowanie drobnego mieszczaństwa z ludem. Z pretensjami i bez. Nikomu ten stan nie podobał się. Ale tzw. „poczucia krzywdy społecznej“ nie było. To znaczy, nikt jadłowicie nikomu nie zazdrościł dóbr doczesnych. Byli, oczywiście, komuniści na Uniwersytecie, całkiem legalnie. Był taki kolega Wroński z czarnym kudziatym łbem, trybun zebrań i student, bodajże, prawa i był Jan Kapała. Ten, biedak, wyglądał mały, zagłodzony i albo przedwcześnie wyłysiały, albo z ogoloną głową. Był idealistą i miał ciągle jakieś historie z policją. Szopka, nieprzekupny, a celny komentator Uniwersytetu, śpiewała o nim:

„A czym cię bili, Janie Kapała, Janie Kapała,  
Łupu cupu, po pupu gumową pałą.“

Ale to się działo dopiero w następnych latach, kiedy i endecy przeważnie napływowi zresztą, i dywersja komunistyczna, ta prawdziwa, ukryta, jak się w wiele lat potem dowiedziałem ze wspomnień koła przyjaciół i towarzyszy Henryka Dembińskiego, potrafiła długimi okresami jątrzenia zamienić

cywilizowaną i dostojną wszechnicę w rykowsko siedmiu grzechów głównych, precyzyjne przecucie nadchodzących czasów. I żebyż to jeszcze tych od panienek. Na początku lat tzw. trzydziestych wojnę bolszewicką pamiętano w Wilnie zbyt dokładnie. W r. 1918 matki i ciotki wielu studentów, wileńskie „baby“, obroniły ks. Muckermanna, niemieckiego Jezuitę od agentów Czecha. Wiadomo było w mieście czego komuniści chcą i nie była to sprawiedliwość społeczna, ale nastąpiłyby rządy facetów, którzy w r. 1918-tym siedzieli w uzbrojonej fortelicy na ulicy Dąbrowskiego i oczekiwali powrotu sowieckich bolszewików. Na uniwersytecie komuniści byli atrakcją, a nie natchnionymi apostołami. Korporanci znacznie więcej byli wyrazicielami tęsknot świadomych i nieświadomych. Ubierali się w kolorowe dystynkcje, nosili się dziwnie, a z waszczią, ale w gruncie rzeczy podświadomie tęsknili do trwałości form, nawet kiedy, pozał się Boże, usiłowali zepchnąć kolegów-Żydów na oddzielne ławki. Dość to było daleko od czarnej Apokalipsy Belsen. Biedni korporanci mieli swoją skromną rację bytu, chociaż wyrażali ją niedorzecznie.

\* \* \*

No, i stało się. Jak Winkelried zdecydowałem spisać jako glossę do p. Pawlikowskiego coś z własnych dokładnych pamiętek z lat 1930-1935 w Wilnie. Oczywiście, posypią się strzały. Ale korzyść jakaś stąd będzie, bo jednak, mam nadzieję, zupełnie coś pewnego wyłoni się z gmatwaniny ulomnych wspominków i komentarzy. Taką żywią przynajmniej nadzieję. I będę się starał jak najmniej komentować własne wspomnienia. Obszerne wstępy są najczęściej dowodem nieudolności wspominającego. Ale jak inaczej przystępować do tak odpowiedzialnego zadania, jak cukrowanie się na źródło historyczne i to w pełni świadomości? Przecież nawet tak poważne przedsięwzięcia, jak wyleganie indycząt, wstawianie do pieca bab szafrańowych czy waniliowych tak, by nie „siadły“, czy dozоровanie gotowania konfitur porzeczkowych czy agrestowych — w porównaniu z automatyfikacją kureczą się do rozmiarów raczej przyziemnych przesilen. No, i oczywiście, ślubuję, że będę pisał prawdę, tylko prawdę, i...

Nieboszczyk gen. Iwazkiewicz, ten od Dowbora i z armii rosyjskiej podobno mawiał do meldujących się do niego służbistów: „Ty, brat, nie mieliduj, a gowori tołkom“. Jest. Przystępuję do wykonania zadania.

\* \* \*

W dniu 4 marca odbywał się w Wilnie kiermasz na Placu Łukiskim, dookoła kościoła św. Jakuba. Olbrzymi plac, na którym ongiś stały szubienice

Murawiewa, zapelniony był kupującymi i sprzedającymi. Najczęściej było jeszcze bardzo zimno o tej porze roku i śnieg leżał albo ledwo zaczynał dopiero tajać, więc i kożuchów było mnóstwo. Z wyprężonych koni szła para. Straganów i bałaganów było wiele, ale turystów, na początku lat trzydziestych — na szczęście — nie było jeszcze. Wszystko odbywało się na prawdę i dla własnych potrzeb. Zjeżdżali się miejscowi i okoliczni chłopcy i zaściankowi szlachcice w akurat takich samych strojach dla prawdziwych interesów. Pierniki były prawdziwe i miejscowego wypieku, a lukier na nich był z prawdziwego cukru, zaprawionego jaskrawo-różowym kolorem — albo z buraków, albo z jakiegoś chemicznego paskudztwa — i kolorem zielonym, grynszpanowym, aż gryzącym. Obwarzanki i bajgele w olbrzymich ilościach przygotowywali piekarze żydowscy. Dzień nie był arbitralnie wyznaczonym „przez władzę“, postojem w kalendarzu, ale narodowym i religijnym świętem i Wilna i zamrożonej w czasie i przestrzeni, ale ciągle jeszcze żywej wspólnoty Wielkiego Księstwa Litewskiego. Był to dzień św. Kazimierza, królewicza i patrona Litwy.

„Tu przerwał, lecz róg trzymał“...

Nie. Nie będzie więcej, ech. Bo inaczej zamiast glossy, czy recenzji pojadę na całego i przybędzie jeszcze jeden „pamiętnik“. A dałem sobie słowo NIGDY czegoś podobnego nie pisać.

Ostatni mały szczegół. P. Pawlikowski wspomina o dziwnej scenie, już po wybuchu wojny, kiedy wojewoda Raczkiewicz w Toruniu „zajmował stanowisko“ wobec cywilnej ludności niemieckiej, wrogiej Rzeczypospolitej właśnie najeżdżanej przez III-cią Rzeszę. Dobrych 15 lat temu mówił mi o czymś podobnym — niedawno zmarły Witold Grabowski, ostatni minister sprawiedliwości RP., a po wojnie sędzia apelacyjny w Erytrei i Etiopii i, z tego okresu, mój przyjaciel. Trochę przy okazji wypiliśmy obaj i Witold bardzo niechętnie mówił, iż „represje musieliśmy stosować“. Co to były za represje, wobec kogo i w jakiej rozpiętości, albo nie powiedział, albo ja zapomniałem. Ale pamiętam, że był wyraźnie przejęty tymi wspomnieniami. Notuję ten epizod dla ukazania wielopłaszczyznowości każdego człowieka: Grabowski miał opinię człowieka bezwzględniego. Zdawałoby się, że po Belsen i Oświęcimiu nie powinien był przejmować się losem mniej lub więcej winnych niemieckich dywersantów. A jednak przejmował się: wówczas, kiedy o tym słyszałem tylko ja, i kiedy, jako żywo, nie mogło to mieć jakiegokolwiek praktycznego znaczenia.

Czesław Jeśman

U schyłku dnia, po wielu godzinach forsownej jazdy, otumanienia szumem motoru, spada na nas cisza, przestrzeń, a u końca krótkiego spaceru jasny ogrom romańskiego portalu w pobenedyktynskim opactwie. Całość jest wizją apokaliptycznego niepokoju, ale władza nad nią nieruchoma, pełna dobrego namysłu postać Przedwiecznego. To ku Jego stopom, po kolumnie położonej odrzwia, pną się lwice. W ciasno ze sobą splecionych ciałach zwierząt jest moc, pokora, wzniosłość.

Nisko, na stronie, by nie szkodzić obrazowi ładu, panoszą się wady, niedoskonałość. Chiwość; Uczta bogacza; Śmierć nędzarka. Wreszcie, przerażająca w zapamiętałości Lubieżność: postać kobieca, której piersi ssą węże. Na twarzy wysledzić już można ból, rozpacz, ale nie znika uśmiech. Nieszczęsna nie chce mimo wszystko wyrzec się rozkoszy... Po drugiej stronie portalu, dla kontrastu, jak łagodnie stopnie wybawienia następują: Zwiastowanie, Nawiedzenie, Hołd Trzech Królów...

Rzeźbiony świat z Moissac zdradza żywe powiązania, kontakty, zarówno z Bizancjum, jak z północno-zachodnią Europą, ale równocześnie — idąc tropem wielkiej pielgrzymki do grobu św. Jakuba — z Leonem i Compostela... To owe wieki uniwersalizmu, wieki wspólnoty piękna i myśli, wieki które nie znały granic innych jak granice dobrego smaku, to te wieki właśnie przyjęło się dziś nazywać „wiekami ciemnymi“, dziś, w czasach rządzonych zachłannością i małością, w czasach usiłujących dzielić Europę płotami z bagietów na zatechle zagrody:

— Nie rusz tego, to nasze! — warczą u granicznych barier karmione z zdrością brytany.

— Bierz, proszę. Bierz jak najwięcej. Z brania twego wzbogacimy się obaj — mówią romański Anioł do Pielgrzyma.

To było przed wielu wiekami. Pielgrzym przybył był z północnego wschodu. Uwierzył Aniołowi. Brał, ile zdołał udźwignąć. Tak urodził się naród. Mój naród.

\* \* \*

Spotkanie z naszymi towarzyszkami ustaliliśmy w Moissac trochę dlatego, że było po drodze, a trochę, by wpaść w ów wielki nurt, który napotkać najłatwiej na bocznych, krętych drogach Europy, czy zgoła w pireńskim bezdrożu.

— Mamo, oni nie wiedzą, że nas jest trzy! — woła Ewa. Tymczasem wiemy oczywiście: trudno nie zauważyć suchki teriera, sześciomiesięcznej szelmy o figlarnych oczach i ogonku.

— Będziecie ją troszkę lubić? — pada niespokojne pytanie spod jasnej fali włosów.

# ANIOŁY

— Oczywiście. Już bardzo lubimy... — odpowiadam za nas obu, patrząc Ewie w oczy. — Nie wierzysz?

— Wierzę... Wiem... Ale ją?...

Janusz zamiast odpowiedzi tarmosi czarny kłębek kudłów, piszczyący z uciechy.

## SAINT-BERTRAND-DE-COMMINGES

Miasto wskrzesił z rzymskich ruin biskup Comminges, Bertrand. Nie trzeba chodzić do dwóch muzeów zawierających wykopaliska (wśród nich zabawną kolekcję pornografików), by się o tej antycznej genealogii przekonać. Ściany kościółka św. Justyna na cmentarzu w Valcabrere, powstałego w wieku X-tym, pełne są fragmentów rzymskich sarkofagów, nagrobków, kapiteli kolumn. Co więcej, rzeźby portalu świadczą, że mistrzowie wczesnego średniowiecza rozumieli wartość artystycznego dziedzictwa Rzymu i świadomie doń nawiązywali. Postacie czterech świętych podpierające wielokrotnie łuk nad tympanonem łącząc doskonałość rzymskiego portretu z romańską wnikliwością. Piękne twarze młodych patrycjuszki prześwietla od wewnątrz blask skupienia, owiewa przeczcucie i cień bliskiego męczeństwa.

Katedra św. Bertranda zachowała wczesny charakter choć wieki dorzuciły nie jeden kamień, czy rzeźbiony kłoc drzewa. A że dorzuciły najczęściej trafnie, więc trudno nawet mieć do nich o to pretensję. Krużganki, otwarte na pireński krajobraz, w motywach kapiteli nawiązują do sztuki hiszpańskiej. Na ścianach epitafia z XIII i XIV wieku. Jedno z nich, Wita d'Ardegnost kończy się słowami: „...w tym grobie spoczywa róża świata, która dziś jest różą uwiedłą. Nie wydziela słodkiej woni, ale zapach zwyczajny grobom“.

Wnętrze katedry sprawia dziwne wrażenie: niemal połowę romańskiej nawy wypełniają stalle, snycerski majstersztyk, renesansowe arcycacko, wykonane w latach trzydziestych XVI wieku, na zlecenie biskupa Jana de Mauléon. Po różnorodności cech stylowych domyśleć się można mieszanego zespołu artystów: Francuzów, Włochów, a zapewne także Hiszpanów i Niemców. Na całości koncepcji, a także na poszczególnych rzeźbach mizerykordii czy poręczycy wycisnęła wyraźne, a nawet jaskrawe piętno emblematyka — ów zapomniany dziś, a kiedyś tak ceniony i ulubiony język symbolów, mowa wta-

jemniczonych, przemawiająca całą skalą dwuznaczników, metafor, niedopowiedzeń. Bardziej niż czytelne koncepcje biblijne pociąga mroczny świat bajki, świeckiego, napoły mitycznego uroku.

Syrena porywająca człowieka, unosząca go w zatracenie, w topiel — symbol pokus cielesnych, lubieżności — bardziej zaciekawia dziwacznością, niż zachwyca. Przeraźliwie smutna harpia łączy niewątpliwie cechy kobiece ze skrzydłami anioła i atrybutami drapieżnego potwora. Zadawanie bólu należy do jej obowiązków, nie do przyjemności: cierpi nad okrucieństwem swej natury, w którą wyposażono ją wbrew woli, nieodwołalnym wyrokiem Losu.

Ale wśród rzeźb na mizerykordiach wyróżnia się siłą wyrazu i delikatnością uczuć scena z ofiarowaniem kwiatu: Dwie nagie postacie przykłęknęły naprzeciw. Mężczyzna o brzydkiej, szarpanej namiętności twarzy satyra, wybrednym gestem dłoni podaje kwiat dziewczynie. Jego piękne, arystokratyczne palce ledwie dotykają szypułki. Dziewczyna w ruchu i wyrazie zdradza wahanie. Niezgrabnie chwytła kwiat garścią, ale równocześnie odsuwa się, zaniepokojona... Namiętnością? Nie, chyba raczej niepojętą dla niej siłą piękna, pozycji utajonej w geście ofiarodawcy...

Gdy ruszamy już krętymi drogami ku granicy stoją mi jeszcze w oczach te dwie istoty, które łączy — i dzieli zarazem — kwiat... Przeszedłem tu szukać mądrej, romańskiej prostoty, a znalazłem wyrafinowane dziedzictwo Rzymu, epitafium róży i, wstrząsający siłą smutku, renesansowy erotyk.

## DOLINA NOGUERY

Dolina i otaczające ją zbocza obrodziły romańszczyzną. Jak w iluminowanej księdze, wykrzykniki wież o wyraźnie uformowanym typie znaczą co parę kilometrów wioski i osady. Tak są liczne, że z jednej najczęściej zauważyć można parę sąsiednich, wieńczących okoliczne wzgórza. Ich lekkość, strzelistość i ażurowość kontrastuje z przysadzistą prostotą samych kościołów. Ale kontrast nie razi: raczej uzupełnia, niż rozdwa. Zresztą i kościołom nie zbywa na pięknie: absydy (zwykle potrójne, doskonałe w proporcjach) niemal z reguły zdobi zewnątrz fryz arkadowy, a od środka dwunastowieczne freski, niekiedy zbyt gorliwie odnowione.



# PIELGRZYM

Ta szczodrobliwosć piękna, to romańskie bogactwo, osiąga swój szczyt w Tahull, wiosce wyposażonej w dwie lombardzkie bazyliki, pod wezwaniem N. M. Panny i św. Klemensa, obie konsekrowane w 1123 roku, obie wzniesione z kamienia o ciepłej, łagodnej barwie. Przeźrocza pięter — biforia i triforia — podkreślają dziewczęcą smukłość i grację. Fryz, bliźniaczy temu, który zdobi absydy, zaznacza poziome podziały, nie osłabiając dominującego wrażenia pionowości.

Gdy wspinąć się po stromych, przezroczyści powietrza zawieszonych schodach, wiatr targa za włosy i, co kondygnacja, obryzguje słońce. Wioska w dole wygląda niepozornie. Onieśmienie, ale i cieszy, namacalna bliskość firmamentu; a także bliskość owego wczesno-średniowiecznego świata, zjednoczonego wspólną wiarą w reguły władające pięknem i sprawiedliwością. Świata, któremu skutecznie patronował powszechny rozejm, wyjątkowy tym, że miał swe źródło nie w strachu, lecz w miłości: Rozejm Boży — Treuga Dei.

## HUESCA

Zapada zmierzch. Zdala widać rozłożone w dolinie miasto. Wieże, dymy, dachy, podobne łuskom potwornej ryby. Z wysokości zamkowego muru, z odległości kilku kilometrów, Huesca wygląda ponuro, groźnie. Taką chyba właśnie musieli widzieć przez polowe lornetki, w drugiej połowie marca 1938 roku, obrońcy tego miejsca. Dywizja marokańska przelamała już, dalej na południe, front i każdej chwili — może z nastaniem świtu? — spodziewać się było można, że Aragończycy i Nawarrzyccy ruszą do ataku, że dolina od zachodu, że miasto-lewiatan żygnie ogniem.

Zamek „nie był w planie“ naszej wyprawy. Nic o nim nie wiadomo: nawet jak się nazywa. Ale kamienny czerep na wzgórzu, wyniosła ruina, zawsze jest pokusą trudną do pokonania, a już wręcz nie do odparcia, skoro obejmie ją luna zachodu. Gdy węzowiną białej drogi dotrzeć do stóp warowni, gdy kolezastą od suchych krzewów i ziół ścieżką dobrać pod otwarte w niebo sklepienia, widać od razu, że zagłada tego miejsca świeżej jest daty: dziury od pocisków, pęknięcia od bomb, a na ścianach ślady zadomowionej obecności ludzkiej, pozostawione tu, nie dawniej, jak przed laty kilkudziesięciu, może przed ćwierćwieczem.

Patrzę na miasto w dole, przez wyłom w murze, bramowany z lewej sylwetką Ewy: Wtuliła się we wklęsłość z gładów i gawędzi z Januszem. Jej nieposkromiona młodość, ożywienie, urok, kontrastują, więcej: rażą, jak obelga, nieświadomie rzucona temu miejscu, tak niedawno jeszcze szarpanemu pazurami śmierci. Gdyby ruina była odwieczna, gdyby — niejako — należała do archeologii, gdyby opromieniał ją blask średniowiecza, to uosobienie wdzięku, beztroska wesołość, pasowałyby do niej jak kwiat czy zioło u czoła ułamanej antycznej kolumny. Ale tu, gdzie każda ruda plama na ścianie pozwala domyślać się rozbryzganej ludzkiej juchy...

Cofam się, odchodzę w głąb i w wyższy pustej lupiny wieży. Schody urywają się na półtrzecia piętra, u okna. Widok stąd szerszy, klarowniejszy. Jedyne ozdoba, rozkwitły w spróchniałym kamieniu, oset.

\* \* \*

Noc spędzamy u podnóża popękanych murów, w skleconym po amatorsku obozowisku. Gwiazdy zapadają jak w studnię, w czeluść umarłej fortecy. W głowie kręci się od zatrzęsienia konstelacji i mgławic. Z upływem godzin Wielki Wóz majestatycznie zjeżdża ku horyzontowi... Nie wiem, kiedy przyszedł sen, ale uleciał szybko odegnany chłodem przedświtu i dolegliwą obecnością kamieni pod kocami. Aby rozruszać obolałe kości idę ku ciągnącemu się na zachód, stromemu brzegowi płaskowzgórza.

— Tam biegła chyba linia obrony — myślę, przypominając sobie plany bitew, które w ciągu nocy mieszały mi się z obrotami sfer, planet i gwiazdozbiorów. Po chwili trafiam na okopy. Ryte w piasku, kute w skale, pół-zasypane bunkry, gniazda dla karabinów maszynowych. Na pochyłości, wśród badyli, bieleje kilka kości: człowieka? zwierzęcia? W występie okopu przyciąga wzrok znajomy kształt: niewystrzelony pocisk karabinowy. Zdeformowało go, zgniotło uderzenie czy eksplozja. Ten, który ostatni miał go w dłoni nie zdążył już widać zrobić zeń użytku... Po godzinie wracamy tu razem. Janusz nigdy nie minąłby obojętnie śladów bitwy. Ewa jest zamysłona, smutnieje:

— Nie przekonacie mnie. Wojna jest okropna. Zawsze.

— To prawda. Ale i piękna zarazem.

— Piękna?!

— Widzisz, pozwala sprawdzić war-

tości bardzo istotne, które w życiu szczególnie się liczą: dzielność, lojalność, przyjaźń...

— Ale za jaką cenę!?

— Cena, istotnie, jest wysoka. Taką cenę jednak godzi się niekiedy płacić za pewność w sprawach bardzo ważnych, w sprawach, których probierzem może być tylko bliska obecność śmierci.

— Ależ ty mówisz o wojnach staromodnych: z rycerzami i orkiestrą. Nie ma już dziś na nie miejsca, ani czasu.

— Tak; mówię o wojnie staromodnej: gdzie zabijani, ale i zabijający, byli ludźmi. Szarpały nimi namiętności, ale towarzyszyła także litość i namysł.

## BILBILIS

Kiedys, wzgórze słynne było z hodowli koni i wyrobu oręza niezrównanej jakości, a to dzięki stali — chwalonej już przez Pliniusza — hartowanej w chłodnych wodach rzeczki Salo. Ale nieśmiertelność i wdzięczną do dziś pamięć zapewnił temu miejscu poeta: Marek Waleriusz Marcialis. Tu się urodził, tu umarł. Choć sława doścignęła go w dalekim Rzymie, zawsze kochał swe miasto i tęsknił do niego. Jemu też poświęcał — on, sprośny kpiarz i złośliwiec — te nieliczne epigramaty, które dyktowała czułość, wzruszenie.

Dziś Bilbilis jest jałową górą, ledwie miejscami chudo okrytą winną latoroślą. Kamieniste zbocze obradza tylko skorupami: Pełno tu okruchów rzymskiej ceramiki, szczególnie zaś czerwonej, starannie wypalanej i kunsztownie zdobionej terra sigillata. Każde poruszenie wieśniaczego rydła wydobywa z gleby nowe fragmenty. Wiosenne ulewy niosą je potem wawozami ku dolinie. I tak, rok po roku, zbocze przynosi cierpki plon: świadectwo zniszczenia, zagłady. Bo w VIII-ym wieku z murów, świątyń, domostw arabscy budowniczości wyłamywali marmur, kamień i cegłę, by wzniesić nieopodal „Zamek Ayuba“ — dziś Calatayud.

W mieście tłok i zgiełk. Tu pustka; słońce i wiatr. Wracając po ośmiu latach, bałem się, że zastanę zmiany: płoty, przewodników, turystów... Ale widać dawne bóstwa strzegą skutecznie tego miejsca. Trwa cisza, odludzie. Pogańsko pachną w upale zioła i pogańsko niepomahomowanie kipi bezwstydną radością życia, niefrasobliwie szczęście. Jest z nami — poza paryską suczką — i pies przybłąda, zaadoptowany z rana, na mokrym chodniku. Imię Bilbilis przyjął do wiadomości wesołym machnięciem ogona. Wzrusza jego spontaniczna wierność. Miłośnik żywiołowości, bieganiny, skoków, jest przecież także mistrzem długich spojrzeń, w których ciekawość walczy o lepsze, z zachwytem. Serdeczny dla wszystkich, Janusza wyraźnie obrał swym panem. „Nie

zdradzisz mnie? Nie odtrącisz?" — pytają psie oczy.

Gołziny upływają na włóczędzie. Okruchy epigramatów Marka Waleriusza mieszają się z ułamkami glinianych naczyń. Ziemia i pamięć — obie — znają sztukę przechowywania kapryśnie, ale wiernie przedwzorcajszego piękna. Ewa z zapalem młodego archeologa pochyla się co chwila, by podnosić ozdobne skorupki:

— Patrz: kolumna... łabędź... kwadryga... napis!

Schodzimy w dół późnym popołudniem. Droga szerokim ramieniem obejmuje wzgórze. Szybko mijamy z Ewą jeden, drugi zakręt. Rozpromieniony krajobraz ogarnia nas czułym, a mocnym uściskiem. Zbocze spływa okruciami czerwonej ceramiki, życiodajna topiel antycznej Salo obdarza dolinę jaskrawym płaszczem zieleni. Psy znikają, skuszone chłodem irygacyjnego kanału, czy jakby onieśmielone. Jesteśmy sami. Samotnością wobec świata i słońca, której trzeba ufać, choćby przybrała kształt bajki — albo marzenia.

Nagle, przywołana słowem jakimś, czy gestem, czy szczerobliwym impulsem czułości, ziszcza się dawna rzeczywistość, obecność pogańskiej bogini. Czas przystaje, czeka cierpliwie, ustępując miejsca przypluwowi dziwności. Jest, jakby ciemność i światło zwały się, stopiły w jedno. „Czy wierzysz mi? czy we mnie wierzysz? — wibruje pytaniami przestrzeń. Ewę owiewa złoty pył...

Gdy potem spoglądam na nią, milczy. Czy ma jeszcze opiłkę blaskiem.

— Wiesz, „Augusta... Bilbilis“ u Marka Waleriusza wcale nie oznacza podwójnej nazwy — czegoś w rodzaju Augusta Praetoria, czy Augusta Treverorum — jak domyślają się późni komentatorzy. „Augusta“ — to atrybut Opiekunki tego miejsca, i poety, i jego wzruszeń. I on, kpiarz, niedowiarek, musiał ją tu spotkać. Pamiętasz? „...U stóp stromego wzgórza, które Salo obejmuje bystrym nurtem...“ Od niej uciekł — po sławę — do Rzymu, do niej wrócił po latach...

—...I ją nazywał Augusta? Tak... Nie wiem... Chodźmy już... Chodźmy...

(Dokończenie w następnym numerze)

Mieczysław Paszkiewicz

CZYTAJ

POLSKĄ

KSIĄŻKĘ!

## ŻYCIE KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

**HISTORIA:** Cofnąwszy się nieco pamięcią wstecz, rozpocząć należy od wspomnienia o Walnym Zebraniu Polskiego Tow. Historycznego, na którym tegoroczny laureat nagrody im. gen. M. Kukiel, dr A. A. Michalek miał w Instytucie Polskim referat o „Powstaniu styczniowym pod krakowskim „Telegrafem“. Wkrótce potem ukazał się XIII Tom „Tek Historycznych“ za rok 1964—65. Ukazał się on po XIV tomie, wydanym zawczasu w związku z XII Kongresem Międzynarodowym Historyków w Wiedniu, z 1965 r. Wśród autorów tomu XIII, znajdują się: O. Halecki, M. Kukiel, A. Sawczyński, L. Kozy, S. Biegański, śp. J. Hofman i W. Wielhorski ze starszego pokolenia oraz S. Bóbr-Tylingo i Z. Jagodziński z młodszego.

Historiografii polskiej poświęcona jest też wydana niedawno broszura dr S. Mękarckiego pt. „Partyni historycy o Tysiącleciu“, jako odbitka z wydawnictwa „Szkolnictwo wyższe i nauka polska na obczyźnie“. Autor wskazuje przy tym na deformacje, jakim ulega prawda historyczna w służbie polityce, „której centrum kierownicze znajduje się poza granicą Polski“.

**ODCZYTY:** Podobnie jak dotychczas, ruch odczytowy obejmuje wcale szeroki wachlarz zainteresowań. Płk. dypl. J. Chomiuk mówi w Kole W. S. Woj. o „Wojnie pakistańsko-hinduskiej“. W Instytucie Wschodnim „Reduta“ min. M. Sokolowski podał „Próbę oceny wpływu Komekonu na gospodarstwo polskie“. Przybyły z Paryża publicysta W. A. Zbyszewski mówi o „Francji jutrzejszej“ na zebraniu urządzonym przez Związek Dziennikarzy RP. Po wieczorze, na którym Nina Grudzińska mówiła o „Jerozolimie-mieście rozdartym“ w siedzibie Zjednoczenia Kobiet, organizacja ta urządziła zebranie w In-

stytucie Polskim, gdzie p. A. Szczepanowska, B.Sc. rozwinęła temat „Kobieta współczesna w życiu społecznym i osobistym“. Specjalne zebranie w Instytucie Polskim poświęcone było dziejom i obecnym problemom osiedla polskiego w Adampolu nad Bosforem. Przemawiali dyr. J. Nowak, płk. S. Zamoyski, przewodniczyli gen. M. Kukiel. Utworzono przy tej okazji Towarzystwo Przyjaciół Adampola z p. Elżbietą Zamoyską jako przewodniczącą.

Nadto Związek Dziennikarzy RP. urządził odczyt red. E. Hinterhoffa pt. „Wrażenia i wnioski z podróży na Daleki Wschód“ w Instytucie Polskim, a w Polskiej YMCA Helena Żurkowska-Ostrowska dzieliła się wrażeniami z przebytych „1.500 kilometrów po Korsyce“ ilustrowanych filmem francuskim. Sekcja Wojskowa Polskiego Tow. Historycznego urządziła w Instytucie Polskim zebranie naukowe, na którym mjr. A. Późniak omówił „Likwidację niemieckiej piątej kolumny w Łodzi w 1939 r.“ W kilka dni później ppłk. dypl. W. Chocianowicz przedstawił przebieg „Zamachu stanu w Kownie w sierpniu 1919 r.“ „Ciekawostkami z podróży po Ameryce“ dzielił się przy wyświetlaniu filmu dr J. Bielecki z Chicago na zebraniu w Klubie „Pod Parasolem“ w nowej siedzibie Polskiego Ośrodka Młodzieżowego.

Tematy religijne przewijały się przez kolejne spotkania posoborowe. Tematem jednego był odczyt Jana Tokarskiego pt. „Czym jest i czym nie jest Biblia“, a drugiego — odczyt o. J. Mirewicz, T.J. pt. „Paweł VI i Jezuiści“, obydwą w Instytucie Polskim. Poza tym, o. Mirewicz zagajał dyskusję w sali na Willesden pt. „Ks. Davis opuszcza Kościół“. P. H. Witkowska mówiła w Zjednoczeniu Kobiet na temat „Dziwna są drogi Opatrzności Boskiej“.

\* \* \*

**NAUKA I TECHNIKA:** W Stowarzyszeniu Elektryków Polskich odbyły się ostatnio dwa odczyty: p. J. Kay mówił o zasadach działania liczydeł elektronicznych, a inż. I. Sienkiewicz o „Nowych wynalazkach: maser i laser“. Oba te wieczory odbyły się w Domu Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie. Tamże Grupa Studiów Ekonomicznych Stowarzyszenia Techników Polskich urządziła wykład p. K. J. May'a pt. „Obecny stan angielsko-polskich stosunków handlowych z uwzględnieniem najświeższego ich rozwoju“. Niektóre z tych odczytów wygłoszone były przez angielskich prelegentów.

Przyczynkiem do historii nauk ścisłych w Polsce był odczyt prof. dr J. Jasnowskiego pt. „Geometria w dawnej Rzeczypospolitej — teoria i praktyka“, stanowiący rozdział z przygotowanej do druku książki po angielsku o dziejach nauki w Polsce. Zebranie to urządziło



było przez Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie w Instytucie Polskim.

W związku z tym należy wspomnieć o ukazaniu się Nr 25 „Techniki i Nauki“ za drugie półrocze 1966 r. Zawiera on prace inżynierów: p. M. Forest, i dr J. Dzienisiewicz. Pismo wydaje Stowarzyszenie Techników Polskich w W. Brytanii. Do naszych rąk doszedł pokaźny program 1 Millenijnego Kongresu nauki polskiej w Ameryce. W nawiązaniu do niego wspomnieć można, że brało w Kongresie udział m.in. dwóch braci: Stanisław Ulam, wybitny matematyk i historyk nauk ścisłych i Adam B. Ulam

— badacz polityczny i sowietolog. W ostatnim czasie oprócz wydania amerykańskiego, które nosiło tytuł „Bolszewicy“ (po angielsku), pojawiło się też wydanie angielskie pt. „Lenin i Bolszewicy“. Wśród przedstawicieli matematyki na kongresie znajdował się też dobrze znany w Londynie młody prof. S. Syski z Uniwersytetu w Maryland. Okazuje się, że w tym roku, nie czekając na wakacje już w marcu podczas przerwy międzytrymestralnej będzie miał tygodniowy kurs wraz z dr T. L. Saaty o „Zastosowaniach nowoczesnej matematyki“ dla słuchaczy z dyplomami. Tak jak poprzednie, kurs ten odbędzie się na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

**KULTURA I LITERATURA:** W siedzibie rozwijającego coraz szerszą działalność Polskiego Ośrodka Młodzieżowego — Zrzeszenie Absolwentów i Studentów Polskich urządziło zebranie dyskusyjne pod wyraźnie prowokującym tytułem „Zebranie uchwała, że nie ma potrzeby utrzymywania polskiej kultury na uchodźstwie“. Temat jest bardzo na czasie, a zwłaszcza jeśli uwzględnimy kurczenie możliwości życia kulturalnego i nawet likwidowania placówek kulturalnych przez naczelne organizacje emigracyjne. Zbiega to się zresztą z podobnymi zakusami niektórych sfer brytyjskich, co znalazło ostatnio wyraz w cofnięciu na przyszłość zasiłków na utrzymanie Polskiej Biblioteki w Londynie.

Losom tej biblioteki poświęcona była styczniowa „kolacja“ „Kontynentów“ urządzona w Domu Kombatantów. Dyskusję zajął prof. R.L. Wajda, który przedstawił akcję ratowania tej ważnej placówki, obejmującą m.in. gotowość przejścia odpowiedzialności za prowadzenie — z ramienia i w oparciu o społeczeństwo polskie — Biblioteki Polskiej przez Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie, którego prof. Wajda jest prezesem.

Równocześnie trzeba poświęcić nieco uwagi ostatniemu, grudniowemu numerowi miesięcznika „Kontynenty“. Jest

on ostatnim, nie w znaczeniu najświeższego, lecz w tym tragicznym znaczeniu dla każdego pisma, zwłaszcza na emigracji. Na łamach tej kroniki były głośne echa starań przed kilku laty, po partych m.in. przez Związek Pisarzy, o utrzymanie pisma przy życiu, gdy przeżywało ono podobny kryzys. Tym razem nowa redakcja zrezygnowała z takiego zabiegu, najwyraźniej nie wierząc w jego ponowną skuteczność. Okres dwu i pół letniego istnienia pisma „Kontynenty“ pod redakcją dr Z. Grabowskiego kończy podwójnym numerem 95—96 urozmaiconym i pełnym polemik i kontrowersji. Zawiera m.in. w artykule pt. „Kosmos i Mikro-Kosmos“ pióra R.K. z Paryża przewartościowanie pozycji literackiej W. Gombrowicza i „Sztuchy“ zaczepiające J. Garlińskiego, J. Kowalewskiego, M. Chmielowca, (NB. zastępującego redaktora „Wiadomości“ z powodu złego stanu jego zdrowia), nie wymienionych z nazwiska literatów emigracyjnych, którzy brali udział w warszawskim Kongresie Kultury), dalej M. Hemara, B. Świdzkiego, G.J. Fleminga i znów W. Gombrowicza. Zapewne tyleż replik wypełnią nekrologi po „Kontynentach“ w pozostałych przy życiu czasopismach emigracyjnych.

Rozpoczęty rok 50-lecia zgonu Henryka Sienkiewicza jest wciąż obchodzony jedynie okolicznościowo. Jeszcze przed jego rozpoczęciem odbyła się herbatka urządzona przez Związek Pisarzy w zamkniętym gronie, na której prof. B. Zakrzewski z Wrocławia mówił o wydaniach ludowych pism Sienkiewicza. Potem odbył się na Devon Road, w ramach wykładów millenijnych, wieczór pt.: „Mówią ludzie Pana Henryka“. Wreszcie, Polskie Towarzystwo Naukowe wspólnie z Polskim Tow. Historycznym urządziło odczyt prof. I. Wieniewskiego pt. „Trylogia — Polską Iliadą“ na zebraniu, któremu przewodniczył prof. gen. M. Kukiel.

Wystawy plastyczne, ruch widowiskowy i udział artystów w wieczorach okolicznościowych odłożyć należy — z braku miejsca — do następnej kroniki.

J.O.N.

P. S.:

W poprzedniej kronice omyłkowo podano nazwisko lekarza Churchilla jako Merton, oczywiście powinno być Moran, który nie został oskarżony, lecz był oskarżany o naruszenie przysięgi lekarskiej.

**POPIERAJ  
FIRMY  
POLSKIE**

Z prasy polskiej poza krajem

B.D.I.C

## Polski program polityczny

W miesięczniku „Wiadomości Polskie“ ukazującym się w Kanadzie, toczy się ostatnio ciekawa i pożyteczna dyskusja na temat obecnego ustroju politycznego Polski i możliwości jego ewolucji w jakimś korzystniejszym kierunku. Dotychczas ukazały się dwa artykuły w tej sprawie, przy czym redakcja zapowiada dalszy ciąg dyskusji i ewentualne określenie swego stanowiska po wyczerpaniu polemiki.

Autor pierwszego niepodpisanego artykułu („rewizjonista z krzaka“) zaczyna od pytania, czy istnieje wspólny program polityczny w Kraju i na emigracji? Odpowiada na nie:

„Program polityczny emigracji brzmi: na zewnątrz niepodległość, wewnątrz ustroj demokracji parlamentarnej, opartej na wolnych czteroprzymiotnikowych wyborach. Program ma wielką zaletę: jest jasny jak kryształ. Ma poważną wadę: nie wiadomo, jak go realizować.

Polacy w kraju dawno oduczyli się marzeń. Temat niepodległości ich drażni, nie poruszają go nawet w rozmowach między sobą, a gdy rozmawiając z emigrantami słyszą o niepodległości, milkną zniechęceni. Jest to zapewne zupełnie prawidłowa reakcja psychologiczna: w domu powieszono nie mówić się o sznurku.“

I w dalszym ciągu:

„Jaki jest więc obecnie „program polityczny“ narodu polskiego? Piszemy o nim w cudzysłowie, bo program taki może mieć tylko organizacja polityczna. Ponieważ w kraju organizacje polityczne mają — wbrew zresztą konstytucji PRL — tylko komuniści i ich najbardziej wypróbowani sojusznicy, można mówić wyłącznie o przekonaniach Polaków, o ich pragnieniach, nadziejach i projektach.

Programem politycznym kraju nie jest obecnie niepodległość. Jest nim natomiast głęboka reforma obecnego ustroju.

Nikt poważny w Polsce nie dąży do obalenia „socjalizmu“. Każdy natomiast — nie wyłączając nawet niektórych komunistów — „socjalizm“ ten pragnie przefasonować w sensie maksymalnego rozszerzenia wolności politycznych (i gospodarczych) jednostki.“

Cóż wobec tego pozostaje?

„Jeżeli takiego programu nikt nie wysuwa — a przecież nie wysuwa — to nie widać innej drogi jak jugosłowiańska. Jest to droga nie rewolucji, a zdecydowanej opozycji wobec obecnych rządów dyktatorskich; jest to walka polityczna o praworządność, o pełne stosowanie konstytucji. W tym zamyka

się bardzo dużo: poszanowanie godności człowieka, wolność publicznego wyrażania przekonań, wolność zebrań publicznych, tworzenia organizacji politycznych niekomunistycznych. Konstytucja PRL mówi o socjalizmie demokratycznym i o państwie ludowym. Natomiast PZPR narzuca krajowy dyktaturę, która ma mało wspólnego z jakimkolwiek socjalizmem i nie ma nic wspólnego z ludem.

Czy jawna działalność polityczna w Polsce o szanowanie wolności konstytucyjnych jest możliwa? W tej chwili zapewne jeszcze nie. Nie to jest najważniejsze. Ważne, że innej drogi Polacy w kraju nie widzą. Jeżeli jest, należałoby ją wskazać. Być może innej nie ma na chwilę obecną, ani na dającą się przewidzieć przyszłość kilku lat.

Ale w takim razie trzeba stwierdzić, że jedyny realny program polityczny w Polsce to zastąpienie „socjalizmu“ socjalizmem. Próby zastąpienia go czymkolwiek innym, kapitalizmem, neokapitalizmem, faszyzmem, syndykalizmem byłyby sprzeczne z prawem. Dziś sprzecznie z prawem działa PZPR i rząd PRL. Nie może sobie na to pozwolić w żadnym wypadku społeczeństwo: nie mówiąc już o tym, że działalność taka nie miałaby najmniejszych szans powodzenia wobec machiny terroru, która w każdej chwili może — i w tym wypadku byłaby na pewno — puszczona w ruch. Społeczeństwo musi walczyć o poprawę swego bytu, o wolności polityczne, o sensowną gospodarkę w imię jedynego „izmu“ jaki jest legalny, to jest socjalizmu.“

\* \* \*

W odpowiedzi na te uwagi redakcja zamieściła (nr 10—11) dwa dalsze głosy. W obu wypadkach autorzy wyrażają powątpiewanie, czy nawet taki zredukowany program polityczny jest możliwy w obecnej chwili:

„...ten minimalny i zdawałoby się realistyczny program ma poważną wadę: nie wiadomo, jak go zrealizować... I znów stoimy przed tym samym zagadnieniem: jak my, emigranci, możemy wpływać, ażeby choć o cal posunąć ewolucję stosunków politycznych w Polsce w kierunku należnych człowiekowi swobód? Nawet w „zaawansowanej“ Jugosławii usiłowania Džilasa, a obecnie Michajłowa, aby żyć według konstytucji, prowadzą ich do więzienia. Poszanowanie prawa bytoby końcem władzy komunistów.“

Wypowiedź kończy się uwagą, że tylko nieuchronna ewolucja komunizmu światowego może przynieść upragnione zmiany na lepsze.

*Lepekim  
piórem*

## O DZIWNYM OBYCZAJU I O JEGO RODZINNYCH SKUTKACH

**M**OJA żona to bardzo systematyczna osoba. Wobec tego przed świętami zasiadła do sporządzenia listy osób, którym należy wysłać życzenia świąteczne. Zajęło jej to dobre pół dnia. Rzuciłem okiem na gęsto zapisane kilka stron i zapytałem:

— Ile tam tego?

— Prawie osiemdziesiąt — odpowiedziała wymijająco.

Złapałem się za głowę.

— Kobieto! — wykrzyknąłem. — Wpędzisz nas w ruinę! Czy ty sobie zdajesz sprawę, ile teraz kosztuje osiemdziesiąt kartek? A znaczki?

— No to wpłaćmy dziesięć szylingów, czy nawet funta na Macierz Szkolną, i będzie spokój. Ogłośzą nasze nazwisko w „Dzienniku“ i po krzyku!

Podrapałem się w głowę.

— A co zrobisz z tymi, co nie czytają „Dziennika“? Tacy prześlą ci życzenia, ty im nie, i popsujesz sobie stosunki do końca roku.

— A jak cię jeszcze obszczekają przed znajomymi! — uzupełniła żona. — Co robić? Trzeba wyrzucić pieniądze na kartki.

— Ale nie na osiemdziesiąt — powiedziałem stanowczo. — Po moim trupie! Bierz swoją listę, łap się za czerwony ołówek i będziemy skreślać. Kto jest pierwszy?

— Astrachańscy — przeczytała żona. — Jadą do Szwajcarii na narty, więc i tak ich na święta w domu nie będzie.

Plutokraci! — mruknąłem z pogardą. — Precz! Następni?

— Barcelońscy. Oni nam zresztą nie przesłali życzeń w przeszłym roku.

— Oko za oko, ząb za ząb — warknąłem. — Skreślić. Dalej?

— Celtycka nie ukloniła mi się na ulicy — ołówek żony zawisł nad następnym nazwiskiem. — Napewno mnie poznała, tylko czekała, żebym to ja jej się ukloniła pierwsza.

— Tępić snobów! — zakomenderowałem. — Won!

— Doktor Dojda powiedział mi podczas ostatniej wizyty, że on po prostu nie może zrozumieć, co ja robię z tymi wszystkimi proskami, i że mi takich ilości nie może zapisywać, bo będzie miał nieprzyjemności od Anglików.

— Konował! — parsknąłem — Anglików się boi! Zlikwidować!

— Erywańscy ostatnio dali nam na kolację kotlety siekane. Ja rozumiem, że mięso drogie, ale jeżeli się już zaprasza gości... — przypomniała żona.

— Zwyczajne chamstwo! — oburzyłem się. — Usunąć!

— Farnezyjski — ten chyba w porządku — zawahała się żona.

— Zwariowałaś? — zaprotestowałem gwałtownie. — Bezczelny facet! Już czwarty raz upomina się o tę książkę, którą nam rok temu pożyczył na dwa tygodnie. I to jak nahalnie! Wyciąć!

— Z Genueńskimi nie widzieliśmy się od wieków — rozważała żona. — A tylko wymieniamy z nimi te nieszczęsne życzenia.

— Uschnięta gałąź! — sprecyzowałem. — Odpilować!

— Humańska naplotkowała na nas u Szprotkiewiczów, pamiętasz? — z satysfakcją przypomniała żona.

— Żmija na własnym łonie wyhodowana! — zgrzytnąłem — ukreść łeb!

Po godzinie pracy lista skurczyła się wręcz imponująco.

— Ile zostało? — zapytałem.

— Raz, dwa... czekaj, czekaj, niech policzą! Trzy, cztery... razem sześć nazwisk! — z triumfem powiedziała żona.

— Tylko sześć? — spytałem niedowierzająco.

— Policz sam, jeżeli mi nie wierzysz — podsunęła mi listę żona.

Policzyłem. Rzeczywiście nie skreśliłmi tylko sześciu nazwisk.

Zastanowiłem się. Nie oczekiwałem tak wielkiej skuteczności naszej akcji.

— Wiesz, może jednak Astrachańskim wypadałoby przesłać życzenia. Prześlę kartkę ze Szwajcarii i będzie nam głupio — powiedziałem z wahaniem.

Żona wzięła zielony ołówek i podkreśliła przekreślonych czerwonym ołówkiem Astrachańskich.

— Z Barcelońskimi ludzie się liczą — zauważyłem pojednawczo. — Nie warto sobie z nimi psuć stosunków. Kto wie, może nam i wysłali kartkę w przeszłym roku, tylko nie doszła? Sama wiesz, jak to jest z pocztą przed świętami.

Żona podkreśliła na zielono Barcelońskich.

— Celtycka nam zawsze przesyła życzenia — przeszedłem do następnego nazwiska. — Ostatecznie, mogła ciebie nie zauważyć na ulicy. Wszyscy wiedzą, że ma krótki wzrok.

Zielona linia znalazła się pod nazwiskiem Celtyckiej.

— Dojda to jednak nasz lekarz — zastanowiłem się. — Latasz do niego co drugi tydzień.



— Czy to moja wina, że nie mam twojego końskiego zdrowia? — oburzyła się żona. — A dla ciebie recepty na krople przeciw katarowi, to kto przynosi, jak nie ja?

— Ja nie krytykuję, a po prostu stwierdzam fakty — zastrzegłem się pośpiesznie. — W każdym razie lepiej wyslijmy mu te życzenia. Dla głupich paru pensów nie warto sobie z nim psuć stosunków.

Po następnej godzinie pracy, lista, podkreślona na czerwono i zielono, wyglądała barwnie i wesoło.

— Ile masz nie podkreślonych nazwisk? — zapytałem.

Po chwili skupionych obliczeń żona podniosła głowę znad listy.

— Trzy — powiedziała — Erywańscy byli dwa razy na liście, Padlińska wyszła za Ciopka, więc wystarczy im

jedna kartka, a Fytek i Foulke-Jones, to ta sama osoba — zmienił w tym roku nazwisko.

Westchnąłem.

— Sytuacja jest bez wyjścia — stwierdziłem z goryczą. — Musimy kupić siedemdziesiąt siedem kartek.

Kupiliśmy i wystaliśmy. I co się ostatecznie okazało? Zapomnieliśmy o Trzpięckich, Bruderszafekim i Terremolińskich. Życzenia od nich przysły już na wilię i miałem duży kłopot z kupieniem kartek, bo sąsiednim sklepie mieli już tylko te droższe. I tak zresztą nasze życzenia doszły do nich po Świętach i będą do nas mieli żal. A Barcelońscy znowu nam wogóle nie przysłali życzeń.

Na przyszły rok płacimy na Macierz Szkolną.

Wojciech Stefański



# Humor

## Imperatyw kategoriyczny

Rekrut spadochroniarz nerwowo oczekuje chwili, kiedy po raz pierwszy skoczy z samolotu. Obok niego stoi instruktor, najwidoczniej nieporuszony ważnością chwili.

— Co pana skłoniło do wykonania swego pierwszego skoku — pyta nowicjusza?

— Samolot, w którym zepsuły się wszystkie cztery motory — odpowiada lakonicznie instruktor.

\* \* \*

## Coś z medycyny

Doktor Codolega ma zwyczaj bagatelizować skargi swoich pacjentów na niektóre niedomagania. Jeden z nich, wezwawszy go do swego domu, zwierza się z jakichś dziwnych sensacji słuchowych.

— Na przykład, ciągle słyszę tik-tak tego zegara, który tu wisi na ścianie.

— I ja słyszę tykanie tego zegara, ale nie ma się czym przejmować — zapewniam pana.

— O, widzę, że pan doktor cierpi na tę samą chorobę co ja, bo ten zegar już od trzech miesięcy nie chodzi!

\* \* \*

## Łatwe pytanie

W czasie egzaminu profesor czyni ogromne wysiłki, by wydobyć jakąś pozytywną odpowiedź od studenta, ale bez żadnego skutku. W końcu zmieszany do ostateczności student prosi:

— Jestem ogromnie zdenerwowany i dlatego jest mi tak trudno odpowiadać. Może pan profesor postawi mi jeszcze jakieś łatwiejsze pytanie.

— Chętnie — odpowiada egzaminator — jak się ma pański ojciec?

\* \* \*

## Ogłoszenie

Slogan ogłoszeniowy jednego z zakładów pogrzebowych: „Do was należy tylko umrzeć. Resztę już my załatwimy!”

\* \* \*

## Szlachectwo

Rozmowa w biurze matrymonialnym:

— Moglibyśmy wyswatać szanownego pana z ładną dziewczyną, która wniesie w posagu kilka tysięcy funtów. A co pan może ofiarować?

— Starożytne i historyczne imię.

— Czy można wiedzieć, jak się pan nazywa?

— A d a m.

\* \* \*

## Dialog małżeński

— Kto wie, mój drogi, może dożyje do stu lat...

— To będzie bardzo trudne.

— Dlaczego?!

— Ponieważ ciągle upierasz się przy swoich czterdziestu.

\* \* \*

## Niezawodna metoda

W przedziale pociągu zdążającego z Londynu do Brighton siedzi młodzieniec, który pilnie czyta jakąś książkę. Po przeczytaniu strony wyrzuca ją, ugniata w kulkę i wyrzuca za okno. Operację tę powtarza raz po raz, wreszcie jeden z pasażerów nie mogąc oprzeć się zdumieniu pyta:

— Dlaczego wyrzuca pan przez okno każdą przeczytaną stronę?

— Żeby odpędzić od nas słońce.

— Słońce? Ależ tu nie ma słońca!

— Nie ma — odpowiada z niewzruszoną powagą młodzieniec — ponieważ moja metoda działa znakomicie

\* \* \*

B.D.I.C

## Żelazna logika

W pociągu siedzą naprzeciw siebie, starszy jegomość i jakiś młodzieniec. W pewnej chwili ten ostatni odzywa się: — Przepraszam pana, która godzina? Brak odpowiedzi. Za drugim czy trzecim nawrotem, starszy jegomość wybucha: — A, nie, nie! Nie! Wiem, czym się to skończy! Powiem panu która godzina, pan mi podziękuję, lody zostaną przełamane, zaczniemy rozmawiać, potem razem wysiadzimy, pan poprosi mnie na kawę ja, by się zrewanżować, będę zmuszony zaprosić pana do swego domu, w domu mam córkę, która jest bardzo ładna, pan zakocha się w dziewczynie, ona w panu, oświadczy się pan i zapragnie się z nią ożenić. A ja nie oddam mojej córki człowiekowi, który nawet zegarka nie posiada!

\* \* \*

## Wybory

W czasie zjazdu jednej z naszych organizacyj w Londynie w roku ubiegłym posłyszano następujący fragment rozmowy między dwoma uczestnikami zjazdu:

— Mam nadzieję, że kolega będzie głosował na mnie.

— Wolałbym na diabła raczej głosować...

— Ale gdyby przyjaciel kolegi nie kandydował...

\* \* \*

## Małżeństwa naszych czasów

Po zakończeniu ceremonii ślubnej nowy żonkoś szepce słodko do ucha panny młodej „Nareszcie złączeni na całe życie“. Ona: „O, mój drogi, nie bądź takim pesymistą“.

\* \* \*

## Z życia społecznego

Robiąc aluzję do zapału nie kierującego się rozsądkiem, mówca na jednym z zebrzań społecznych stwierdza:

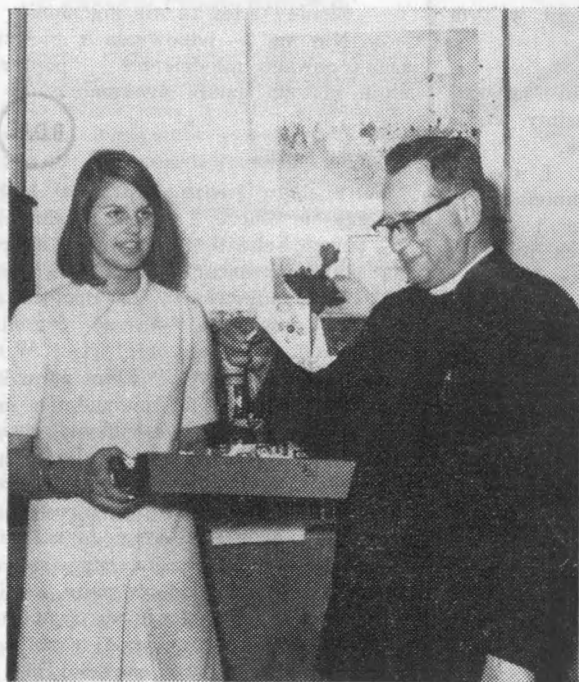
— Najgorszą chorobą jest entuzjazm.

— Na szczęście, nie jest ona zaraźliwa ani dziedziczna — zauważa inny uczestnik zebrania.

\* \* \*

## Rozczarowanie

Piotruś wraca z ogródka, w którym bawił się z córeczką sąsiadów i jest wyraźnie zdegustowany. Zapytany przez matkę o powód niezadowolnienia, skarży się, że Ewunia zepsuła zabawę: Bawiliśmy się w raj i ona oszukiwała, zamiast kusić mnie jabłkiem sama je zjadła.



**SAMOCHÓD**

**HASKOBY**

**DLA**

**p. BASTUBY**

Przed świętami Bożego Narodzenia firma „HASKOBA“ w Londynie wylosowała trzy nagrody dla swoich klientów. Ciągnięcie, jak widzimy na zdjęciu górnym, przeprowadzili ks. prałat Kazimierz Sołowiej oraz Rosemay, córka pp. Cassel-Kokczyńskich. Nagrody wylosowali: I. p. I. Bastuba z Silsden — samochód marki Anglia de Luxe. II. Week-end w Paryżu wylosował p. B. Buczkowski. III. Obraz abstrakcyjny Kłosia dostała się p. A. Amirowiczowi.

Na zdjęciu dolnym widzimy moment przekazania w wesołym nastroju samochodu p. I. Bastubie przez dyr. A. Cassel-Kokczyńskiego, właściciela firmy „Haskoba“.

Foto: Bednarski



## HISTORYJKA CIĄGLE

*Chyba tak z dziesięć lat temu  
Pewien przyjezdny z Krakowa  
O takim mówił zdarzeniu  
(Powtórzę wam jego słowa):*

*Że jęszcze zatarg z Chinami  
Nie wpływał na Rosji losy,  
A więc w oficjalnej zgodzie  
Żyły dwa wschodnie kolosy.*

*Na jednej z wyższych uczelni,  
Czy w Moskwie, czy w Leningradzie,  
Studenci z ca'ego świata  
Przykładnie żyli w gromadzie.*

*Więc byli tam, oprócz Rosjan,  
Tunguzi, Czukcze, Turkmeni,  
Jakuci i Baszkirowie,  
I inni — niewymienieni.*

*Było i kilku Polaków  
(Bo gdzieby takich nie było?);  
Bułgarzy, Czesi, Rumuni,  
Aż wokół popatrzeć miło.*

*Był Francuz, było dwóch Włochów,  
Aż czterech San Marińczyków,  
Czterdziestu sześciu murzynów  
I trzystu pięciu Chińczyków.*

*Raz, tuż przed końcem tygodnia  
— Tak wtedy robiono wszędzie —  
Miejscowa grupa Kompartii  
Wydała takie orędzie:*

*Niech się w najbliższą niedzielę  
— Z orędzia tego wynika —  
Studenci zgłoszą do pracy;  
Rzecz jasna — na ochotnika,*

*By — ładu wszystkich, co wierzą  
W Lenina najświętsze słowa —  
Odgruzowywać ulice,  
Czy wzgórki gdzieś niwelować.*

*Czytali to obwieszczenie  
Tunguzi, Czukcze, murzyni;  
Że każdy musi wziąć udział,  
Każdy się winien przyczynić.*

*Nadeszła niedziela rano:  
Na wyznaczonej ulicy,  
O wyznaczonej godzinie  
Zebrali się ochotnicy:*

*Rosjanin — przewodniczący,  
Sekretarz — także Rosjanin.  
(Przyszli z urzędu — ot, jedna,  
Z ich oficjalnych danin).*



## KAMPANIA O BIBLIOTEKĘ POLSKĄ W LONDYNIE

(Dokończenie ze str. 21-ej)

### AKTUALNA

*Prócz nich — ni żywego ducha;  
Przyjść się nie chciało nikomu.  
„Normalne!“ — mruknął sekretarz  
I mieli już iść do domu,*

*Gdy nagle wkracza w ulicę  
Z sztandarem i wśród okrzyków  
Maszerujących w szeregach  
Aż trzystu pięciu Chińczyków.*

*Gotowość błyska w ich oczach  
I zęby z radości szczerzą.  
Rosjanie rzekli zdumieni:  
„Oni naprawdę w to wierzą!“*

*Gdy dzisiaj czytam o Chinach,  
Włos mi na głowie się jeży.  
Myszę o Mao-Tse-Tungu:  
„On wciąż naprawdę w to wierzy!“*

*On wierzy, że rewolucja  
Ma trwać bez końca, wprost wiecznie,  
Że nikt już nigdy się w Chinach  
Nie może poczuć bezpiecznie,*

*Że zawsze ludzi z biur z fabryk  
Wytelekać będą bez winy  
Na pośmiewisko, na mękę,  
Na chuligańskie wyczyny,*

*Że nigdy nikt w całych Chinach  
Oka spokojnie nie zmruży,  
Bo mu się wróg, czy przyjaciel  
Donosem nagle przysłuży,*

*Że nigdy nikt wiedzieć nie ma,  
Co też mu jutro przyniesie,  
Czy go zastanie przy biurku,  
Czy w łagrze z siekierą w lesie,*

*Że nie ma znać swego losu,  
Nie wiedzieć dnia, ni godziny;  
Strzec się swych własnych przyjaciół,  
A nawet własnej rodziny.*

*Na szczęście, Chiny daleko  
I sprawa ciągle niejasna:  
Chińczycy jeszcze się bronią,  
Bo miła im skóra własna.*

*Choć wiem, że zdarzenia chińskie  
Nie spędzą snu z moich powiek,  
Ale mi szkoda Chińczyków —  
Bo Chińczyk także jest człowiek.*

RAWICZ.

ten sposób gromadzone i wspierane (B.D.I.C) —  
źniej dotacjami rządu brytyjskiego, sta-  
nowią duży skarb, chlubnie świadczący  
o żywotności kulturalnej naszej „emi-  
gracji“. Z uwagi na swą wartość zbior-  
y te wymagały rzetelnej opieki, by je  
nałężycie utrzymać i odpowiednio za-  
bezpieczyć. Zagadnienie to było i nadal  
jest przedmiotem rozlicznych rozważań  
i dyskusji. Połączenie wszystkich bibliotek  
i pomieszczenie ich pod jednym da-  
chem powiększyłoby wydatnie wartość  
zbiorów, a jednocześnie pozwoliłoby nie-  
zawodnie na zrobienie poważnych osz-  
zczędności. Lecz plan taki wymagał ka-  
pitałów, zebranie, których przekracza-  
ło praktycznie możliwości społeczeń-  
stwa polskiego. Nie mamy nowych  
Czartoryskich, których osobista szco-  
drość stworzyła niegdyś Bibliotekę Pol-  
ską w Paryżu. Z drugiej strony pro-  
wadzone od lat rozmowy z władzami  
brytyjskimi, spotykały się z ustosun-  
kowaniem na pozór przyjaznym, ale  
bez realnych wyników. W rzeczy samej  
wypowiedzi ciągle zmieniających się  
premierów i ministrów kończyły się  
najczęściej na niejasnych obietnicach.  
Coraz wyraźniej widoczny był zamiar  
wycofania pomocy finansowej, jaką do-  
tychczas otrzymywała Biblioteka Polska  
i Centrala Bibliotek Ruchomych. Przed  
kilku miesiącami Department of Edu-  
cation and Science potwierdził swój za-  
miar wstrzymania dotacji na Bibliote-  
kę Polską z końcem bieżącego roku bu-  
dżetowego, a więc z dniem 31 marca  
b.r. Jednocześnie po raz pierwszy w  
wypowiedziach władz brytyjskich po-  
jawilo się roszczenie sobie prawa wła-  
sności do polskich zbiorów. W oparciu  
o te roszczenia władze brytyjskie wy-  
sunęły projekt podziału zbiorów pol-  
skich pomiędzy instytucje brytyjskie.  
Nie mamy żadnej wątpliwości, że Bi-  
blioteka Polska stanowi całkowitą i wy-  
łączną własność społeczeństwa polskie-  
go, i dlatego słuszne jest stanowisko,  
iż roszczenia władz brytyjskich są ni-  
czym nieusprawiedliwione, a ich oferta  
z października ub.r. „darowania“ Pol-  
skiemu Ośrodkowi Społeczno-Kultural-  
nemu książek z działu beletrystyki po-  
pularnej zakrawa na ironię.

Różnorodność wypowiedzi i brak ja-  
snego sformułowania motywów, jakimi  
kierowały się władze brytyjskie dały  
początek wielu domysłom i teoriom. Do-  
tychczasowe wyjaśnienia nie usunęły  
wątpliwości i dopiero przyszłość oka-  
że, co się kryje za brytyjskim  
stanowiskiem. Czy są to tylko względy

ekonomiczne, podyktowane trudnościa-  
mi gospodarczymi i koniecznością pro-  
wadzenia polityki oszczędnościowej?  
Przeczyłaby temu stosunkowo mała wy-  
sokość sum, o jakie tu chodzi. Mogły to  
być względy polityki wewnętrznej —  
chęć przyspieszenia procesu wynarodo-  
wienia i asymilacji społeczności polskiej.  
Dał zresztą tej polityce szczerzy wyraz  
premier Harold Wilson w październiku  
1965 r., zdradzając brak zrozumienia  
podstawowej prawdy, że jakiegokolwiek  
próby uniemożliwienia Polakom zach-  
owania ich społecznej i kulturalnej od-  
rębności mogą wywołać tylko reakcję  
zdecydowanego oporu z naszej strony.

Inne przypuszczenia doszukiwały się  
przyczyn decyzji brytyjskich w nacisku  
z zewnątrz. O prawdopodobieństwie ta-  
kiego nacisku świadczyło nagłe zainte-  
resowanie się losami Biblioteki londyń-  
skich kół reżimowych. Z drugiej stro-  
ny pozostają w pamięci reżimowe pró-  
by przejęcia Biblioteki Polskiej w Pa-  
ryżu. Ta teoria znalazła również swe-  
go rodzaju potwierdzenie w ostatnich  
propozycjach władz brytyjskich prze-  
kazania najwartościowszej części pol-  
skich zbiorów do uniwersyteckiego cen-  
trum studiów rosyjskich w Bir-  
mingham. Nie można sobie wyobrazić głę-  
bszych studiów rosyjskich bez znajomo-  
ści wpływów, jakie na rozwój Rosji  
miała Polska. Z drugiej strony histo-  
ria blisko dwuwiekowych zmagania o wol-  
ność Polski była pisana w dużej mie-  
rze na Sybirze i innych miejscach zsy-  
łek, w łagrach i więzieniach sowieckich  
i w lasach katyńskich. Połowa Polski  
pozostaje siłą wtłoczona w granice so-  
wieckiego olbrzyma, a w reszcie Polski  
rządzi Moskwa przez swoich agentów.  
Te fakty świadczą o tym, że Polska  
należy do zachodnio-europejskiej chrze-  
ścijańskiej kultury i że dorobku tej  
kultury nie można zatopić w centrum  
studiów rosyjskich.

Ze strony polskiej podjęta była wy-  
tężona i szeroko zakrojona akcja indy-  
widualna jak i zbiorowa w obronie Bi-  
blioteki. Obok rozmów i dyskusji z wła-  
dzami brytyjskimi rozwinięto szeroką  
akcję informacyjną. W tej akcji spe-  
cjalne zadanie przypadło Polskiemu Ko-  
mitetowi Wyborczemu, który sprawę  
Biblioteki Polskiej poruszył w oby-  
dwóch kampaniach wyborczych, uzysku-  
jąc przychylnie wypowiedzi od 55 po-  
siłów. W międzyczasie okazało się, że  
dalsza akcja winna być skoncentrowa-  
na w rękach reprezentatywnego przed-  
stawicielstwa polskiego, uprawnionego

do występowania w tej sprawie w imieniu całej społeczności polskiej. Przy współpracy Zjednoczenia Polskiego, a szczególnie jego prezesa p. P. Hęcia-ka, powołano w kwietniu ub.r. Polską Radę Biblioteczną, na czele której stanęli płk S. Zamoyski, prof. R. L. Wajda i dr W. Czerwiński. Od tego czasu Rada prowadzi szeroką i energiczną akcję dla zabezpieczenia Bibliotece bytu i warunków dalszego rozwoju.

Zagrożenie likwidacji Biblioteki godzi w całe społeczeństwo polskie i dlatego akcja polska musi być wynikiem uzgodnionego wysiłku. Łączność działania jest konieczna i nad tym czuwa Polska Rada Biblioteczna, której delegacja złożyła wizytę ministrowi Crosslandowi oraz wzięła udział w zebraniu zorganizowanym przez Lorda St. Oswalda w Izbie Lordów. W zebraniu wzięło udział wiele wpływowych osobistości z brytyjskiego życia politycznego w tym liczni posłowie, z których 42 zostało zaproszonych przez Polski Komitet Wyborczy.

Miejmy nadzieję, że władze brytyjskie zrozumieją wartość i znaczenie, jakie społeczeństwo polskie przywiązuje do swojej Biblioteki, i że zdadzą sobie sprawę z prostego faktu, że społeczeństwo polskie nie dopuści do likwidacji czy rozdziału Biblioteki Polskiej.

W. BIEŃKOWSKI

## ZJEDNOCZENIE POLSKIE

(Dokończenie ze str. 22-ej)

*ne Tysiąclecie z ufnością i wiarą, że nieprzemijające wartości Polski Chrześcijańskiej przetrwają wszelkie przeciwności i przesładowania. Łączymy się z rodakami w Kraju w mocnym postanowieniu pomnożenia spuścizny narodowej, aby — przekazana następnym pokoleniom — tym bardziej służyć mogła Bogu na chwałę a narodowi na pożytek.“*

Adres do ks. biskupa Rubina brzmiał: „Zebrani na Zjeździe Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii na progu nowego Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej przesyłamy Jego Ekscelencji wyrazy czci i oddania oraz serdeczne podziękowania za bogostawieństwo i życzenia przesłane Zjazdowi.

*Jesteśmy pełni podziwu i uznania dla ogromnego wysiłku osobistego Jego Ekscelencji w sprawowaniu opieki duchowej nad rodakami na obczyźnie, szczególnie w Jubileuszowym Roku Tysiąclecia, przeżyciem którego wzmocnieni wierzymy niezachwianie w ostateczne zwycięstwo w walce, jaką naród polski prowadzi o*

*pełną wolność i o chrześcijańską treść swoich dziejów.“*

Obydwa adresy przyjęte zostały długotrwałymi oklaskami.

Wiceprezes Z. Bieńkowski odczytał również uchwałę „w sprawie obchodów milenijnych w W. Brytanii“ następującej treści:

*„Zjazd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii na zakończenie Jubileuszowego Roku Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej wyraża serdeczną wdzięczność i uznanie Duchowieństwu, Komitetowi Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej w Londynie, Komitetom Lokalnym, organizacjom, szkołom, instytucjom i zespołom oraz szerokim rzeszom indywidualnych, często bezimiennych współpracowników, wszystkim tym, których talent, wysiłek i ofiarna praca przyczyniły się do wspaniałych osiągnięć, jakimi były obchody Tysiąclecia urzędzone w bez mała wszystkich ośrodkach polskiego skupienia.*

*Wysiłki te i praca spotkały się ze zrozumieniem i słusznym uznaniem wśród społeczeństwa polskiego, które swym gremialnym udziałem zapewniło uroczystościom w Wielkiej Brytanii ważną rolę i trwałe znaczenie w całości wysiłków narodu polskiego, dokonanych dla zadokumentowania swojej woli i postawy w Jubileuszowym Roku dopełnienia się pierwszego Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej.“*

Z kolei przemawiali: prezes P. Hęciał — o 20-leciu Zjednoczenia Polskiego, gen. W. Anders — o roli Zjednoczenia w naszym życiu społecznym, prezes S. Soboniewski — w imieniu organizacji społecznych w Londynie i prezes Zjednoczenia Polskiego w Manchester inż. J. Żaba — w imieniu organizacji społecznych spoza Londynu.

Pełne sprawozdanie ze Zjazdu podamy w następnym numerze „Orla Białego“.

### NOWOŚCI „BIBLIOTEKI KULTURY“

Aleksander Hertz — Refleksje Amerykańskie

Cena 24/6, \$ 2.25, F. 16.50

George Fleming — Czym to się je?

Cena 15/-, \$ 2.25, F. 10.00

Witold Gombrowicz — Dziennik — lata 1961—1966

Operetka

Cena 24/6, \$ 2.25, F. 16.50

Wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu są do nabycia we wszystkich księgarniach polskich — w W. BRYTANII — GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K. 20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, k-to pocz. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Liccia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



## LISTY DO REDAKCJI

armia, było to materialnie wprost niewykonalne. Na wojnie cudów nie ma i by pobić trzy armie nieprzyjacielskie i korpus kawalerii trzeba mieć samemu co najmniej trzy armie i korpus kawalerii. A tego — jak wiadomo — gen. Sikorski nie miał. Taka fałszywa legenda paczy zupełnie pojęcie o ówczesnej dramatycznej najszybszej sytuacji (bo jeżeli można było jedną armią pobić trzy i korpus konny, to nie groźny musiał to być przeciwnik i tylko trudno zrozumieć, czemu stało się to dopiero nad Wisłą), a nawet — jak każdy fałsz — raczej ujmuje rzetelnej zasługi gen. Sikorskiemu i jego żołnierzom, co nie było przecież celem artykułu poświęconego życiorysowi ówczesnego Premiera Rządu R.P. i Naczelnego Wodza. Również legenda o męstwie żołnierza polskiego, który bil zawsze „krocie“ nieprzyjaciela, przynosiła nam więcej szkody niż pożytku w przeszłości, nie ostawała się wobec rzeczywistości wojennej, bo obok „legendarnego“ męstwa są jeszcze inne aspekty wpływające ujemnie na walczącego a nawet najbardziej walecznego żołnierza i dlatego jeszcze przed ostatnią wojną zaczęto ją zwalczać w naszym wojsku, jako wiodącą na manowce.

Ta przesada staje się zrozumiała, gdy uwzględnimy, że pierwszym redaktorem „Orla Białego“ (a może autorem omawianego artykułu), był por. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. Do września 1939 r. był on gotów napisać identyczne zdanie o grupie uderzeniowej znad Wieprza, dowodzonej osobiście przez Naczelnego Wodza, Marszałka Piłsudskiego, co przynajmniej w odniesieniu do zdania o spowodowaniu przelomu w wojnie z Rosją Sowiecką jest prawdą. Później, ze względów zrozumiałych w stosunku do własnej osoby, napisał to samo o gen. Sikorskim. Jeszcze później zmienił łatwo swoich „bogów“. Nie rozumiejąc natomiast, czemu red. Racięski, cytując ten fragment, usiłuje dzisiaj wmówić w nas, że oddawał on prawdę historyczną, dorzucając swój komentarz następujący: „Tak pisano, ściśle, zresztą, z prawdą, (podkreślenie moje), w „Orle Białym“ wydawanym w Rosji bolszewickiej. W dzisiejszej „wolnej i niepodległej“ Polsce Ludowej życiorys gen. Sikorskiego nie mógłby być ogłoszony z uwzględnieniem tych przecież dla jego życia tak bardzo istotnych wydarzeń“.

Istotnie nie mógłby, bo o Bitwie Warszawskiej i w ogóle o wojnie polsko-bolszewickiej 1919—1920 nie wolno w ogóle pisać w Polsce. Gdyby zaś życiorys gen. Sikorskiego był i tam ogłoszony z takim przedstawieniem jego roli w tej wielkiej bitwie, nie oddawałby również „ściśle prawdy“ historycznej. Może zresztą zobaczymy za parę lat, gdy nadajdzie 50-ta rocznica tej wojny i tej przelomowej bitwy, jakimi dziwolągami „wzbogacą“ komuniści polską historiografię wojskową tego okresu.

Ale na emigracji możemy, a nawet powinniśmy pisać prawdę. I dlatego powtarzanie fałszywych wiadomości, pisanych 25 lat temu z tych czy innych względów,

z dodatkiem mającym wmówić w nas, a przynajmniej w tych, którzy nie znają czy nie pamiętają tych historycznych wypadków z przed pół wieku, jako „ściśle prawdę“ historyczną, jest dla mnie co najmniej niezrozumiałe.

W artykule: „Bo wiedzieli co czynią“, p. Klara Evans, opowiadając o niemieckim „doktorze-humaniście“, odczuwającym głęboko „krzywdę“ odepchnięcia od tramwaju przez żołnierza amerykańskiego i wygłaszającym swoją filozofię, iście niemiecką, o upokarzeniu pobitego i o niemieckich obozach koncentracyjnych niezbyt dla „przetrwania“ narodu niemieckiego, dodaje, że na ten jedyny w swoim rodzaju wywód nie podtrzymała rozmowy. Istotnie, można opuścić ręce w rozpaczy na takie wywody typowego Niemca-„idealisty“. Ale, wydaje mi się, że należało raczej podtrzymać rozmowę i zasiać w

sercu młodego lekarza niemieckiego, dziecka niemal, ziarna zwątpienia co do słuszności takich przekonań i takiej etyki humanisty, lekarza z powołania i człowieka w ogóle.

Przy sposobności chciałbym poprawić błąd, jaki się zakradł w moim omówieniu broszury SPK, pt. „W obronie prawdy historycznej“, w ostatnim numerze „Orla Białego“ (30/1177). Na stronie 23-iej, w środkowej kolumnie, w zdaniu: „Zapewne dlatego postać Józefa Piłsudskiego przedstawia się nam tak samotnie, tak niezrozumiale, jak samotnym i niezrozumiałym był Pierwszy Marszałek Polski...“, zamiast słowa „niezrozumiałym“ winno być — „niezrozumianym“.

Łączę, Panie Redaktorze, wyrazy poważania



Adam J. Dąbrowski  
Londyn

## A. J. NARBUT-ŁUCZYŃSKI U KRESU WĘDRÓWKI

Pamiętnik wojskowy i polityczny z okresu 1870—1946 w którym autor, jeden z wybitnych oficerów legionowych daje świadectwo prawdzie swojego czasu, bez ambicji historyka czy stratega.

464 stron druku, 20 stron ilustracji oraz szkice w tekście.

Cena: 52/6; \$ 7.00; F. 35.00

Do nabycia: GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queen's Gate Terrace,  
London, S.W. 7.

oraz we wszystkich księgarniach polskich

## KRZYŻÓWKA Nr 590 /67

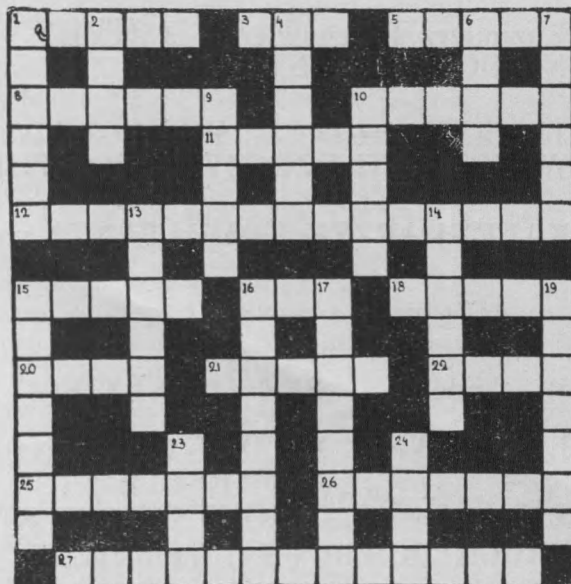
### ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 1) i 5) największy umarł w Babilonie; 3) i 16) narzędzie spod Warszawy?; 8) w Polsce niekiedy przysłowiowo corocznie, w Starym Testamencie rzadko; 10) niewłaściwy przedmiot kultu; 11) filozof niemiecki (wspak); 12) konstelacja (5, 10); 15) i 18) mówca ateński; 20) wcześniej; 21) budzi śmiech; 22) góra z bajki; 25) faza; 26) mądry, rozumny (wspak); 27) bez namysłu.

**Pionowe:** 1) ona w mrozu oznacza coś bardzo małego (wspak)! 2) np. „Iliada“; 4) stągiew (wspak); 6) częśćka przeznaczenia?; 7) ilustracje; 9) niepowodzenie zabezpieczające?; 10) jeden z siedmiu lat biblijnych; 13) zawsze dwie i na morzu? (wspak); 14) szlachetne cele; 15) Turek może nim być z powołania, Polak jeśli oszałeje?; 16) przewodnik, władający obcymi językami; 17) cesarskie zarządzenie rzymskie lub edykt; 19) dla siebie niebezpieczna, do innych to więcej niż tolerancja; 23) żadne z nas; 24) miara grobli.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 589/67.

**Poziome:** 1) i 5) Prozerpina, 3) i 16)



kłopot, 8) smutek, 10) Kastor, 11) rzędy, 12) Pierwsza Kadrowa, 15) klucz, 18) gniew, 20) i 22) daremnie, 21) siano (wspak), 25) ferment (wspak), 26) usterka, 27) nieobliczalny.

**Pionowe:** 1) postępek, 2) i 6) okulista, 4) łązega, 7) Atryda, 9) kresy, 10) patyk (wspak), 13) raczek, 14) renoma, 15) kudłaty, 16) pantofel, 17) ciut ciut (wspak), 19) wieszak, 23) Arno, 24) auto (wspak).



# GRYF — Księgarnia S. P. K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. i P. C. A.  
PUBLICATIONS LTD.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.  
Tel.: KNI 3500

## Nasze nowości wydawnicze

**Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM.**  
Str. XX + 506. W opracowaniu Lidii Ciołkoszowej. Ilustracje Ireny Ludwig.  
Cena: 42/-, \$6.00, lub F. 30.00.

**Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY.**  
Str. 336. Cena: 35/-, \$5.00, F. 24.00.

**Lidia i Adam Ciołkoszowie — ZARYS DZIEJÓW  
SOCJALIZMU POLSKIEGO. Tom I.**  
Str. 520 + 65 plasz ilustracyjnych. Cena 63/-, \$9.00 lub F. 45.00.

**Kazimierz Sosnkowski: MATERIAŁY HISTORYCZNE**  
720 stron w oprawie płóciennej. Cena: 63/, \$9.00, F. 45.00.

**J. A. Narbut-Łuczyński — U KRESU WĘDRÓWKI**  
464 stron druku, 20 stron ilustracji oraz szkice w tekście.  
Cena: 52/6; \$7.00; F. 35.00.

**W OBRONIE PRAWDY HISTORYCZNEJ**  
*Głosy i opinie o książce „Lewa wolna“*  
Stron 82. Cena: 7/6; \$1.10; F. 5.50.

**Michał Sokolnicki — DZIENNIK ANKARSKI.**  
Stron 567. Ilustracje i indeks. Cena: 52/6; \$7.00; F. 35.00.

**Kazimierz Klochowicz — CZTERY  
NIEDOTRZYMANE PAKTY.**  
Str. 184. Cena: 21/-, \$3.00, F. 15.00.

**Józefa Mękarska — WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH  
WSHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ.**  
Cena: 16/6; \$2.50; F. 12.50.

**KALENDARZYK KOMBATANTA na rok 1967**  
Cena: 6/- z przesyłką

*Posiadamy na składzie książki wszystkich wydawców  
emigracyjnych, a z własnych wydawnictw polecamy:*

**W. Anders — BEZ OSTATNIEGO ROZDZIAŁU.**  
Cena — 35/-; \$5.00.

**J. Garliński — MIĘDZY LONDYNEM  
A WARSZAWĄ** Cena — 18/6 \$3.00

**J. Łobodowski — KOMYSZE. W STANICY.  
DROGA POWROTNA. Trylogia.** Cena — 51/-; \$7.00.

**J. Otwinowska — ICH MŁODE LATA.** Cena — 9/-; \$1.50.

**A. Piłsudska — WSPOMNIENIA.** Cena — 35/-; \$5.00.

**J. Piłsudski — O POWSTANIU 1863.** Cena — 35/-; \$5.00.

**M. Sokolnicki — ROK CZTERNASTY.** Cena — 35/-; \$5.00.

**ZBRODNIA KATYŃSKA.** Cena — 35/-; \$5.00.

## POLSKA KSIĄŻKA

### W POLSKIM DOMU:

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najlepszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

## POLSKIE PISMO

### W POLSKIM DOMU:

- to najlepsza łączność z polskim życiem,
- to jedyny kontakt z rodakami w całym świecie,
- to polskie okno na świat i jego sprawy!

## KSIEGARNIA S. P. K.

- jest zaopatrzona we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystych.

## KSIEGARNIA S. P. K.

- jest składem głównym (na prawach wyłączności):  
GRYF PUBLICATIONS LTD.,  
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO  
IM. GEN. SIKORSKIEGO,  
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HI-  
STORYCZNEGO W W. BRITA-  
NIJ,  
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTO-  
RYCZNEGO,
- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

## KSIEGARNIA S. P. K.

- zamówienia pocztowe załatwia odwrotnie,
- kołom S.P.K., szkołom i bibliotekom udziela rabatu,
- działa w oparciu o największą organizację społeczną, jaką jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres:

## KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.  
Great Britain.

U w a g a : Przy przysyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.